

NR 7 (66)
lipiec 2006

BIULETYN IPN

PRL w filmie

ISSN 1641-9561



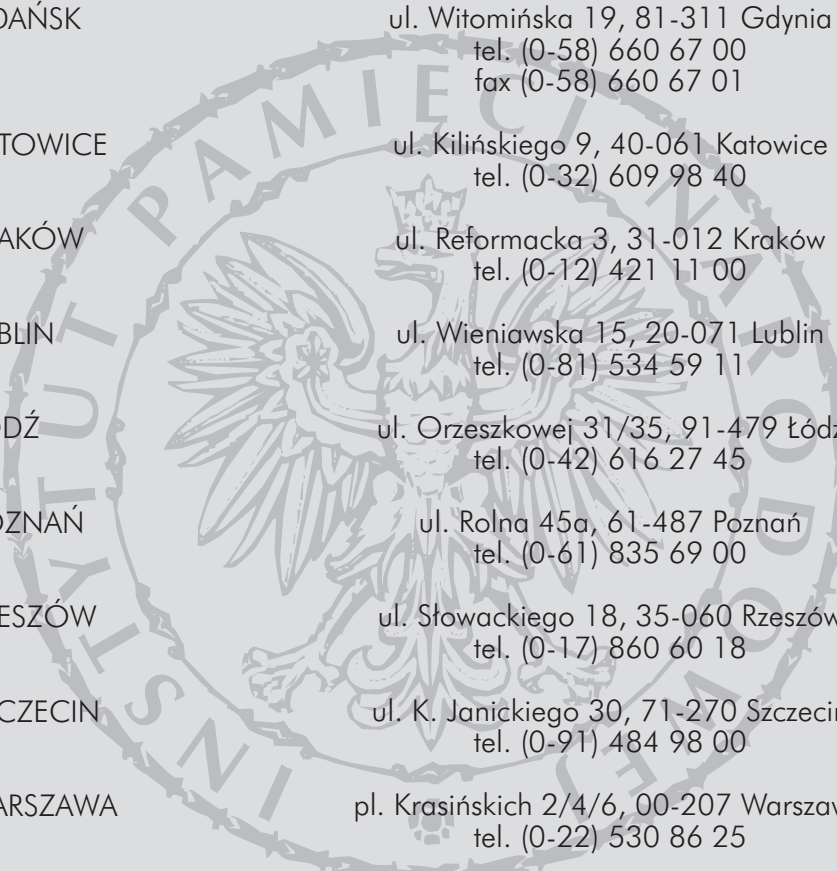
numer indeksu 374431
nakład 4000 egz.

cena 6,50 zł (w tym 0% VAT)

Spektakl Teatru Telewizji
"Śmierć rotmistrza Pileckiego"

ODDZIAŁY IPN

ADRESY I TELEFONY



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDAŃSK	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Wieniawska 15, 20-071 Lublin tel. (0-81) 534 59 11
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. (0-91) 484 98 00
WARSZAWA	pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sottysowicka 23, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kolegium: Łukasz Kamiński, Kazimierz Krajewski, Krzysztof Madej, Romuald Niedzielko, Barbara Polak, Jan M. Ruman, Jan Żaryn – przewodniczący, Jacek Żurek

Redaguje zespół: Romuald Niedzielko (tel. 0-22-4318373),
Barbara Polak – sekretarz redakcji (tel. 0-22-4318375, Barbara.Polak@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny (tel. 0-22-4318374)

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński ♦ **Redakcja techniczna:** Andrzej Broniak
Łamanie: Wojciech Czaplicki ♦ **Korekta:** Anna Kaniewska

Adres redakcji: ul. Hrubieszowska 6 a, 00-839 Warszawa

<http://www.ipn.gov.pl>

Druk: Instytut Technologii Eksploatacji
ul. Pułaskiego 6/10, 26-600 Radom

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 7 (66)

LIPIEC

2006

SPIS TREŚCI

■ WYDARZENIA	2
■ ROZMOWY BIULETYNU	
Śląski western – z Józefem Kłykiem, twórcą amatorskich filmów, rozmawia Barbara Polak	15
Interesuje mnie człowiek – Z Ryszardem Bugajskim, reżyserem, twórcą spektaklu telewizyjnego „Śmierć rotmistrza Pileckiego”, rozmawiają Jacek Pawłowicz i Barbara Polak	32
■ KOMENTARZE HISTORYCZNE	
Eryk Krasucki – Przepis na nowego bohatera narodowego	49
Łukasz Kamiński – Major Zeman, syn kapitana Klossa	58
Krzysztof Lesiakowski – Historia antyaborcyjnych przeproczy	64
Wojciech Polak – Od dziecięcej drukarenki do offsetu	70
■ DOKUMENTY	
Sebastian Ligarski – Między rozrywką a polityką	82
■ WSPOMNIENIA	
Łukasz Kamiński – Ján Langoš (1946–2006)	88
■ WYSTAWY	
Paweł Kosiński – Zagłada polskich elit. Akcja AB – Katyń	90
■ RECENZJE	
Marta Danielik, Krzysztof Madej – Historia w pogoni za filmem	94
John Radziłowski – Sąsiadów ciąg dalszy	98
Ryszard Tyndorf – Przyczynek do recepcji pewnej książki	102
Bohater nr 11 175	107
Lwowski numer Glaukopisu	108

Na okładce: str. I – zdjęcia z planów filmów Józefa Kłyka, z archiwum autora;
str. IV – wizyta delegacji IPN na cmentarzu Orłąt Lwowskich we Lwowie.



WIZYTA DELEGACJI IPN NA UKRAINIE

„Zadaniem Instytutu Pamięci Narodowej jest dbanie o to, by strategiczne partnerstwo między Kijowem a Warszawą opierało się na prawdzie o przeszłości stosunków między Polakami a Ukraińcami” – powiedział prezes IPN Janusz Kurtyka.



W dniach 5–9 czerwca br. prezes IPN Janusz Kurtyka wraz z delegacją Instytutu złożył wizytę na Ukrainie. Prezes IPN spotkał się w Kijowie z szefami Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, z którymi rozmawiał o udostępnieniu stronie polskiej materiałów archiwalnych dotyczących tzw. ukraińskiej listy katyńskiej. W Centrum Kultury i Sztuki Służby Bezpieczeństwa Ukrainy w Kijowie odbyła się prezentacja książki pt. *Akcja „Wisła”*, która jest piątą częścią dziesięciotomowego cyklu *Polska i Ukraina w latach 30.–40. XX wieku*. Książka jest efektem współpracy Państwowego Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji RP. Jest to jeszcze jeden przykład znakomitej współpracy polskich i ukraińskich historyków – ocenił podczas prezentacji prezes Instytutu Pamięci Narodowej.

Prezes IPN spotkał się również z szefem tworzonego obecnie IPN Ukrainy prof. Ihorem Juchnowskim, kardynałem Lubomyrem Huzarem, głową Ukraińskiego Ko-

ścioła Greckokatolickiego, oraz z przedstawicielami środowisk naukowych. Delegacja IPN złożyła wieńce na cmentarzu w Bykowni.



Na Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim we Lwowie odbyła się 9 czerwca promocja wydawnictw IPN: *Lwowskie pod okupacją sowiecką (1939-1941)* i *Akcja „Wisła”*. Promocję zorganizowały IPN i Konsulat Generalny RP we Lwowie oraz liczne instytucje

ukraińskie, m.in. UUK i Uniwersytet im. Iwana Franki we Lwowie, tamtejsze seminaria duchowne: greckokatolickie i łacińskie oraz Instytut Ukrainoznawstwa Narodowej Akademii Nauk Ukrainy. Delegacja IPN złożyła też hołd Orłotom Lwowskim (zob. zdjęcie na IV stronie okładki)

AA



WIZYTA W IZRAELU

Na zaproszenie Avnera Shaleva, prezesa Dyrektoriatu Instytutu Yad Vashem, w dniach od 20 do 22 czerwca 2006 r. gościł w Izraelu prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr hab. Janusz Kurtyka.

Pierwszego dnia delegacja IPN spotkała się z Konsulem Honorowym RP w Jerozolimie oraz ze środowiskiem naukowym na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Drugi dzień wizyty został poświęcony na spotkania w Instytucie Yad Vashem. Prezes IPN przedstawił założenia i opisał działalność IPN. Poinformował także, że strona polska rozpoczyna uruchamianie programu „Indeks Polaków Zamordowanych i Represjonowanych za Pomoc Żydom”.

Delegacja złożyła wieniec w miejscu pamięci ofiar Holocaustu. W tej części wizyty delegacji IPN towarzyszyła Ambasador RP w Izraelu Agnieszka



Magdziak-Miszewska. Ostatniego dnia pobytu prezes IPN spotkał się z przedstawicielami emigracji z 1968 r.

Podczas wizyty doszło do niezwyklego spotkania po 62 latach Abrahama Segala – Żyda, który ocalał dzięki Polakom z Holocaustu, z Michałem Skrobaczem, jego rówieśnikiem, który wraz z rodzicami pomógł mu znaleźć kryjówkę przed Niemcami. Nawiązanie zerwanego podczas wojny kontaktu między nimi stało się możliwe dzięki badaniom historycznym IPN (na zdjęciu obok od lewej: Mateusz Szpytma – historyk, asystent prezesa IPN, Abraham Segal, Michał Skrobacz).



MS

50. ROCZNICA POZNAŃSKIEGO CZERWCA

Filmy, programy telewizyjne, konferencje, wykłady, wystawy, specjalny projekt edukacyjny – to tylko niektóre formy, w jakich poznański IPN uczcił rocznicę powstania robotniczego z 1956 r.

Międzynarodową sesję naukową zatytułowaną *Poznański Czerwiec – uwarunkowania, przebieg, konsekwencje* zorganizował 22–23 czerwca poznański Oddział IPN, przy współpracy z Urzędem Miasta Poznania, Instytutem Historii UAM, Wyższą Szkołą Nauk Humanistycznych i Dziennikarstwa oraz Instytutem Zachodnim. Było to najważniejsze w Poznaniu wydarzenie o charakterze naukowym, a jednocześnie doskonała okazja do spotkania przedstawicieli świata nauki z uczestnikami dramatycznych wydarzeń sprzed 50 lat. Obrady pierwszego dnia sesji zorganizowano w budynku dawnego KW PZPR, który został zdobyty przez poznaniaków pół wieku temu.



Wydarzeniem wpisującym się w budowanie pamięci o bohaterach tamtych dni było odsłonięcie – z inicjatywy dyrektora IPN w Poznaniu Ireneusza Adamskiego, w obecności m.in. członków rodziny Hejmowskich, bp. Marka Jędraszewskiego, wiceprezesów IPN Marii Dmochowskiej i Witolda Kuleszy, tablicy poświęconej Stanisławowi Hejmowskiemu, adwokatowi, który zasłynął odważną i skuteczną obroną uczestników Poznańskiego Czerwca przed sądami PRL, za co później, w wyniku represji władz, zapłacił cenę osobistych prześladowań. Imię bohaterskiego mecenaśa otrzymała również jedna z ulic w Poznaniu, a w budynku poznańskiego IPN moż-



na oglądać stałą wystawę poświęconą temu wybitnemu przedstawicielowi poznańskiej palestry.

Ambicją pracowników poznańskiego IPN było, aby wiedza o najważniejszym wydarzeniu w powojennych dziejach Poznania była jak najbardziej powszechna zarówno wśród mieszkańców Wielkopolski, jak i poza granicami regionu. Starano się to osiągnąć m.in. poprzez ogromną liczbę prelekcji, często łączonych z prezentacjami multimedialnymi, w szkołach, urzędach, a także na rozlicznych konferencjach naukowych. W samym tylko pierwszym półroczu 2006 r. pracownicy IPN wygłosili ok. 90 wykładów na temat Poznańskiego Czerwca, w tym w tak odległych miejscach jak Bratysława i Londyn. Pracownicy Oddziału wygłaszali ponadto prelekcje przed zorganizowanymi przez Cinema City pokazami filmów o Poznańskim Czerwcu.

Ważnym elementem inicjatyw edukacyjnych i upamiętniających były i są wystawy – odbyło się ich w różnych miastach Polski ponad 40. Specjalną wersję przygotowano dla Instytutu Polskiego w Bratysławie. Zakończono również prace nad ekspozycją dla Sejmu RP, a także dla zaprzyjaźnionego z Wielkopolską francuskiego regionu Bretania.

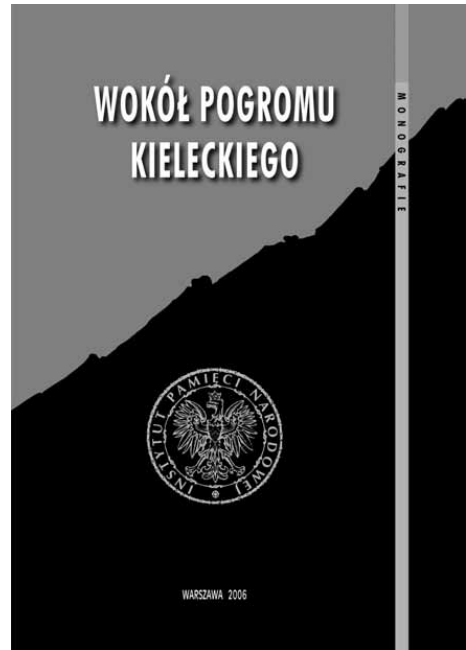
Wspólnie z Wielkopolskim Kuratorium Oświaty przygotowano projekt edukacyjny o Poznańskim Czerwcu realizowany w szkołach Wielkopolski w roku szkolnym 2005/2006, ogłoszono także konkurs, którego finał odbył się w dniu 9 czerwca 2006 r.

Owoce współpracy IPN z mediami stały się m.in. filmy podejmujące tematykę czerwcową: *Tata zapłaci*, *Broniliśmy Czerwca*, *Poznański Czerwiec 1956 – kalendarium*, *W dzień targowy* (TVP 3), oraz przygotowywany przez 5 kanał TV Petersburg cykl dokumentalny o 1956 r., debaty telewizyjne, 10 audycji radiowych *Świat zza krat*, w których wystąpili pracownicy poznańskiego Oddziału. Ponadto udzielili oni kilkudziesięciu wywiadów dla mediów regionalnych i ogólnokrajowych.

Konrad Białecki

„POGROM KIELECKI” – 60 LAT PÓŹNIEJ

Promocja najnowszej publikacji IPN *Wokół pogromu kieleckiego*, w związku z 60. rocznicą tragicznych wydarzeń (4 lipca 1946 r.) odbyła się 24 czerwca br., w auli Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach. W debacie poświęconej książce wzięli udział autorzy: Bożena Szaynok, Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki, Jan Żaryn, a także prezes IPN Janusz Kurtyka oraz Łukasz Kamiński i Andrzej Żbikowski. Moderatorem spotkania był Bogdan Białek, prezes Stowarzyszenia im. Jana Karskiego w Kielcach. Jan Żaryn relacjonował, jak komuniści oraz środowiska amerykańskich Żydów winą za „pogrom kielecki” obarczyły Kościół katolicki w Polsce. Kolejna promocja publikacji odbyła się 5 lipca w krakowskiej synagodze na Kazimierzu, w ramach Festiwalu Kultury Żydowskiej. Emocje wzbudziła polemika między licznie zgromadzonymi słuchaczami a autorami publikacji. Dyskusja jednak miała niemerytoryczny charakter, gdyż zebrani kładli nacisk na stronę moralną problemu zajęć antyżydowskich (etyczna powinność potępienia zbrodni dokonanych przez Polaków na Żydach), a nie na kontekst historyczny wydarzeń i podstawowe ustalenia faktograficzne.



zur

PRÓBA CHARAKTERÓW

Udzielanie pierwszej pomocy, zbieranie relacji świadków, strzelanie – to przykładowe zadania, jakie musieli wykonać uczestnicy IV rajdu pieszego szlakiem żołnierzy 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej mjr. „Łupaszkii”.

Program rajdu został tak ułożony, aby uczestnicy poznali historię bojową oddziałów „Łupaszkii” oraz realia, w których musiały działać. Zostali podzieleni na siedem patroli liczących średnio po dziewięć osób. Każdy z patroli miał swą nazwę – pseudonim partyzanta 5. Wileńskiej Brygady AK. Zgodnie z rozkazami przekazanymi na punktach startowych należało odnaleźć wskazane miejsca historyczne, nauczyć się piosenki oraz biogramu patrona, zebrać relacje oraz skonfrontować je z posiadaną wiedzą, a także przeprowadzić akcję informacyjną.



Większość uczestników to gimnazjaliści – harcerze i „cywile”, ale trudy wędrówki dzielili z nimi także krewni Zdzisława Badochy „Żelaznego” oraz posłowie Leszek Dobrzyński i Stanisław Pięta. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że jeśli nie będą dość wytrwali, czujni, solidarni, to nie pokonają trudności. Organizatorzy zapewnili ich sporo.

Patrole wyruszały z różnych miejsc w Borach Tucholskich. W trakcie czterodniowej wędrówki pokonały ok. 120 kilometrów. Musiały rozsądnie gospodarować suchym prowiantem, zachowywać tempo marszu, szukać miejsca na nocleg. Miały przeciwko sobie nie tylko piekące słońce i ulewny deszcz. Czyhali także „funkcjonariusze UB”.

Uczestnicy rajdu po sforsowaniu promem Wisły spotkali się w Czerninie. W pobliskim Sztumie wysłuchali wykładu Tomasza Łabuszewskiego o działalności partyzantki niepodległościowej na terenie Pomorza, zwiedzili zakład karny oraz spotkali się na zamku z mjr. Zygmunt Błażejowiczem „Zygmuntem”, ostatnim żyjącym dowódcą szwadronu w brygadzie mjr. „Łupaszk”. Przed dworkiem w Czerninie, gdzie w walce z UB zginął „Żelazny”, Łukasz Borkowski, student politologii z Katowic i zarazem badacz szlaku bojowego Badochy, opowiedział jego życiorys.

Jury wysoko oceniło wykonanie zadań przez patrole oraz ich braterskie współdziałanie w celu pomyślnego zakończenia rajdu. Pod względem liczby zdobytych punktów wyróżnił się patrol żeński o kryptonimie „Jachna”, wystawiony przez ZHP



i dowodzony przez druhenę Joannę Pokojską, oraz męski, złożony z harcerzy z ZHR pod dowództwem druha Piotra Malinowskiego.

Duże wrażenie na jurorach wywarła prezentacja solidnie zebranych relacji. Część z nich jest cennym uzupełnieniem materiałów zgromadzonych przez historyków. Młodzież zwróciła uwa-

gę, że niektórzy mieszkańcy, choć wypowiadali się pozytywnie o żołnierzach „Łupaszki”, to jednak używali forsowanego w peerele określenia „bandy”. Uczestnicy otrzymali pamiątkowe koszulki oraz nagrody.

Zakończenie rajdu – dokładnie w 60. rocznicę śmierci „Żelaznego” – miało bardzo uroczysty charakter. Po mszy św. zostały złożone kwiaty pod tablicami pamiątkowymi ku czci „Żelaznego” oraz żołnierzy „Łupaszki”. Harcerze wystawili honorową asystę. Gośćmi ogniska byli żołnierze wileńskiej AK: Czesław Cywiński, prezes ŚZZAK, oraz Henryk Sobolewski, żołnierz 5. Brygady. Uczestnicy dzielili się wrażeniami, a goście wspomnieniami. Wspólnie śpiewali pieśni żołnierskie i harcerskie.

Rajd został zorganizowany przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku i Chorągiew Pomorską ZHR. Honorowy patronat nad rajdem objął Światowy Związek Żołnierzy AK oraz prezydenci Gdańska, Sopotu i Gdyni.

Michał Sempolowicz



UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIAJĄCE CZERWIEC 1976

Obchody rocznicy Czerwca 1976 miały w tym roku szczególnie uroczysty charakter. Zorganizowano je pod patronatem najwyższych władz państwowych i kościelnych w Płocku, Radomiu i Ursusie – miastach, które 30 lat temu stały się świadkami demonstracji robotników protestujących przeciwko drastycznej podwyżce cen.



Najważniejszą częścią obchodów były uroczystości 25 czerwca br. w Radomiu. Rozpoczęły się one mszą świętą odprawioną przez biskupa Zygmunta Zimowskiego przy pomniku Bohaterów Czerwca '76 z udziałem premiera Kazimierza Marcinkiewicza, marszałka Senatu Bogdana Borusewicza, przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Janusza Śniadka oraz prezesa IPN Janusza Kurtyki. Po mszy pod pomnikiem oficjalne delegacje złożyły wieńce.

Przed dawnym Komitetem Wojewódzkim PZPR (budynkiem Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych) odbyła się przygotowana przez OBEP w Warszawie inscenizacja wydarzeń sprzed 30 lat. Wzięło w niej udział blisko 100 statystów (harcerzy z ZHR z Pionek, ZHP z Radomia, pracowników Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, funkcjonariuszy Komendy Powiatowej i Wojewódzkiej Policji, a także kilkoro uczestników tamtych wydarzeń) oraz ciężki sprzęt – wózki akumulatorowe, autobus i armatka wodna. Pracownicy IPN i mieszkańcy Radomia wcielili się w role zomowców i demonstrantów. Po rozmowie z pierwszym sekretarzem KW PZPR



i jego skrytym wyprowadzeniu przez SB, budynek został przez demonstrantów „zdobyty” – z dachu zrzucano czerwoną flagę i wywieszono nową – w barwach narodowych, z okien wyrzucano portrety Lenina i innych „świętych” socjalistycznych.





Następnie „podpalono” komitet. W kolejnej odsłonie do akcji weszły pododdziały ZOMO, a z głośników odtwarzane były zapisy rozkazów wydawanych tego dnia przez ówczesnego komendanta wojewódzkiego MO płk. Mozgawę: „Jest zgoda z Warsza-

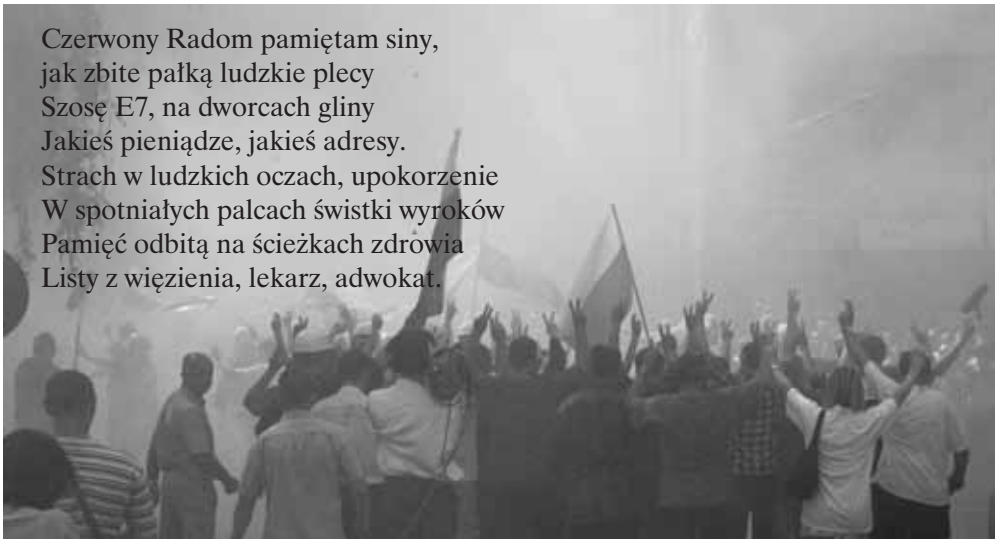


wy na użycie sił. – Atakują Komendę Wojewódzką. Lublin – połowę ludzi od Kilińskiego dajcie, a połowę od Żeromskiego, od Urzędu. Ostrzegać. A jak nie, używać i aresztować, ile się da. Oczyszczać gmach KW, demolują wszystko. Jedną armatką tu uderzymy, a drugą tu. – Nie ma wody! No to używać pałek. Jechać po ludzi na rondo i po drodze zatankować wodę. Szybko, jechać pod Komitet partii, bo został podpalony”.

Do rozpędzenia demonstrantów skandujących: „pracy, chleba”, „precz z podwyżkami”, „godnego życia” w finałowej scenie użyto armatki wodnej, a kilkoro zatrzymanych „funkcjonariusze” milicji – na oczach zgromadzonych widzów – przegonili przez tzw. ścieżkę zdrowia. Pałowano nawet padające na ziemię kobiety. Obrazy te wywoływały podobne przerażenie jak przed 30 laty. Obserwatorzy nie zdawali sobie bowiem sprawy, że pałki wykonane są z gąbkowej pianki. Rekonstrukcję zakończył przemarsz demonstrantów z flagami narodowymi, podczas którego odtworzono fragment piosenki Krzysztofa Kelusa: *Ballada o szosie E7*:



Czerwony Radom pamiętam siny,
 jak zbite pałką ludzkie plecy
 Szosę E7, na dworcach gliny
 Jakiś pieniądze, jakieś adresy.
 Strach w ludzkich oczach, upokorzenie
 W spotniałych palcach świstki wyroków
 Pamięć odbitą na ścieżkach zdrowia
 Listy z więzienia, lekarz, adwokat.



Kiedy już wszyscy ochłonęli z emocji, pracownicy IPN zaproponowali dyskusję o książce Pawła Sasanki *Czerwiec 1976 – geneza, przebieg, konsekwencje*.

Tomasz Łabuszewski, Iwona Luty

EKSHUMACJA SZCZĄTKÓW EDWARDA CIEŚLI „ZABAWY”



Na cmentarzu komunalnym w Opolu Półwsi 27 czerwca 2006 r. miała miejsce ekshumacja szczątków oficera AK Edwarda Cieśli „Zabawy” (1923–1952). W czasie okupacji działał on na Rzeszowszczyźnie, m.in. w plutonie dywersyjnym Obwodu Przeworsk, a od jesieni 1944 r. w zgrupowaniu partyzanckim Obszaru Lwowskiego AK kryptonim „Warta”. Po wojnie wyemigrował, ale w 1946 r. wrócił do kraju jako kurier, który miał przemycać byłych akowców do Włoch. Przed rozpoczęciem misji został aresztowany. W 1952 r. komunistyczny sąd wojskowy skazał go na karę śmierci. Rodziny nie poinformowano o miejscu pochówku. Miejsce ustalono dopiero w wyniku działań podjętych przez OBEP IPN we Wrocławiu. W 1981 r. w tym samym miejscu pochowano inną osobę. IPN otrzymał jednak zgodę rodzin na ekshumację zwłok.

Po godzinie odnaleziono szczątki ppor. Cieśli. Wszelkie wątpliwości rozviało wydobywanie czaszki, co było najtrudniejsze i wymagało specjalistycznej pomocy dr. Michała Wępsięcia z Zakładu Medycyny Sądowej wrocławskiej Akademii Medycznej, który asystował przy ekshumacji. Szczątki zostaną poddane badaniom w Zakładzie Medycyny Sądowej. Po badaniach rodzina planuje pochówek Edwarda Cieśli w Krakowie.

ŚLĄSKI WESTERN

Z JÓZEFEM KŁYKIEM, TWÓRCĄ AMATORSKICH FILMÓW, ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – Pan zaczął budować swój świat i realizować pomysł na życie, będąc właściwie jeszcze dzieckiem, dzieckiem w PRL. A na początek – czy jako dzieciak, który fascynował się filmem, miał pan wyniesioną z domu jakąś naturalną świadomość polityczną – że jest komuna, że są jakieś ograniczenia, że jest jakieś kłamstwo?

J.K. – To jest Śląsk. Tu każdy ojciec był w Wehrmachcie, a tacy ludzie po wojnie byli prześladowani. Ojciec mi opowiadał, że jak wrócił jako żołnierz Andersa w 1947 r., to od razu musiał się ukrywać, już szukało go UB. Ukrywał się rok. Mojego dziadka już osądzili, uznali za Niemca. On w I wojnie światowej był oczywiście u Prusa. I nawet tak się zdarzyło, że ponad dwa tygodnie był w jednej kompanii z Hitlerem. Jako żołnierz, tamten był kapralikiem. Potem zgłosił się jako górnik do kopalni i wybył z tego całego frontu. A jak nastąpiła Polska, to mu mówili – ty jesteś Niemiec. A on był w Powstaniach Śląskich, nie mógł dostać potem pracy, bo był korfantystą. W końcu, jak robotę dostał, to mu powiedzieli: musisz się jakoś oczyścić i być w jakichś polskich związkach. Był w polskich związkach rolniczych. Jak w 1939 r. weszli Niemcy – o *meine Herrn*, wyście byli w polskich związkach, musicie się oczyścić. Całe Bojszowy tak żyły, tam prawie wszyscy byli w Wehrmachcie, bo nie brali ich do innego wojska. Pamiętam, jak byłem dzieckiem i siedzieliśmy u fryzjera, takiego wiejskiego, naszego, to on nas – cały ten rzudek łebków – strzygł na Hitlerjugend, bo tylko tak umiał strzyc. Siedzieliśmy tam u niego i słuchali, bo oni opowiadali wojnę – Jasiński bez nogi, Franek bez dwóch nóg, Noras bez ręki, szpity w nodze, oko uszkodzone. Same inwalidy wojenne, a w ich opowiadaniach – Luftwaffe, Kriegsmarine, Wehmarcht. To wszystko wiedziało się – że nie jest mile widziany Stalin, że nie jest mile widziany Bierut.

B.P. – A jak zaczęła się przygoda z kinem?

J.K. – Tak szczerze mówiąc, wychowywałem się w karczmie. Karczma w Bojszowach to było takie niezwykle miejsce. Wtedy w karczmie już było kino. To była magia. Ja się w tej karczmie bawiłem. Na naszej ulicy były same dziewczyny, bawiły się lalkami, a ja jeden tylko chłopak. Właścicielka karczmy pracowała w niej, bo przejął to GS. Pracowała w bufecie. Pytałem ją: czy mogę iść na strych? – A co tam będziesz robił? Na tym strychu były cudowne rzeczy. Oni przed wojną byli dość bogaci. Tam były stare motory, jeszcze takie dekawki, były przepiękne naczynia z porcelany, gospodarskie, jeszcze z gotyckimi napisami; w skórę oprawiane, pisane gotykiem niemieckie księgi – i powieści, i lekarskie, i o ziołach. Znalazłem tam całe roczniki „Filmwelt”, czyli takiego miesięcznika o kinie; fotografie w sepii. I były jeszcze takie księgi o różnych rzeczach – fauna, flora. W nich były miejsca na zdjęcia, wszystko już opisane, a zdjęcia kolorowe dostawało się, jak się kupowało jeden gatunek czekolady czy jeden gatunek papierosów. W opakowaniu były zdjęcia z numerkami, tylko przykleić. Ktoś już powypełniał te albumy zdjęciami. Była też wśród nich księga o Hollywood, wypełniona zdjęciami. Na przykład Charlie Chaplin buduje plan filmowy do *Gorączki złota*. Widziałem tory na planie filmowym, jest kamera,

światła, makieta miasteczka podparta od tyłu deskami. W szafie na strychu był melonik, laseczki, jakieś ubrania. Wkładałem ręce do kieszeni i znajdowałem np. bilet z teatru. Człowiek przyjechał z teatru, powiesił ubranie do szafy, potem przyszła wojna, ukrywał się i na koniec zginął w obozie. Zostały po nim te wszystkie ślady.

Odkrywałem to wszystko w późnych latach pięćdziesiątych. W 1959 lub 1960 r. były już w Bojszowach dwa telewizory, widziałem już olimpiadę z Rzymu. Telewizor był na górnych Bojszowach u Zimnola, sztygara. Miał odbiornik „thomson”. Oglądać przychodziło tak dużo ludzi, że my już staliśmy na dworze. Nic nie widzieliśmy, tylko nam opowiadali, co tam widać. Czasami przemykaliśmy się głębiej i oglądaliśmy coś między ludzkimi nogami. A w karczmie był pierwszy telewizor „belweder”. Złe było widać, ale to był stary budynek z okiennicami. Siedzieliśmy zawsze w ciemności, wtedy ekran był taki „soczysty”.

Oglądałem wszystkie pierwsze filmy Charlie Chaplina, bo to w naszej telewizji wtedy pokazywali. A potem szedłem na strych, i to wszystko tam stawało się dotykalne. Kiedyś znalazłem coś, w czym było miejsce na świecę i korbą. Przy zaciemnionym świetle włożyliśmy świecę, pokręciliśmy korbą. Coś zamigotało na ścianie, podczyściliśmy szkiełka i pojawił się galopujący koń. To była *laterna magica*. Było mnóstwo płytek szklanych z negatywami zdjęć, był aparat fotograficzny.

Cały czas było dla mnie zagadką, jak powstaje obraz w tej sali w karczmie na ekranie. Sprawdziłem – zwykła biała szmata, obciążona czarnym sukniem, a z okienka naprzeciwko jest blask, jest obraz, jest głos, potem wszystko niknie, nie wpuszczają nas tam. Skąd to leci? Trzeba było dotrzeć do tej aparatury. To był problem. No i był problem wejścia do kina, bo to były filmy od 14, od 16 i od 18 lat. Ja się w karczmie bawiłem, więc zanim się kino zaczęło, to już dwie godziny wcześniej stałem zawinięty w kotarach teatralnych. Jak ludzie poschodzili się i zgasto światło, to ja się odkręcałem z tego i patrzyłem na film, nielegalnie, bez pieniędzy. Czasami przeczekiwałem w kulisach dekoracyjnych. Wszystkie te pomysły wydały się, już przeszukiwali sale, już nas wygarniali. Tam były takie wysokie okna, jesienią nie trzeba było już zaciemniać sali, można było wyświetlać film, bo dzień był krótki, ale dolne części okien zastaniano, żeby ludzie z zewnątrz nie podglądali. Myśmy byli za mali, żeby patrzeć przez górną część, odłonięta, a poza tym kierownik przechadzał się z bykowcem i wszystkich z tych okien przeganiał, kto nie zapłacił. Znalazłem sobie na chlewie stojącym przy karczmie okienko, przez które podawano siano, i stamtąd miałem widok prosto na ekran.

B.P. – Wielu chłopaków tak się kinem fascynowało?

J.K. – Mnie ono ciągnęło szczególnie. Innych chłopaków ciągnąłem za sobą. Oni mówili – a nie, my już telewizor mamy, to już nie chodzimy. Pamiętam, jak zrobiłem pierwszy film kolorowy, to był 1968 r. – *Trzech muszkieterów*. Żeby mi ludzie dali do filmu konie, to zrobiliśmy własne kino objazdowe. Niedziela, wszyscy w domach, chodzimy od gospodarza do gospodarza, gdzie były konie. Wieszamy szmatę, zapraszamy sąsiadów. Będzie film. Gospodarz, światowiec, miał telewizor, ale czarno-biały. A my mu pokazujemy kolorowy film. Przeskoczyliśmy epokę. – Wyście to zrobili? To jest niemożliwe! Ja na tym polu orałem, ale tam tak pięknie nie ma. „ORWO” swoje zrobiło, dodało jeszcze barw. – Jak wy umiecie kolorowe filmy robić, to konie wasze!

Jak mój tata był bajtłem, w latach dwudziestych dwudziestego wieku, to już grały u nas teatry, przyjeżdżało do nas kino objazdowe. Oczywiście to było kino nieme, kręciło się na korbkę. Czasami wzywali takiego tapera, jakiegoś skrzypka miejscowego, przygrywał do tego, co było na ekranie. Jak było szybko, to szybko, a jak wolno, to wolniej. W latach



pięćdziesiątych w Bojszowach powstało kino stałe, a wtedy niektóre miasteczka nie miały kina. Ludzie, którzy to stworzyli, pan Knopek, pan Watoła, kupili stare włoskie auto, i grali trzy dni w Bojszowach – środa, sobota i niedziela – a w inne dni jechali do okolicznych wiosek. Repertuar był ciekawy. Pamiętam filmy „szkoły polskiej” z Cybulskim. W początkach lat sześćdziesiątych pojawiły się telewizory i one powoli zabijały kino. To już się zaczynało.

Na zachodnie filmy chodziło mnóstwo ludzi, a jak był film polski, to nas było czterech, pięciu. Szliśmy sprzedawać butelki, kupowaliśmy innym bilety, żeby nas było choć z dziesięciu, żeby film zagrali. Siedziałem zawsze do końca, choćby był nawet największy knot. Inni się nudzili, wychodzili. Ten operator się złościł – pierońskie gówniarze, do domu bym se podszedł. Ale on miał dobrze, tu była sala, a z tyłu, za salą był bufet. Czasami był gwar w barze i myśmy nie wiedzieli, czy to jest z kina, czy z baru, bo tam czasami już się prali. On siedział w barze, film leciał, a jak się taśma zerwała, to myśmy ryczeli. Taśma się pęłliła – pyk-pyk, pyk-pyk. Zwijał to w końcu, ale jak on niszczył te filmy! Czasem mi się płakać chciało. Miałem kupę pourywaną kawałków w kieszeniach i w domu je przeglądałem. Soczewki, lampka i na ekran. Nie było to ruchome, ale się uczyłem, że kawałek wziętem tego filmu i wszystkie zdjęcia te same. Nic się nie zmienia, bo były 24 klatki na sekundę. To było takie badanie kina od podszewki, dotykanie, jak to wszystko działa.

Już w tych „Filmweltach” widziałem, w ogłoszeniach z tytu, że już wtedy były kamery 16 mm, wiedziałem, ile to wtedy, przed wojną, kosztowało marek. Czemu ja nie mam takiej kamery? Zacząłem się interesować, chodziłem do Fotooptyki i widzę, są – ruskie, po 700 zł. To było dość dużo w tamtym czasie, ale w końcu ją zdobyłem, miałem szesnaście lat. A wcześniej, już jako czternastolatek, zrobiłem stroje do *Trzech muszkieterów*. Miałem już wszystkie uszyte, chociaż nie wiedziałem jeszcze, czy to będę kręcił. Zrobiłem

też wszystkie stroje do Chaplina. Też chciałem go grać. Była już uszyta czarna peruka, wasek do przyklejenia, nawet pudry i farbki do malowania oczu mialem. Sam uszyłem chaplinowskie buty, takie za duze. Wszystko bylo gotowe. I poszczegolne stroje, pasiak do uciezki z wiazienia, mundur amerykanskiego policjanta. Wszystko czekalo.

Jak w latach sześćdziesiątych kręciliśmy ten film, to nowojorską ulicę zrobiłem na moim podwórku. Dom był z cegły, zrobiliśmy na nim sztuczne okna, markizy, napisy amerykańskie. Taka była scena, jak on sprząta ulicę i w zapamiętaniu nabija papierki na specjalny szpikulec. Za rogiem budynku nabija na ten swój szpikulec but nadchodzącego policjanta. Kupa ludzi się temu przypatrywała. I pojawia się milicjant. Kto wam pozwala to robić?! Skąd macie kamerę? Pozwolenie na kręcenie filmu! A my za smarkaci byliśmy, żeby wiedzieć, że potrzebne jest jakieś pozwolenie. I dlaczego taki temat? To jest temat zły! Dlaczego Ameryka? I tak mnie pouczają.

B.P. – Ile osób angażowało się w robienie filmów?

J.K. – Wtedy nas było trzech, czterech, a potem dobierałem łebków, jak mieliśmy większe sceny. Taki był Edmund Chrobok, jego interesowała technika. Mieli w domu „Młodego Technika”, inne gazety i ciągle coś robili – a to samolot, a to auto. Puszczaliśmy balony w powietrze. Raz zrobiliśmy takie kolorowe balony. Puściliśmy zza naszej zagrody. Najpierw to leżało na ziemi, a my podgrzewaliśmy denaturat rurą z pieca. Szło tam ciepło, szło i nagle wszystko się dźwignęło i poleciało! – Prosto na dom sekretarza partii, który właśnie jadł obiad. Drugi balon zleciał przed posterunkiem milicji. Oni się zbiegli. – Nie dotykać! To jest balon od pogody, meteorologiczny. – Chłopie, jakiś ty głupi, to my puściliśmy go zza stodoły!

Edzio się na tym wszystkim znał. A ja potrzebowałem operatora, bo jak grałem, to ktoś musiał filmować. On był moim pierwszym operatorem. Takie były początki – paru znajomych. Potem już używaliśmy światła na dworze, bo ten w robocie, ten w szkole. Zanim się poschodziliśmy, było już pod wieczór. Była taka specjalna lampa 1000 watów. Za każdym razem, jak ją włączaliśmy, to sąsiad gadał – patrz, jaką mają fajną spawarkę, pewnie szwedzka, mała, a nasza taka duża. Kręciliśmy w domu sceny napadów. Pamiętam, jak z taką opaską jak Zorro, w oprychowie, wchodził przez okno mój kolega, a we wsi rejwach, milicja, że do nas się włamują. Takich drobnych zdarzeń było mnóstwo.

Był u nas Dom Kultury RSW Książka Prasa Ruch, taki klub. Wtedy był w starej szkole w Bojszowach, dzisiaj jest tam gmina. Często chodziłem tam wieczorami – tam rozmawialiśmy, tam werbowałem ludzi do nowego filmu. Prosiłem, żeby zbierali stroje po starych dziadkach, kapelusze, to będziemy western robić. Tam pokazywaliśmy to, co już nakręciliśmy. Przychodziło mnóstwo ludzi, zawsze była kupa śmiechu. Sosna, prezes GS, powiedział – głupotki robicie, a tu są sprawy poważne, trzeba nakręcić o akcji żniwnej, jakieś zebranie GS, będziemy wybierać nowe władze, moglibyście to nakręcić. Ale jak to zrobić kamerą bez głosu? A to ja pomogę. Dał pieniądze i razem pojechaliśmy do Katowic, kupił lepszą kamerę, synchronizator, projektor i magnetofon. Kręcimy pierwsze zebranie, mnóstwo ludzi. I jak to na wsi – czemu nie ma nawozów, czemu nie ma tego, tamtego. Prezes był rad, bo miał pod sobą magnetofon, wszystko nagrywał, my kręciliśmy. Światło na tego, co chciał zabrać głos, i kręcimy. I ten, co chciał coś tam krytykować, to jak na niego światło poszło i kamera, to tracił rezon. Prezes zadowolony, bo miało być Bóg wie co, a tu cisza. Prezes płacił za taśmy. Różne rzeczy były u nas organizowane w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, ja to filmowałem, a on na to dawał pieniądze. W Bojszowach za peereelu było, jak wszędzie – nagie haki. Jak przyjechało



mięso, pół wsi stoi w kolejce, a ja wchodzę bez kolejki. Ja nie po mięso chodziłem, chodziłem do tego rzeźnika, to był GS, prezes mi dawał kartkę – proszę mu wypłacić 1000 zł. Na taśmy. On z mięsa skasował, na konto prezesa mi wypłacał i jechałem do Katowic po taśmy. Tak filmowałem, żeby połowa taśmy starczyła prezesowi, a połowa dla mnie, już na fabułę.

Wcześniej jeszcze prezesa wyprzedził taki rolnik. Były trzy grupy tych, co mieli konie. Była taka grupa propolska, przeważnie krakusy – Wiśniowscy, Machury, Rogalscy, kiedyś dostali herby, prawdopodobnie w czasach potopu szwedzkiego. Szwedzi tutaj nie doszli i krakusy uciekały na Śląsk. To byli zamożni rolnicy. Była opcja niemiecka – Mayery, Bergery, Foreitry. I jeszcze był Raszka i jeszcze jeden – Czesi. Jak poszedłem do Raszki, to zanim dał konie, to pytał, a dał Niemiec, a dał Polak? Więc najpierw chodziło się do Polaków. Robota robotą, ale jak trzeba jechać końmi do filmu, to oni byli pierwsi. Ludzie mówili – dzisiaj nigdzie nie pojedę, dzisiaj jedziemy do filmu. Baby to były złe na nas za to.

I ten rolnik mówi – ja wam koni nie dam, wyście są za smarkaci, sam pojedę. Ubrał się tak, jak się u nas chodzi w pole – skórzane wysokie buty, obciste spodnie (jak się to mówiło, na dyszel szyte), kamizelkę, koszulę w kratę, flanelową, bo na kopalni takie dawali i chłopi to odkupywali za wódkę, kapelusz pszczyński, ten z dużym rondem. Na szyi związał sobie turecką chustę. Pytam – dla szpanu? Nie. Jak jeżdżę po polu, pot się ze mnie leje – tu leje, tu bat, tu wajchy od maszyny – to chustą wycieram pot, a potem ona schnie na plecach. Robił dokładnie to samo co kowboje. I widzę, że tu w Bojszowach jest tak jak w Teksasie. Zapiął pas z koltem i już był gotowy, jedziemy. Kończymy ujęcia i ja mówię – teraz pojedziemy na skatę. Za Bojszowymi były kamieniołomy. On na to – ja nie mogę po południu, wy teraz mnie tu zabijcie i ja sobie pojedę do domu. Już zrozumiałem, że można na filmie człowieka zabić, żeby go wyeliminować z roli.

Kręciliśmy *Napad na dylizans*. Grałem głównego bohatera, ostrzeliwałem się na dylizansie, a zza walizki kręciłem z ręki, jak na koniach najeżdżają na nas Indianie. Nie widziałem, co kamera bierze, celowałem na wyczucie. Cudowne rzeczy. Przed dylizansem jechał na wufemce operator, zapięty paskiem do pleców tego pierwszego i kręcił w ruchu. Jak było to wszystko gotowe, tośmy pękali ze śmiechu. Czwórka koni. Nie chciały lecieć po łące, płątały się, bo nigdy tak nie jeździły, leciały według polnej drogi. Wyszło na to, że jest polna droga, jedzie dylizans, jest napad Indian wśród kwitnących kartoflik, co niektórzy Indianie napadają na nas piechotą, bo nie starczyło koni. Wpadli w pokrzywy i podskakiwali poparzeni. Ale to już udało się opanować, bo nie montowałem kamerą, bo już były dwie. Było mnóstwo sklejek, nie było kopii, żeby potem bez sklejek puszczać. W domu miałem taki stół montażowy na korbkę, mała lampka i ekranik. A pierwsze filmy montowaliśmy na projektorze. Nie mieliśmy negatywów, pracowaliśmy na tzw. slajdach, każdy film miał tylko jedną kopię. Nie było negatywu, z którego w przyszłości można byłoby coś odtworzyć. Jak chciałem mieć nagranie wideo, to musiałem film puszczać na ekran i kamera zbierała to z ekranu, dopiero na wideo mogliśmy udźwiękować.

Jedyny film, *Człowiek znikąd*, był robiony w Poltelu w Katowicach, zrobili nam wtedy drugą kopię, a z boku był nalep dźwiękowy, mieliśmy setkę. To był rok 1984, ale ja go robiłem w 1980 r. Wszystko się waliło, potem stan wojenny. Gdańsk stoi, a ja próbuję zdobyć taśmę. W stanie wojennym kamery szesnastki miały być zdane, ja nie zdałem i dalej kręciłem film. Jechałem na plan robić napad na bank, miałem worki z napisem Yuma Bank, dolary malowane, rysowane, proch, karabiny, oczywiście flagi amerykańskie. Zatrzymuje mnie milicja, bo podrzucałem znajomego i źle stanąłem. Dokumenty, otwierają bagażnik! Strasznie mi się śmiać chciało, ale milicjanta zatkało. Wypakować wszystko! Wokół auta ustawiam pionowo strzelby, flagi amerykańskie, te worki z pieniędzmi. Mijały nas auta – kurde! Wpadł, do „Solidarności” to wiozł! Staliśmy tak dobre pół godziny, jeden z tych milicjantów wiedział, że kręcę filmy. Teraz wam się chce kręcić takie głupoty! Dobrze, że do tego prochu nie doszli. W końcu wszystko kazali mi zabrać i uciekać. Potem spokojnie zaczęliśmy te nasze wybuchy, wszystko drży, my kręcimy.

B.P. – Polityka kulturalna, dofinansowania, koniunktura – to, jak widzę, dla pana nie był żaden problem. Takie rzeczy panu skrzydeł nie podcinały.

J.K. – Jak mnie przy różnych okazjach pytano, czy mam marzenia, to odpowiadałem – ja swoje marzenia realizuję. Dzięki tej mojej uduchowionej wsi. Jak poszedłem do zespołu Bojszowian, folklorystycznego, czy do tych chłopów od koni, oni mi nigdy nie powiedzieli – nie. Ja realizowałem też ich marzenia. Miałem kolegę, który ileś razy przeczytał książkę o Indianach. Jak go przebrałem za wodza Indian, to już nic nie musiałem mu mówić. On był lepszy ode mnie, wiedział wszystko. Następny był taki, który za komuny nigdy nie pracował. Powiedział – komunie ani grosza nie oddam. Ciągle go nękała milicja. Piękny Antonio. Pod naszym starym kościołem jest taki napis – ten kościół budowali fundatorzy Biberszteini, panowie Bojszów i Jedliny. I on zawsze mówił – jam pan Bojszów i Jedliny. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Jakoś to wyczułem, bo przyspieszyłem robotę. On miał w moim filmie zginąć, zabiłem go wcześniej, i on za tydzień nie żył. To był ciekawy człowiek. Jak w stanie wojennym go zamknęli, założył głodówkę. Puścili go i dostał nakaz pracy do lasu. Jak go zobaczył leśniczy, to jęknął – Boże, największy kłusownik do mnie do roboty! Na



drugi dzień ten Antek skłusował sarnę i leśniczy go przy tym chwycił. Panie leśniczy, niech pan zapomni o tym, co pan widział. Po mnie nikt nie będzie płakał, po panu mnóstwo. Leśniczy zapomniał. Wyciepał go z roboty z zakazem wstępu do lasu. Potem dostał nakaz pracy na Czeczot. Bojzowy są otoczone lasem, a Czeczot jest za lasem. Ani razu nie poszedł do roboty, bo miał zakaz wstępu do lasu. On realizował się jako taki buntownik. Tylko mnie podawał rękę i tylko do mnie przychodził, do filmu. Starszy ode mnie o dziesięć lat, byłem dla niego smarkaczem, ale podobało mu się, co robiłem, chciał brać w tym udział.

Nakręciłem taką trylogię: *Człowiek znikąd*, *Full śmierci* i *Wolny człowiek*. W tym ostatnim zagrał autentyczną postać niejakiego Lontzika z Biasowic. Tam było stare zamczysko, tuż przy granicy, zaraz jest Wisła. Lontzika – z nazwiska nasz, ale z ducha Niemiec. Dla hrabiego Biasa miał naszych podsłuchiwać, o czym gadają. Wszystko wiedział o Ślązakach i nasi o tym wiedzieli. Jak się powstanie zaczęło, to oni go zabili kopaczkami, takimi, co się gnój kopie. W moim filmie nie zginął od motyk i wideł, tylko jak w westernie, w pojedynku. Główny bohater filmu, który był w Teksasie, wrócił do kraju. Musiał wrócić, bo ścigał go Ku-Klux-Klan. Na Śląsku dalej jest buntownikiem. Jak się dowiedział o powstaniu, to przyjechał na powstanie jako rewolwerowiec. Kogo? Lontzika? Ja go załatwię. Idę po ciebie. Są takie sceny – nogi, ostrogi, zbliżenie, dochodzi do pojedynku na takim długim korytarzu tego dworu i on ginie, na balkonie. I za tydzień ten Antonio zginął.

Siedzieli chłopcy na dole, na „Piaście”, podczas stanu wojennego. To był ostatni strajk w Polsce. To byli moi aktorzy. Jak się potem pytam – chcecie grać w filmie? Kogo? Jako człowiek na koniu, wolny. Tak, żeby tego Jaruzela kropnąć! Tak odreagowywali, bo w filmie można zabić bandziora. Ja im fundowałem wolność – w filmie mogli się przemieszczać na koniach. Wolni ludzie.

W Krakowie *Człowiek znikąd* był pokazywany w kinie „Mikro”. Przywoziłem tam stroje, całe kino było przebrane na Dziki Zachód. W holu leciały moje filmiki, te pierwsze nieme westerny, taper grał na pianinie. Do kina za niską odpłatnością mogli wejść tylko ludzie, którzy przebrali się na western. Był zespół Sweet Mizery z „Piwnicy pod Baranami”, miał w swoim zespole dziewczynę z Kentucky, która tutaj studiowała. Prowadzący powiedział, że gdyby ona była w Ameryce, to traciłaby czas na zakupy, wybierała, przebierała. A tu dostała kartkę, wykupiła towar i ma czas śpiewać. Zaczyna się film. W połowie filmu robimy przerwę. Kierownik kina, szeryf, wprowadza mnie w kajdankach jako tego, który zrobił film bez zgody tych najważniejszych władz filmowych w Polsce, poza strukturami. W tym momencie ma wejść bandzior, to był szwagier tego kierownika kina. Był już zaatakowany ładunkiem z krwią, tak jak ja to robię w filmach. Miało to być tak, że jak mnie aresztują, to on wpada i mówi – nie, nie będzie aresztu, ja go zaraz rozwalę! Wyjmuje strzelbę, ja wtedy szeryfowi wyciągam pistolet i mam strzelić, ale kajdanki mi weszły między spust. On na szczęście jeszcze nie włączył tej krwi, ja zrzuciłem kajdanki, strzeliłem i na mój huk on włączył krew. Trysnęła. Konsternacja, facet rozwalony, krew się leje, nawet na ekranie trochę jej było, złapali gościa. Dopiero potem oklaski, że to pokaz. I film szedł do końca. Ostatnia scena – główny bohater przyjeżdża z żołnierską flagą nad groby poległych Ślązaków i mówi – chłopy, ja już zemścił się za was i za siebie, a teraz jadę przez tę wielką wodę na Ślązek, kaj pewnikiem wiele się zmieniło, ale nie wiem, co mnie tam jeszcze czeka. I zrobił się film polityczny, bo ludzie krzyczą – nie przejeżdżaj, bo tu inny bandzior cię czeka! A on jeszcze mówi – najlepiej umierać na swojej ziemi, a ludzie krzyczą – tak, tak, w kazamatach i więzieniach UB! Ale nic się nie stało.

B.P. – A może ubecja traktowała pana niepoważnie?

J.K. – Do 1980 r. robiłem wszystkie swoje filmy na ósemce. Potem pomyślałem sobie tak – mam trzydzieści lat, stary chłop, ileż ja jeszcze będę z tymi pistoletami latał. Zrobię podsumowanie westernu na szesnastce, to taśma półzawodowa, telewizyjna. Kupiłem z ogłoszenia kamerę w Żywcu. Ruska kamera, nakręcana na sprężynę, trzy obiektywy. Musiałem się tego wszystkiego nauczyć. Zaczynam tego *Człowieka znikąd*, to podsumowanie westernu, w lecie 1980 r., kiedy zaczynają się strajki, wszystko się wali. Nie mogę dostać się do taśm. Potem trochę tego wywalzonego przez „Solidarność” luzu. Film jeszcze niegotowy – stan wojenny! To tyle mi pomogło, że nocami, kiedy nie można było chodzić, montowałem te zrobione rzeczy. Zabrakło, na wiosnę 1982 r. muszę dokręcać. Dokręcam pewne sceny i już jest telewizja amerykańska na planie, telewizja Katowice, wozy transmisyjne. I telewizja katowicka nie chce współpracy z Amerykanami. Musieliśmy grać osobno dla jednych i dla drugich. Potem tu, w Pszczynie, bo tu w piwnicy jest saloon – znowu osobno, bo odmawiają sobie współpracy. Wcześniej był u mnie Dan Fischer z Los Angeles Times, amerykańskie auto, tabliczka CD. W 1983 r. była u mnie telewizja amerykańska, angielska, niemiecka, prywatne stacje. Na planie było u mnie ponad dwadzieścia stacji telewizyjnych z całego świata. A moi sąsiedzi to szef milicji i pułkownik WP. Więc potem brali mnie na spytki. Ja nie byłem przesłuchiwany, ale w Pszczynie było nawet na mój temat niemalże posiedzenie KC. Byłem wciąż obserwowany. Pytali przy różnych okazjach, a dlaczego Dziki Zachód? Po co western? Kto panu to każe robić? Ale ktoś tam był jakiś mądrzejszy, kto spostrzegł, że to naprawdę jest niewinne. Jak widzieli ten film, to nie było tam niczego, co by godziło w cokolwiek i w kogokolwiek. I widzieli, że jest to kupa roboty zrobionej w miarę dobrze, własnymi rękami.



B.P. – Dostawał pan kiedykolwiek jakieś dotacje na swoje filmy?

J.K. – Nigdy. Był taki okres, kiedy Dom Kultury w Pszczynie płacił mi za udźwiękowanie filmu i wydanie kopii. To był rok 1984. Tę kopię przejęło Śląskie Towarzystwo Filmowe i rozpowszechniało ją w DKF-ach, w dużych miastach. Doptacałem do tego interesu, jak musiałem jeździć na prelekcje. Za pokaz płacono ŚTF.

B.P. – Pana aktorzy, jak wchodzą do filmu, zaczynają żyć inaczej, bo zaczynają dostrzegać jeszcze inne możliwości w swoim życiu.

J.K. – Teraz robiliśmy film *Bracia*. Była kręcona w starym domu scena – bracia żegnają się z ojcami i idą na powstanie. Widzę, że do sieni wszedł Stasiu, o którym gadają „angielski ksiądz”, nawiedzony. Zaczynałem z nim chodzić do szkoły, ale on już był chory. Później skończył szkołę specjalną. Taki zabiedzony wiejski chłopaczek. On przyszedł, stał i patrzył, co się tam dzieje, a że mnie zna, to się nie bał. Wszedł w bereg. Pytam kamerzysty – jak to filmowałeś, widziałeś go tam? Jego nie było widać, tylko rękę. Powtórzmy to jeszcze

raz. Stasiu, ten beret schowaj sobie do kabzy, tu masz kapelusze i stań w sieni, i słuchaj, co my tu gadamy. Jaka to fajna scena wyszła! Słychać z dworu, jak gra orkiestra dęta, jest pożegnanie, matka z ojcem żegna się do powstania, a on zagląda. On pierwszy, jak zabili tych powstańców, przybiega do okna i krzyczy: Wszyscy zabici, wszyscy zabici! Zagrał w filmie. A w poprzednim filmie sprzedawał balony na odpuszczenie. Trzymał balony i śmiał się, cieszył, bo ludzie mu płacili. Tak jest bardzo często – ja szukam ludzi, szukam, a potem grają ci, którzy przychodzą popatrzeć. Niektórzy z nich to już są stare wygi, nie patrzą, gdzie jest kamera, grają tak, jak trzeba, nie szukają jej oczami.

Był kiedyś TVN na planie i robili wywiady. Jak ze wszystkimi porozmawiali, to przychodzą do mnie – widzieliśmy, jak pan jedną scenę grał chyba z piętnaście razy (bo jeden z takich biedaczków, zamiast pytać jednego w mundurze – tyś jest Hitler? mówił to twierdząco – tyś jest Hitler!). Dla niego człowiek w mundurze musiał być Hitlerem. No i pytają mnie, czy pan się nie boi, że pan tych ludzi ośmiesza? A ja właśnie dlatego powtarzam nawet piętnaście razy jedną scenę, żeby była dobra, żeby tych ludzi nie ośmieszyć. Do filmu idą najlepsze rzeczy.

Przyjeżdżali do mnie tacy chłopcy na motorach, trzeba było zagrać Niemców. Jakoś tak ich ściągnąłem przez przypadek, przez internet, z Katowic, z Rudy Śląskiej. Jeździłem po nich jak po psach, bo oni się potem wygłupiali, wypili sobie nieraz i jeszcze bawili się na tych motorach. A jak film już był gotowy, to przyszli i dawali mi wizytówki. Jeden – adiunkt na uczelni, drugi – lekarz. Same szuchy, a ja ryczałem na nich jak na synków. Oni obejrżeli film i mówią – panie Kłyk, my przyjechaliśmy do pana powygłupiać się, rozerwać się, nie wiedzieliśmy, w czym braliśmy udział. Teraz już nie zagrać, bo teraz na koniach trzeba jeździć. Nawet na jeźcach będziemy jeździć!

Mam około czterystu, może więcej nazwisk ludzi, którzy grali w filmach, ostatnio już nawet nie zapisuję, pewnie byłoby drugie czterysta. Jednego dnia na planie bywa do stu ludzi, np. jak gramy wesele. Nie tylko z Bojszów. Czasami dzwonią ludzi, że chcieli by grać. Pewna pani, farmaceutka, zgłosiła się, przedtem tylko spytała, z jakiego okresu będzie film. Ubrała się sama, świetnie, świetnie wczuła się w rolę. Teraz jest taki czas trudny, że ludzie starzeją się, nawet młodzi odchodzą. Coraz więcej ludzi muszę brać w rameczkę. Nawet dzisiaj dowiedziałem się, że w Bojszowach umarła Erna, jedna z moich aktorek, jedna z wielkich postaci w moich filmach. Nigdy nie powiedziała mi „nie”, zawsze przychodziła w kieckach po mamie i grała różne role statystyczne, chłopca przyprowadzała, chłop grał, też już nie żyje.

Trochę jest taki dziwny zbieg okoliczności, że większość z tych, którzy w moich filmach grali i umierali, tragicznie odchodzą. Coraz więcej odchodzi w ten inny świat. W tym roku minie czterdzieści lat od momentu, kiedy kupiłem pierwszą kamerę. A większość tych, którzy grali w filmach, już nie żyją. Wciąż szukam nowych postaci. A to leci siłą rozpędu – ci, co grali, albo po obejrzeniu filmu, także ich synowie, teraz nawet ich dzieci, przychodzą – ja bym też chciała zagrać choć raz w kieckach, na pamiątkę, bo moja babka chodziła w kieckach. Nauczycielki w szkole też już wiedzą, że wojna nie ominęła Bojszów, ta historia jest w moich filmach.

Nie umiałbym zrobić współczesnego filmu. Współczesne życie mam na co dzień, dookoła, w telewizji. Po co mam się tym w filmie zajmować? Zawsze ciągnęło mnie do tego, czego już nie ma, a znam to z opowieści. Chcę to ożywić i ocalić. W *Czterech synach...* na filmie ocalałem osiem budowli, których już w Bojszowach nie ma, w *Braciach* to samo – po pół roku już nie było starej stodoły, części koszar w Jedlinie, starego domu itd. W Bojszowach i dookoła tak się zmieniło, że za chwilę będę musiał wejść do skansenu w Pszczynie czy w Katowicach. Teraz chcę jeszcze raz wrócić do II wojny.



B.P. – Sam pan odkrywa te nowe historie?

J.K. – Rozmawiam z ludźmi, ale też dostaję listy – do siebie, do posta Alojzego Lysko. Taki list – jest człowiek z Raciborza na wojnie jako wehrmachtowiec. Jest wojna w 1941 r. z Rusami. Oni jadą, stają na jakiś czas we Lwowie, w koszarach. Przychodzi pod koszary kobieta z dzieckiem. Umierają z głodu. Przyszła do Niemców w nadziei, że dostanie coś do jedzenia. Podchodzi, a oni po polsku gadają, bo Ślązacy. Chłopy poratowały ją jedzeniem, a jeden mówi – dziouoszko, nie chodź tu pod koszarami, bo będą źle o tobie gadać. Przychodziła codziennie, bo on jej zaczął nosić chleb, mleko, co się dało. W pewnym momencie powiedział – to jest ostatni dzień, tam masz pod drzewem worek i sześć chlebów, bo my jedziemy dalej na wschód. I jest rok 1956, może 1957. Lwowiaków przeciepli na Ziemi Odzyskane. Ten żołnierz jest na targu w Raciborzu i ona idzie z tym dzieckiem, podrośniętym już. To pan? Ja. Pomogła mu, bo był bijany jako wehrmachtowiec. Poszła do UB i powiedziała, że on jej życie uratował, chleb jej nosił. Dostał lepszą robotę.

Inne zdarzenie, z Bierunia. Koledzy idą na wojnę. Jeden jest żonaty, drugi nie. Na wschodzie ten żonaty dostaje kulkę, koniec, umiera, koledze tylko każe nieśmiertelnik odłamać i wycofywać się, bo Rusy idą. Rusy go nie dobiły, bo myśleli, że nie żyje. Przyszły ruskie dziewczyny do lasu po drzewo, patrzą, a on mruga i gada „mamo”. To chyba nie taki zły Germaniec, modli się. Ciągną go za mantel do chatupy. Chłop przeżył. Tamten przyjechał do żony, powiedział, że mąż nie żyje. Wojna skończyła się, on do niej jeździł. Jako wdowa wyszła za mąż za niego. Mieli troje dzieci. W latach pięćdziesiątych wypuścili

von Paulusa z grupą żołnierzy. On się z nimi wy dostał. Puka do chatupy, w tazi. Żona, troje dzieci i jego przyjaciel. Ja już mam temat. Będę to robić, połączę te dwie historie.

Mnóstwo takich zdarzeń niesie życie. Mogę pokazać, jak na wschodzie zginął ojciec Alojza Lyska, mogę pokazać, jak Rusy do Bojszów wlażyły, tu było lotnisko. Wiem, co Rusy robiły. I znam historię, jak pewien ojciec narobił śmierdzącego ciasta i wszystkim w domu porobił na ciele boloki (czyraki), do włosów nasypał mąki, że niby wszy. Wszystko takie debilowate, śmieci na podłodze. Jak Rusy zajrzały, to przez tydzień był spokój. Nie ukradli, nie zgwałcili, poszli dalej. Tak się ludzie ratowali. Moja mama była przebrana za synka, chodziła cały czas pomazana po twarzy sadzą z komina, przez tydzień. Rusiska nie przepuszczali niczemu na dwu nogach. Jednego Rusa rozstrzelali, bo babkę siedemdziesięcioletnią zgwałcili.

Teraz mogę wydłużać te ludzkie historie do lat pięćdziesiątych. Tematy same się proszą. Mam jeszcze wiele materiałów, które nie weszły do poprzednich filmów. Trochę dokręcić i jest następny film. To wszystko idzie za mną. Ze mnie się śmiali, jakież ty możesz robić, jak przekładasz to na westerny europejskie, a to robią zawodowcy, a ty robisz też europejskie, ale nie masz na to pieniędzy. To musi być knot. Feliks Netz, to jest taki nasz krytyk filmowy z Katowic, przyszedł na mój film *Człowiek znikąd* i napisał tak: poszedłem na ten film, bo jest zrobiony przez amatora, western pełnometrażowy. Toż to musi być knot, kupa śmiechu. Idę się pobawić. Potem powiedział – jestem bezradny, obejrzałem ileś tysięcy filmów i nie umiem tego ocenić. Czy jest to dobre, czy złe. Większość ludzi przy moich filmach nie wie, jak to ocenić. A ja myślę, że one nie są ani dobre, ani złe, tylko są prawdziwe. Pokazuję to, co się wydarzyło. Z autentycznymi ludźmi pokazuję prawdziwość życia.

Moje westerny, które miały być gorsze, z których mieli się ludzie śmiać, one nie są gorsze, bo ja mam temat. Jeśli ktoś pokazuje *Dziki Zachód* tylko po to, żeby się strzelać i ryczeć, tak jak te „spaghetti westerny” Włochów, to zawsze będzie to dziadostwo. A ja pokazuję, że tam byli nasi ludzie i mieli kłopoty z szeryfami, z Indianami, i z całą obcością, którą tam zastawali. I pokazuję to w prosty sposób, nie boję się kamery z ręki, bo każdy podskakuje na wystrzał. Poza tym często nie mam czasu na statyw, żeby go ustawić. Kręcę z ręki, mam układ pistoletowy i nacisk. Każdego uczę, jeśli sam nie kręcę, że ma tak kręcić, jakby strzelał z karabinu, przykładasz oko i ręka ma ci nie drgnąć. Ograniczeniem jest sprężyna. Amerykanie uczą tego teraz, takiego reporterskiego kręcenia. Różne eksperymenty ze światłem, sam musiałem do tego dochodzić, a za nimi stała cała historia Hollywood, doświadczenia setek tysięcy ludzi. Uczyłem się na swoich błędach.

B.P. – Teraz ma pan większą wiedzę, doświadczenie. Czy stykał się pan na początku z kinem amatorskim?

J.K. – Cały czas wiedziałem, że istnieje kino amatorskie, że ludzie robią filmy. Był Amatorski Klub Filmowy Mikołów, był w Czechowicach-Dziedzicach. Mnie od początku nie łąpały te kluby. Zorientowałem się, że oni też mają problemy – nie mają taśmy, nie mają stolików montażowych. Ogłaszają festiwal. Czytam hasło – „Praca i człowiek”, 10 minut, więcej nie przyjmują. To się w dupę ugryźć, ja takiego filmu na pewno nie będę robił. Od początku nie szedł za mną dokument. Dokument wymusił na mnie Sosna, rodzina, bo jest wesoło, to sfilmuj. Mój kolega Wikarek ma ponad sto nagród jako filmowiec amator, Lenert, starszy ode mnie o dwadzieścia lat, jest w księdze Guinnessa, ma ponad trzysta nagród jako amator. Ale co za tym szło? Jak byłem pierwszy raz na pokazie, gdzie te nagrody dostawałem, to zobaczyłem towarzystwo wzajemnej adoracji. Nie było otwartych seansów.



Pytam się, dlaczego? Jeżeli w Bieruniu jest ogólnopolski festiwal filmowców amatorów i zakwalifikowało się 54 filmy i przyjechało 54 twórców, to czemu nie otworzyć drzwi, żeby przyszła klasa z liceum i żeby nagrodę dała publiczność? Ale to polega na tym, że leci film za filmem i są tylko twórcy. Sami sobie klaszczą, sami robią sobie rejwach, a jury siedzi i już z góry wie, komu ma dać nagrodę, bo potem jest festiwal w Kędzierzynie-Koźlu, potem w Koninie, potem jeszcze gdzieś. I oni wiedzą, jak mają zbierać nagrody. I coś mi z nagrody, którą dało mi jury, jak nikt tego nie ogląda? Widziałem w telewizji – najlepsze filmy czasami puszczały w migawkach. I obostrzenia z góry – nie dłużej niż dwadzieścia minut. I myśl, jak robisz film, że masz pilnować czasu i o tym, co lubi jury. Zamknięty krąg. Niektóre filmy są dobre, nie powiem, ale robione pod konkurs lub konkretnego człowieka. I ja mam na takie coś z moimi filmami pójść? Pokazywałem kiedyś film poza konkursem, ale jury się nie wypowiedziało, tylko oczami przewracali. Nie bardzo pasowało im, bo niby to gloryfikowanie Wehrmachtu, a ci Ślązacy nie byli aż tacy źli. To nie każdemu pasowało. Na festiwalu w Kędzierzynie-Koźlu puścili nasz film *Różaniec z kolczastego drutu*, nie byłem na tym pokazie. Machulski był w jury. Powiedział: to jest złe, to niemożliwe – jak można podczas wojny chodzić w pięknych, czystych kieckach? Im się wydaje, że podczas wojny wszyscy byli brudni, bo była okupacja. Nie było tak. To była okupacja Polski, oni Śląsk uznali za swój, przejechali tylko. Kto się podporządkował władzom, to nie miał wojny, trwało normalne życie. Dopiero jak weszli Rusy, to się zaczęło całe to dziadostwo. Oni nie rozumieją Śląska i nawet nie chcą się zniżyć do tego, żeby go poznać. To jest problem.

B.P. – Siłą napędową tego, co pan robi, jest pana śląskość. Pan jest stąd i o tym chce pan mówić.

J.K. – Urosło to do pewnej misji. Nigdy o tym nie myślałem, ale ktoś mi na to teraz zwrócił uwagę. Taka jest ta misja, żeby robić to, co już odeszło, żeby jeszcze zdążyć to opowiedzieć. To tak się zaczyna układać. Nawet jak robię film o Ślązakach w Teksasie, to po to, żeby ludzie zrozumieli kulturowość Śląska, więc ciągle robię retrospekcję na Śląsk – w jakim to czasie było i co się tutaj wtedy działo. Tu był zabór, były kłopoty, z Niemcem nie umieli się dogadać. Ja to pokazuję i potem wiadomo, dlaczego oni nie potrafili dogadać się tam w Teksasie – bo tam też Niemcy są. Byli wcześniej niż Ślązacy. Stąd uciekali ludzie na emigrację niejednokrotnie po to, żeby nie iść do pruskiego wojska, żeby się nareszcie wyzwolić. Tam się im obiecuje, że będą wolnymi ludźmi. Cóż to za wolny człowiek – przyjeżdżają do San Antonio i pola, które będą kupować, sprzedaje sędzia niemiecki, szeryfem jest Niemiec. A jak Polak pierze się z jakimś Amerykaninem, to zawsze zamyka się Polaka. Znowu wpadli w niemieckie łapy. To przekleństwo i tam się przeniosło.

Od tych niewinnych pomysłów na western powstała już cała saga westernu śląskiego. On jest specyficzny. Pokazuję kiecki śląskie na Dzikim Zachodzie. Tam jest wesele po śląsku, tam się piecze kotacze. To wiemy z opisów, że kowboje zostawiali swoje krowy i przyjeżdżali na śląskie wesele, bo nareszcie mogli sobie pojeść, bo na prerii to miał fasolkę i kawę-lurę. A tu kotacze, świniobicie, leberwurst, krupnioki, salcesony i inne rzeczy. Ale nie było lodówek, więc mięso suszyli na stońcu. I Ślązacy uczyli się tam czegoś nowego. Tu mieli cztery pory roku, a tam nie, trochę cieplej latem, trochę zimniej zimą. W Pannie Marii do dzisiaj stoi dom z 1858 r. – murowany, jak u nas, ściany grube. Tego w Teksasie nie znali. Przykryli to dachówką, małe okienka. I dom stał się twierdzą. Indianie napadają – to było autentyczne przeżycie Bena Urbańczyka. Zasiał kukurydzę, patrzy, coś tam się rusza, myślał, że krowa wlaźła. Poleciał z kopaczką, patrzy, a to Indianie. Więc w nogi. Wlatuje do domu, już dwie strzały miał w tyłku, szczęście, że nie zatrute. Zamknął się, dzieci na podłogę i zaczął się ostrzeliwać przez okna. A żona z tyłu mu te strzały wycinała. Indianie widzą, że nie da się zdobyć chatupy, to podpaliли strzały i strzelają tymi zapalającymi. A tu guzik, chatupa się nie pali. Wycofali się. Meksykanie w upalny dzień przyjeżdżali do niego wyspać się, na zmianę, bo chłód był w tej chatupie. Kłopot był, bo w tej temperaturze nawet gady szukały ochłody, więc żmije, grzechotniki, wszystko to wlaźło do tej izby. Przed spaniem musieli dokładnie przeszukiwać dom i wymiatać to wszystko, czuć, żeby ich co nie ukąsiło.

A zaczęli w ziemiankach. Większość z nich wcześniej służyła w Berlinie. Przyjeżdżają do Teksasu i tam im wypada w ziemiance mieszkać, przedtem widzieli kulturę, wielkie miasta, nagle – w średniowiecze. Jak wplynęli do Zatoki Meksykańskiej, to czekały na nich dwukółkowe wozy zaprzężone w woły i Meksykanie z wężami i pistoletami, i dwa tygodnie przez prerię. Baba poszła się wysikać, ugryzł ją grzechotnik i baby nie ma. Ksiądz Moczygamba, który ich tam sprowadził, musiał uciekać do Detroit, bo takie mieli do niego pretensje. Tam też umarł. Dopiero po latach sprowadzili go do Panny Marii, żeby go pochować. A on był założycielem Panny Marii. Tam do tej pory wszyscy po śląsku gadają. Jeszcze jest Częstochowa, Kościuszkowice, Święta Jadwiga, Święta Helena, Bandera. Ich mieszkańcy są potomkowie Ślązaków. Teraz tam mają ropę. Kiedyś im ziemia śmierdziała. Śmierdziała, bo z ropą. Teraz zbierają pieniądze, pompy kiwają się i produkują im dolary. A farmerują na *corn* i *cotton*. W większości tamci Ślązacy byli z Opolszczyzny.

Z Bojszów pierwszy był tam stary Dubiel, był w wojskach US Army, które ostatnich Indian zapędziły do rezerwatów. Na przełomie wieków przyjechał z powrotem, nie był Ślązakiem, był zza Wisły, czyli był cesarakiem, z Galicji. Na Śląsk przeszedł za pracą. Paś u Wiśniewskiego krowy. Jak paś krowy, to się rozniósł, że był w Ameryce. Pytali go



– gdzie ta Ameryka? Tam, gdzie słońce zachodzi, trzeba przepłynąć Wielką Wodę. I tam, gdzie on pokazywał, na zachód, powstała w Bojszowach dzielnica zwana Ameryką. My jako bajtli do Ameryki chodziliśmy na jagody, na grzyby. Kiedyś raz na tydzień przez Bojszowy jakieś auto jechało. Ktoś przejeżdża i pyta – jak do Nowych Bojszów dojechać? A, pojedziecie do Ameryki i potem w prawo. Był taki Pietrek Sklorz, urodzony w Buffalo w Ameryce. Tam mu zmarli rodzice. Miał dwadzieścia kilka lat, jak przed wojną wrócił. Za dolary kupił sobie pole od księcia pszczyńskiego i postawił dom. W 1939 r. mu gadają: aleś ty głupi. Wojna będzie, po coś ty z tej Ameryki przyjechał. On gada: niech strzelają na drodze, ino niech mnie na plac nie włożą. Myślał po amerykańsku, o prywatnej własności. I w 1939 r. z winchesterem koło furtki stał, a potem musiał się ukrywać, bo powiedzieli, że z karabinem czekał. Przeżył. Umarł w 1968 r. Nosił czarne kapelusze, miał białą brodę jak Mormon. To zdarzenie też w moim filmie zaistniało. Kiedy kończyłem trylogię *Szlakiem bezprawia – Człowiek znikąd, Full śmierci i Wolny człowiek*, to ona się kończy w ten sposób, że główny bohater, który ma przeszło osiemdziesiąt lat, jest wyjęty spod prawa, bo walczył podczas powstań, potem z polską policją zadarł. Z lasu wyciągnął go Hitler, jest rok 1939, wojna. Słucha radia w chałupie, jak Hitler przemawia w Reichstagu, a na jego plac już Niemcy wjeżdżają. Ale on myśli po amerykańsku i mówi, że mu na plac mają nie wjeżdżać. Wychodzi z laską, z pistoletami pod płaszczem i mówi, żeby się zabierali. I rzuca tę laskę, w której są ładunki wybuchowe z kopalni. Wybuch i on strzela do Niemców. Jest pojedynek na placu. Oczywiście dostaje serię i umierając, widzi, że nie było to daremne, bo przez płot w pełnym galopie skacze ułan na koniu, na wolność. Ale on tego nie widzi, w umierających oczach widzi siebie, jak jedzie przez prerię o zachodzie słońca.

Ślązacy uciekali stąd, żeby nie iść na wojnę, a tam zaraz musieli iść na wojnę secesyjną. Byli w niej po stronie Południa, czyli nie walczyli o swoje ideały. Po stronie Unii

walczyło wielu Polaków, oni się dogadywali i przechodzili na drugą stronę. Wracali po wojnie secesyjnej jako zdrajcy Południa, w niebieskich mundurach. Złotko wracał ostatni, bo jeszcze trochę szwendał się po Ameryce. Spotkał po drodze krzyż, a to pewnie tu są Ślązacy. Ale patrzy, jakieś śmiertki się wokół niego plączą. To był Ku-Klux-Klan, chcieli spalić krzyż. Nie mógł oczywiście na to pozwolić, doszło do strzelaniny, wybił ich. Zadarł z nimi. Gdy był na prerii ze swoim bydłem, wystrzelali mu rodzinę. Pomścił ich i wrócił do kraju. Tu oczywiście zadarł z Niemcami, bo to jeszcze były czasy zaboru, a to był człowiek, który miłował wolność. Wyglądał jak Zorro, płaszcz, pistolety. Pomagał ludziom i znikał. I to w filmie *Full śmierci*.

Robię następny temat – *Dwaj z Teksasu*. Znowu na autentycznych zdarzeniach. Marcin Mróz to był śląski bandyta. Podpatrywał Indian. Pierwszą ofiarą w Teksasie był Teodor Kindla. Był u cesarza niemieckiego żołnierzem jako ułan. Jak wyjechał, powiedzieli mu, że nie ma innej roboty, tylko kowboj, to siadł na konia. Nie znał języka. Krowy paśli Teksańczycy z Meksykanami, przytączył się do nich. Indianie podkradali im krowy, po dwie, trzy. Oni o tym wiedzieli, ale mieli spokój. A tamci też byli najedzeni. Widział to Ślązak. Płacą mu za pilnowanie stada. Więc ruszył na tych Indian. Ogląda się, ale tamci nie jadą za nim. Sam zaatakował Indian. Dostał parę strzał, oskalpowali go, wykrwawił się i umarł. Wszystkiego tego świadkiem był młody Marcin Mróz – widzi, Indianie kradną i nikt ich nie karze. Zaczął robić to samo. Zaczynał od kradzieży pojedynczych sztuk, ale potem zorganizował bandę i gnali całe stada przez Rio Grande do Meksyku i tam sprzedawali. Był coraz bogatszy i były już za nim listy gończe. Teksas Rangers już za nim węszyli. Ożenił się z najładniejszą dziewczyną w okolicy. Miała ojca Ślązaka i matkę Meksykankę. Gadała po śląsku. W drogę wchodził im John Wesley Hardin, największy rewolwerowiec w Teksasie, bo podobąta mu się ta dziewczyna. Chciał ją odbić, już przygotowywali się do pojedynku, do którego nie doszło, bo zginęli z rąk Teksas Rangers.

Niektórzy ludzie myślą, że ja to wymyślam. A to wszystko jest prawda. Chciałbym jeszcze, gdyby była taka możliwość, zrobić film w Teksasie. Tam była telewizja z Katowic i ja dostałem od nich materiał filmowy, krajobrazy, krowy. Już nie mam udawanego Teksasu w Bojszowach, ale mam prawdziwy. Tutaj dokręcałem sceny obyczajowe, pojedynki, pole kukurydzy. Był jeszcze jeden Śląski Amerykanin, Manek Uszok, już nie żyje. Był przedwojennym nauczycielem, był w polskiej armii i w 1939 r. przez Rumunię wylądował w Francji, był w polskim wojsku i po wojnie zabrał się do Ameryki, ale przyjeżdżał tutaj. Tam działał w klubach kombatanckich i uczestniczył w jakichś ćwiczeniach NATO. Jak on tu przyjeżdżał, to nasi patrzyli na niego jak na szpiega. Często z nim rozmawiałem i pokazywałem mu zdjęcia z tych miejsc, które ja tutaj budowałem, żeby grały tę osadę Panna Maria. On myślał, że to zdjęcia stamtąd, bo ja odtwarzałem to, co miałem na zdjęciach, a krajobrazy są podobne, bo jest płasko, a krowy mogą zagrać nasze, bo tam też są czarne, i czerwone z krótkimi rogami. Ktoś mi zarzucił, że na moich westernach za dużo pije się piwa, bo tam pije się whisky. Tak, ale ja pokazuję Ślązaków tam, i oni tam pili piwo, bo Niemcy pobudowali browary. Jest scena – miasteczko, bandziory popijają przed barem, nudzą się. Zajeżdża dylizans, wysiada dziewczyna w kieckach, a obok niej wysiadają inne dziewczyny. Nasze kiecki są do pół łydki, a te suknie w westernach, to nóg nie widać. Chłopcy, patrzcie na nogi i mlaskajcie. Szeryf musiał rozgonić całą tę hołotę i wybawić ją z tej sytuacji. Nakręciłem to. Potem w jakiejś książce czytam list: „Pisza do Johana, do Śląska. Ja, Moczygemba pisza, nie biercie Hance kiecek, bo u nas to ino na grzech a poniżenie”. Ja o tym nie wiedziałem wcześniej, ale tak sobie to wyobraziłem.

B.P. – A skąd pan czerpał swoją wiedzę historyczną? Czy tylko z opowieści?

J.K. – Wiele wiem z literatury, choć ona była trudno dostępna w tamtym okresie. Szukałem w bibliotekach. W ten sposób znalazłem opowieści o Ślązakach z Brazylii. Czytałem o wojnie secesyjnej, tam było trochę wiedzy; o wojnie między Meksykiem i Teksasem. Grzebałem, potem znalazłem Brożka *Ślązacy w Teksasie*. Poza tym czytałem literaturę westernową, nie mówię o powieściach, ale o opracowaniach historycznych. Oczywiście uczyłem się na filmach. Dla mnie szkołą kręcenia było patrzeć na filmy kinowe, przez dziewięć lat byłem operatorem w kinie. Westerny grało się po pięćdziesiąt razy. Za peerelu dostawało się premię, jak grało się filmy demokracji ludowych, za zachodnie i amerykańskie nie było premii, a na nich robiliśmy największą kasę, więc okłamywało się. W raportach pisaliśmy, że puszczałyśmy ruski film i stąd te pieniądze. Potem było to w statystykach, jak nasi widzowie lubią radzieckie filmy. Na polskich filmach też nie było zbyt wielu ludzi. Na każdym filmie starałem się patrzeć na błędy, czy je znajdę, jak już któryś raz go oglądałem. Nawet w *Casablance* znalazłem, przy papierosie. Humphrey Bogart rozmawia, paląc papierosa, a papieros zamiast się zmniejszać, to się zwiększa. A tego powinna pilnować sekretarka planu, mierzyć długość tych papierosów przy kolejnych ujęciach. Jak jadę na plan, to muszę pamiętać o bardzo wielu rzeczach, o igle, niciach, drucie itd.

Wracając do książek, dostałem historię napisaną przez Amerykanina o Pannie Marii i ludziach stamtąd. Oglądałem w telewizji dokument Gary Coopera *Prawdy i legendy Dzikiego Zachodu*, to też było ciekawe. A jak byłem dzieckiem, to przy tym telewizorze w karczmie siedziałem od rana. Ale we wszystkim jestem samoukiem. I zawsze byłem wolnym człowiekiem.

Wszystkie zdjęcia z planów filmowych pochodzą z prywatnego archiwum Józefa Kłyka



Józef Kłyk, urodzony w 1950 r. w Bojszowach na Górnym Śląsku, z zawodu kinooperator i technik budowlany, po 10 latach pracy w lakierni FSO w Tychach na rencie. Autor (reżyser, scenarzysta, scenograf, kostiumolog, charakteryzator, aktor) 10 filmów pełnometrażowych i ok. 90 krótkich filmów; nieprofesjonalny malarz (około 1000 obrazów olejnych i ilustracji książkowych o tematyce regionalnej). Twórca „filmów bez pieniędzy” – wszystkie produkcje filmowe zrealizował dzięki pracy własnej i życzliwości ludzi, przede wszystkim mieszkańców Bojszów. Przy niektórych filmach pomagały instytucje darując taśmę filmową czy dając stypendium na udźwiękowanie.

INTERESUJE MNIE CZŁOWIEK

Z RYSZARDEM BUGAJSKIM, REŻYSEREM, TWÓRCĄ SPEKTAKLU TELEWIZYJNEGO „ŚMIERĆ ROTMISTRZA PIŁECKIEGO”, ROZMAWIAJĄ JACEK PAWŁOWICZ I BARBARA POLAK

B.P. – Proszę opowiedzieć o swojej drodze do kina, dojrzewaniu w twórczości filmowej, budowaniu niezależności.

R.B. – Nie mam dyplomu żadnej uczelni. Jako dziecko miałem wyraźne zdolności plastyczne, potem zacząłem pisać opowiadania, reportaże. Grałem na różnych instrumentach. Nie-

wątpliwie więc ciągnęło mnie w stronę, nazwijmy to – artystyczną. Po maturze poszedłem na filozofię na uniwersytet, gdzie miewali jeszcze wykłady Tadeusz Kotarbiński, Władysław Tatarkiewicz. Był Adam Schaff, Leszek Kołakowski, Stefan Morawski, Klemens Szaniawski, cała grupa najwybitniejszych wtedy polskich myślicieli. Oczywiście Bauman, Baczeko. Na pierwszych zajęciach asystent Schaffa powiedział: „państwo muszą sobie uświadomić, że stanowią przyszłą klasę

Adam Schaff, ur. 1913, filozof, działacz komunistyczny. Od 1932 r. członek KPP, następnie PPR i PZPR. W latach 1957–1968 członek KC PZPR. Wykładowca m.in. Uniwersytetu Łódzkiego (1945–1948) oraz UW (1948–1968), a także dyrektor Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR. Po 1968 r. pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. W połowie lat 80. usunięty z PZPR, wyjechał z PRL.

rzządzącą”. Oblał mnie zimny pot, bo ja od tego byłem jak najdalej, nie wchodziło w grę zostanie członkiem partii, „funkcjonariuszem”. Na trzecim roku prawie przez przypadek poszedłem na Festiwal Festiwali Filmowych w kinie „Skarpa” na film *Osiem i pół* Felliniego. I w połowie tego filmu już wiedziałem, co chcę robić w życiu. To przyszło jak olśnienie, a jednocześnie rzecz oczywista. Wróciłem do domu pieszo w nocy na Pragę i byłem święcie przekonany, że to jest jedyna rzecz, którą chcę robić. Wyrzucili mnie z uniwersytetu, bo

całkowicie się zaniedbałem naukowo. Zdawałem do szkoły filmowej, ale nie przyjęli mnie, wtedy były ważne znajomości, odpowiednie nazwisko. Nastąpił rok 1968, po którym w ogóle nie przyjmowano do szkoły filmowej i wyrzucono połowę profesorów, podobnie jak z uniwersytetu. Notabene 8 marca byłem na tym wiecu na uniwersytecie i tam mnie porządnie spałowali po plecach. Wtedy stwierdziłem, że nie ma dla mnie przyszłości w tym kraju, i wyjechałem do Anglii. Pierwszy raz dostałem wówczas paszport, choć występowałem o niego wcześniej, ale SB miała jakies podejrzania wobec mnie.

Zygmunt Bauman, ur. 1925, socjolog. Podczas II wojny światowej w ZSRR, gdzie służył w wojskach NKWD. W latach 1945–1953 oficer ds. politycznych w KBW, w latach 1945–1948 był również tajnym współpracownikiem Informacji Wojskowej. Po opuszczeniu KBW studiował m.in. filozofię na UW, a następnie pracował naukowo, będąc m.in. redaktorem naczelnym „Studiów Socjologicznych” i kierownikiem katedry socjologii ogólnej. W 1968 r. został usunięty z uczelni z powodów politycznych. W tym okresie cieszył się już dużym uznaniem studentów i środowiska naukowego. Następnie kontynuował pracę naukową na zachodnich uniwersytetach.

Bronisław Baczko, ur. 1924, filozof, historyk idei. W pierwszej połowie lat 50. zwolennik skrajnego marksizmu w filozofii. Z tych pozycji krytykował m.in. dorobek Tadeusza Kotarbińskiego i Władysława Tatarkiewicza. W latach 60. Baczko zaczął być postrzegany jako jeden z ideologów rewizjonizmu. Zajmował się badaniami nad egzystencjalizmem. W 1968 r. został usunięty z powodów politycznych z pracy na UW i wyemigrował z PRL.

B.P. – Słuszne czy niesłuszne?

R.B. – Było tak, że chciałem za każdą cenę wyjechać za granicę, na Zachód oczywiście. Ktoś dał mi zaproszenie na jakiś kongres młodzieży w Strasburgu. Potem się okazało, to powiedział mi esbek, nasz opiekun filmowy, że za tym stała Wolna Europa i na dodatek oni się słabo dość ukryli. W 1969 r. wyjechałem na zaproszenie prywatne mojego przyjaciela, Anglika, do Londynu. Poszedłem

do przedstawicielstwa Australii i złożyłem tam podanie o wizę imigracyjną. W tym czasie dostałem list z Polski, że w tym roku przyjmą mnie do Szkoły Filmowej, bo ten sam co dawniej skład egzaminatorów doszedł do wniosku, że popełnił wobec mnie jakąś niesprawiedliwość. Australia może trochę poczekać, pomyślałem, więc wróciłem. Dostałem się do szkoły bez problemów. Prawie od początku utrzymywałem kontakt z Andrzejem Wajdą, co jest o tyle istotne, że szkoła tak naprawdę niewiele mi dała. Było dwóch, trzech ludzi, którzy mnie czegoś nauczyli. Miałem letnie praktyki zawodowe w warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych, a Wajda wtedy pracował nad udźwiękowieniem *Brzeziny*, w następnym roku kręcił *Wesele*. I wtedy najwięcej się nauczyłem i zbliżyłem do Wajdy. Kiedy powstał Zespół X, czyli na początku lat siedemdziesiątych, to w sposób dość naturalny najpierw stałem się tzw. adeptem, a potem członkiem tego zespołu. Właściwie cała moja kariera filmowa w Polsce, aż do wyjazdu, do emigracji do Kanady w 1985 r., była związana z tym zespołem.

B.P. – Proszę więc o opisanie kina polskiego i filmu w peerelu z perspektywy miejsca, w którym pan się znalazł.

R.B. – Do Zespołu X ciągnęło mnie w naturalny sposób – Wajda był wtedy najwybitniejszym polskim reżyserem i obecność u niego na planie czy kontakty z nim bardzo wiele uczyły. Ale to niewątpliwie była też opcja polityczna, bo to była grupa ludzi, do której należeli m.in. Agnieszka Holland, Marcel Łoziński, Tomasz Żygadło, Feliks Falk, czyli ludzie, którzy sami mieli bardzo wyraźne sympatie czy też antypatie polityczne. Ja się w to grono w sposób oczywisty wpisywałem, bo od lat dziecięcych, a na pewno młodzieńczych, byłem nastawiony zdecydowanie antykomunistycznie. Uważałem, że cały system polityczny w Polsce jest nienaprawialny, sama zasada jest zła. Na pierwszym roku filozofii miałem moment wahania pod wpływem Adama Schaffa, czy jednak nie zapisać się do partii, ale szybko sobie uświadomiłem, że nawet jeśli uda mi się zrobić tam coś pożytecznego, to przecież samego systemu nie zmienię. Agnieszka Holland była najmocniej politycznie określona, bo

Marcel Łoziński, ur. 1940, syn Salomona Stramera i Geni Łozińskiej. Reżyser, dokumentalista, absolwent łódzkiej „filmówki” z 1971 r., tworzący tzw. dokumenty fabularyzowane. W 1988 r. ukazał się w produkcji francusko-polskiej jego film *Świadkowie*, zapis relacji świadków „pogromu kieleckiego” z 1946 r., który wzbudził kontrowersje jako tendencyjnie zmontowany.

była zamieszana w proces „taterników”, była przez SB prześladowana w związku ze swoim ojcem. Wszyscy byliśmy bardziej lub mniej otwarcie w opozycji wobec władz. Nazwisko Wajdy gwarantowało nam pewne bezpieczeństwo. Bardzo nie lubiliśmy się z członkami zespołu „Profil” Bohdana Poręby, nacjonalistyczno-partijnym ugrupowaniem, które tępiło nas, jak mogło. Podczas gdy w Zespole X powstawały filmy „antypaństwowe”, oni robili takie rzeczy jak np. *Gdzie woda czysta i trawa zielona* – pochwałę socjalizmu, lub *Hubal*, patriotyczno-historyczny fresk. My robiliśmy takie filmy, które pokazywały rzeczywistość krytycznie. Na przykład był cykl telewizyjnych filmów *Sytuacje rodzinne*. Były to realistyczne obrazki pokazujące życie takim, jakie jest, bez upiększeń. Oczywiście wywoływało to niechęć władz, ale jakoś to się przebijalo.

„**Taternicy**” – potoczne określenie grupy osób (m.in. Maciej Kozłowski, Krzysztof Szymborski, Maria Tworkowska), które zbierały i przekazywały do paryskiej „Kultury” dokumentację wydarzeń Marca 1968 oraz przemycaly przez Tatry do Polski wydawnictwa emigracyjne. Aresztowani w wyniku akcji perelewskiej i czechosłowackiej bezpieki zostali osądzeni w procesie, który odbył się w dniach 9–24 lutego 1970 r. Na ławie oskarżonych zasiedli także Jakub Karpiński i Małgorzata Szpakowska, którzy dokumentowali Marzec niezależnie od grupy Kozłowskiego. Zapadły wyroki od 3 lat do 4,5 roku więzienia. Skazani wyszli na wolność po amnestii 1971 r.

B.P. – Były jakieś ingerencje?

R.B. – Bez przerwy. Każdy z tych filmów przechodził przez cenzurę telewizyjną, bo cenzura z Mysiej nie miała z produkcjami telewizyjnymi zbyt wiele do czynienia. Zarówno produkcja telewizyjna, jak i kinowa miała swoich „opiekunów” na miejscu.

B.P. – A scenariusze nie wymagały zezwolenia cenzury?

R.B. – Mechanizm był dość prosty. Jeżeli to była współczesna, realistyczna historia, wystarczała decyzja jakiegoś telewizyjnego bossa – Janusza Gazdy czy Jacka Fuksiewicza, którzy po prostu mówili „nie” albo że taką i taką scenę należy usunąć, albo problem przedstawić inaczej. Do cenzury na Mysią to szło dopiero, jak film był gotowy – oni musieli gdzieś przystawić swoją pieczęć, ale nas to nie dotyczyło i nie interesowało. Oczywiście pewną autocenzurę mieliśmy w zespole – Wajda mówił czasami, gdy pojawiał się szczególnie drastyczny scenariusz, no słuchajcie, nie róbcie mi takich rzeczy, bo tego nam nie przyjmą, przecież to odrzucą, nasz Zespół będzie miał kłopoty. Próbowaliśmy więc podchodzić do tego realistycznie.

B.P. – A pamięta pan ze swojej własnej działalności jakiś kompromis, na który musiał pan pójść?

R.B. – Nie pamiętam konkretnych, to były rzeczy bardzo drobne. Na przykład w dialogu padało zdanie, że tylko partyjni dostają nowe mieszkania, no to oczywiście wykreślano takie zdanie. Albo gdy jakiś partyjniak nie najlepiej się zachowywał, to mówiono, że on się nie może tak zachowywać. Pewne rzeczy, pewne tematy w ogóle nie przechodziły. Prawie od początku istnienia zespołu był projekt, co do którego wszyscy mieli nadzieję, że zostanie zatwierdzony

– teraz widzę, że to było marzenie ściętej głowy: *Koniec świata szwoleżerów* Mariana Brandysa. Wszyscy członkowie zespołu, Wajda oczywiście też, mieli zrobić godzinne filmy. To miał być wielki fresk historyczny. Do tego oczywiście nie doszło, powodów nie trzeba tłumaczyć, rzecz dotyczyła przecież rosyjskiej okupacji, a wtedy wszystko, co dotyczyło Rosji, nie mówiąc o Związku Sowieckim, było całkowicie niecenzuralne. Samo słowo „Rosja” wywoływało strzyżenie uszu wszystkich pilnujących nas cerberów. Już po skończeniu *Przesłuchania*, kiedy stałem się wrogiem Polski Ludowej numer jeden, ówczesny wiceminister kultury – Tadeusz Bajdor – powiedział publicznie na zjeździe Stowarzyszenia Filmowców Polskich, że nie dadzą mi szansy realizowania filmów antyradzieckich (sic!), bo Zespół X złożył wcześniej w moim imieniu propozycję nakręcenia *Cudzoziemki* według Marii Kuncewiczowej.

Pod koniec lat siedemdziesiątych, przed stanem wojennym, udało się zrobić zespołowi przynajmniej z pięć filmów, które poszły na półkę albo były bardzo przez władze nielubiane. To był telewizyjny, potem kinowy film Agnieszki Holland – *Kobieta samotna* i wcześniejszy jej film *Gorączka* według *Dziejów jednego pocisku* Andrzeja Struga, którego władza bardzo nie lubiła.

B.P. – Chyba po raz pierwszy pokazał się wtedy Linda.

R.B. – Falk nakręcił *Wodzireja*, który długo leżał na półce, bo ciągle chcieli mu coś wycinać, on nawet coś wyciął, wiele to oczywiście nie zmieniło. To była komedia obyczajowa, wreszcie poszła, ale film ich bardzo rozdrażnił. Wajda zrobił *Bez znieczulenia*, co ich również bardzo rozdrażniło. Ja dołożyłem im swoim *Przesłuchaniem*, na który reakcja była wręcz histeryczna. Prawie jednocześnie Janusz Zaorski skończył *Matkę Królów* według Kazimierza Brandysa, a Tadeusz Chmielewski *Wierną rzekę* Żeromskiego, co dotyczyło znowu Rosji. Te realizacje doprowadziły do tego, że zwolniono Wajdę oraz całe kierownictwo tego zespołu z funkcji. Wajda wtedy był we Francji i kręcił *Dantona*. My, członkowie Zespołu, uznaliśmy, że jeśli Wajdy nie przywrócą, to my wystąpimy z zespołu. Wajdy nie przywrócono i Zespół przestał istnieć. A ja w 1985 r. wyemigrowałem do Kanady, wyemigrowałem, bo mi powiedzieli, że ja już filmów tutaj nie będę robił. Taki esbek, nasz opiekun, który regularnie spotykał się z filmowcami na różnych imprezach, zjazdach stowarzyszenia itd., chyba w 1983 r. powiedział mi – wie pan, taki młody człowiek to już z pana nie jest, lata lecą, a pan nic nie robi i pan nic nie robi, ale jest pewna szansa. Gdyby pan w jakimś wywiadzie powiedział czy napisał, że *Przesłuchanie* to nie pan wymyślił, tylko że panu Wajda kazał to zrobić...

B.P. – Wy wiedzieliście, że on jest esbekiem?

R.B. – Oczywiście, on zresztą nie krył tego. Witał się zawsze ze wszystkimi bardzo serdecznie. Mówił tak: no Krzysio mi powiedział, że to czy tamto. Jaki Krzysio? Zanussi. Andrzej planuje to i tamto. Jaki Andrzej? Wajda. Próbował być jednym z nas.

B.P. – Proszę opowiedzieć, jak było z *Przesłuchaniem*.

R.B. – Po skończeniu filmu w Ministerstwie Kultury odbyła się kolaudacja, na którą – co nie było takie proste w tamtych czasach, to był rok 1982 – przyniosłem magnetofon taki jak ten, który między nami leży. Zdobyłem go, co było wtedy naprawdę bardzo trudne, i dałem jednemu z członków mojej ekipy, dźwiękowiec, która ukryła go w kieszeni, a mikrofon w rękawie i całą tę dyskusję nagrała. To bardzo szybko zostało opublikowane

w „Zapisie”, a potem przemycone do Francji i USA. Przedrukował to (w tłumaczeniu) amerykański periodyk polityczny „New Criterion”. „The New York Times” na tej podstawie napisał niemal pełnostronicowy artykuł. W trakcie kolaudacji intensywnie opluwano Wajdę. Niejaki Mieczysław Waśkowski, reżyser, ówczesny I sekretarz POP w Zespołach Filmowych, powiedział, że należy wezwać prokuratora, który zbada, kto dopuścił do tego, że taki wrogi film w ogóle powstał. Bohdan Poręba wspominał żydowskość Agnieszki Holland i powiedział, że powinna rozliczyć się ze swoją i swojego ojca przeszłością. Czesław Petelski mówił, że to jest film antysocjalistyczny, który powstał z nienawiści do tego, co było, co jest i co będzie. A niejaki Gołębiowski, lub Gołębiowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, powiedział (aż trudno w to dziś uwierzyć), że ten film dlatego nie może się ukazać, bo dzisiejsza młodzież (rok 1982) może nie odróżnić niesocjalizmu okresu stalinowskiego od socjalizmu stanu wojennego.

„Zapis” – niezależne pismo literacko-społeczne, wychodzące w latach 1977–1981 w Warszawie. Ukazało się 18 numerów, redagowanych m.in. przez Wiktora Woroszyńskiego i Jacka Bocheńskiego. Zamieszczano wiersze, prozę, reportaże i eseje, na które istniał „zapis” peerelowskiej cenzury (oznaczający zakaz druku), a więc utwory odrzucone przez wydawnictwa oficjalne, np. *Kompleks polski* Tadeusza Konwickiego. Jednak przede wszystkim publikowano teksty przeznaczone od razu do „drugiego obiegu” (łącznie wydano utwory ok. 150 autorów, w tym emigracyjnych).

B.P. – To jakaś niestęchanie skomplikowana figura logiczna.

R.B. – Bo zobacz, że za Stalina było to samo, co dzieje się teraz. Mnie oskarżano o to, że ja ten film specjalnie wymyśliłem przeciwko stanowi wojennemu, że niemalże przewidziałem go i dlatego zrobiłem film krytyczny wobec stanu wojennego. Film krążył na kasetach, które zrobiłem nielegalnie. Wiedziałem, że jak władze dostaną ten film do ręki, to nikt go więcej nie zobaczy. Już po całym montażu i udźwiękowieniu, w tajemnicy przed wszystkimi, oczywiście z udziałem współnika, którym był mój kierownik produkcji, zawiozłem te piętnaście pudełek z filmem na wózku do działu dźwięku, gdzie było jedyne takie urządzenie wtedy w Polsce (pewnie MSW też miało coś takiego), na którym można było przegrać film na taśmę magnetyczną. Przywiozłem to z pismem wystawionym przez kierownictwo produkcji innego filmu, żeby zatrzeć ślady. Na pudełkach był plaster z tytułem *Matka Królów*. Po przegraniu wziąłem dwie dość duże kasety pod pachę i na przystanku autobusowym przekazałem je w torbie plastikowej swemu przyjacielowi, który nie miał nic wspólnego ani z filmem, ani z „Solidarnością”. Zabrał, schował to u siebie w domu w tapczanie. Tak uratowałem ten film, bo liczyłem się z tym, że on zostanie przetopiony, jak mówiono – na grzebienie. Po jakimś czasie była taka próba, żeby zniszczyć negatyw filmu. To był plan grupy Petelskiego, Waśkowskiego, Poręby. Jakoś do tego nie doszło. Najpierw jednak zostałem wyrzucony dyscyplinarnie z pracy. Dostałem pismo od dyrektora Zespołów Filmowych, że „zwalnia się obywatela ze skutkiem natychmiastowym w związku z działalnością na szkodę przedsiębiorstwa, polegającą na nielegalnym przegraniu filmu na taśmę magnetyczną”. W teczce, którą dostałem z IPN, znajduje się donos na mnie jednego z techników, który to przegrywał. On nawet zjawił się w sądzie jako świadek. Mój adwokat Edward Wende pytał: a po czym świadek poznał, że to jest film *Przestęchanie*? – Ja po reżyserze poznałem. Myśmymy wszyscy zgodnie zaprzeczali, zarówno ja, jak i wszyscy inni zamieszani w tę

Edward Wende, 1936–2002, adwokat, obrońca w procesach politycznych lat 70.–80. Oskarżyciel posiłkowy w procesie zabójców księdza Jerzego Popiełuszki. W latach 1993–1997 i od 2001 r. sędzia Trybunału Stanu. Działacz Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Senator (1989–1993), poseł na Sejm (1997–2001).

sprawę mówiliśmy, że niczego takiego nie zrobiłem. Wyparliśmy się, bo konsekwencje mogły być poważne, włącznie z aresztowaniem mnie i kierownika produkcji. Marcel Łoziński, gdy czekaliśmy na ławce przed salą sądową na ogłoszenie wyroku, powiedział: jeżeli ta sędzina jest niezależna, to słuszne kłamstwo zwycięży. Sędzina okazała się niezależna, kłamstwo zwyciężyło, ja zostałem przywrócony do pracy. Ale filmów oczywiście robić nie mogłem. Dyrektor, który mnie tak zaciekle prześladował, nazywał się Leon Bach. Na stanowisko dyrektora Zespołów Filmowych został wysunięty przez „Solidarność”. Był partyjny, ale wtedy wszyscy mówili – trzeba poprzeć partyjnego, bo łatwiej przejdzie, ale będzie miał poczucie wdzięczności, że to myśmy go wysunęli, będzie naszym człowiekiem. Bach w stanie wojennym szybko wykazał, komu naprawdę jest wierny.

Premiera *Przesłuchania* odbyła się siedem lat później, 13 grudnia 1989 r., w kinie „Skarpa”. To był ostatni film zdjęty z półki. Mówiono, jak „to” wchodzi na ekrany, to znaczy, że Polska jest już normalna. Ja specjalnie przyleciałem z Kanady na tę imprezę.

Premiera *Przesłuchania* odbyła się siedem lat później, 13 grudnia 1989 r., w kinie „Skarpa”. To był ostatni film zdjęty z półki. Mówiono, jak „to” wchodzi na ekrany, to znaczy, że Polska jest już normalna. Ja specjalnie przyleciałem z Kanady na tę imprezę.

B.P. – Skąd wziął się pomysł na ten scenariusz?

R.B. – W latach siedemdziesiątych zostałem zaproszony na rozmowę do kawiarni „Mozaika” przez esbeka. Powiedział otwarcie, że jest z MSW. Poszedłem na spotkanie. Najpierw mówił o mojej twórczości, czytał wszystkie rzeczy, które pisałem – artykuły, opowiadania, scenariusze, tłumaczenia. Dość dobrze to znał. – No, widzi pan, ale my tu mamy poważny problem, potrzebna jest nam pana pomoc. Pana przyjaciel, Anglik (ten, na którego zaproszenie wyjechałem pierwszy raz) Douglas Gill, jest szpiegiem angielskim i chcielibyśmy, żeby pan nam o nim opowiedział. – To była moja pierwsza w życiu rozmowa z esbekiem, byłem trochę zdezorientowany, jeszcze nie umiałem zrozumieć jego gry. Ale podejrzenie mojego przyjaciela o to, że on był szpiegiem angielskim, było absurdalne, ponieważ on był kiedyś członkiem partii komunistycznej i pozostał bardzo lewicowy, mimo że już z tych komunistów angielskich wyrósł. Skończył historię na Oksfordzie, znałem wszystkich jego przyjaciół, wszyscy lewicowi jak on – między innymi Tariq Ali, redaktor „The New Left Review”, obecny działacz partii Zielonych w Parlamencie Europejskim. Mówię więc temu esbekowi – to jest absolutnie niemożliwe. On prędzej by umarł, niż by podjął pracę dla imperialistycznego MI6. – Wie pan, ale my mamy niepodważalne informacje, że tak jest. Więc proszę opowiedzieć, co on tutaj w Polsce robił. – No, mówię, byliśmy w Żelazowej Woli, oglądaliśmy fortepian Szopena. – Tak, ale jakie ma upodobania? – No, lubi bigos... Ta rozmowa trwała może trochę więcej niż godzinę. Powiedziałem wtedy taką rzecz, która mi się zrodziła spontanicznie, którą przeniósłem potem do *Przesłuchania* niemal dosłownie. – Dlaczego mam z panem rozmawiać o moim przyjacielu, kiedy pan jest dla mnie obcym facetem? – No, wie pan, obaj jesteśmy Polakami, a on jest cudzoziemcem. – To podziało na mnie jak płachta na byka. Mam więcej wspólnego z Anglikami, których lubię i szanuję, niż z Polakami, którzy pracują dla bezpieczeństwa. Zacząłem się orientować, że on o tym Douglasie niewiele wie. Zapytał: czy był wtedy z żoną? Ja na to – ale którym razem? Drugim czy trzecim? – To on był trzy razy w Polsce?

– dziwił się esbek. Teraz ja się dziwiłem. To pan o tym nie wie? Kompletnie się tym zdekonspirował. Nie chodziło o żadne szpiegostwo, o żadnego Douglasa, tylko o mnie. Chciał mnie skłonić, bym opowiadał mu o swoich przyjaciółach, potem kazałby mi coś podpisać... Wstałem i poszedłem. W mojej teczce jest notatka z tej rozmowy. „[...] ponieważ w trakcie dotychczasowego opracowania R. Bugajskiego jako kandydata na tajnego współpracownika nie uzyskano informacji w najmniejszym stopniu obciążających jego, a jego postawa światopoglądowa zaprezentowana w czasie pierwszej rozmowy była wroga naszej służbie, uważam za najwłaściwsze odstąpienie od jego dalszego opracowania jako kandydata na TW”. Podpisał kapitan Jerzy Fortuński. Jeszcze kilkakrotnie usiłowali mnie zaczepiać, ale ja już na to nie odpowiadałem. Jan Olszewski, wtedy adwokat, udzielał mi pewnych wskazówek, jak się zachowywać, i już nie stawiałem się na takie spotkania. Ponownie zainteresowali się mną po paru latach, kiedy byłem w Zespole X. Żona i ja często jeździliśmy do Anglii, ją też zaczęli przesłuchiwać i ciągać na rozmowy, ale ona była już mocno wykształcona przeze mnie i znajomych, którzy się na tym nieźle znali. Te historie to był pierwszy bodziec do napisania tego scenariusza o UB.

Maria Turlejska, 1918–2004, żona Jana Turlejskiego – jednego z członków Rady Najwyższej ZSRR i członka grupy inicjatywnej PPR, współpracownika Wandy Wasilewskiej. W okresie pierwszej okupacji sowieckiej w latach 1939–1941 kolaborantka, wraz z mężem tworzyła struktury okupacyjnej władzy sowieckiej na Białostocczyźnie. Po wojnie kierowała Wydziałem Historii Partii KC PPR. W okresie walki z tzw. odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym była agentką MBP o kryptonimie „Ksenia”. Żyjąc w partyjnym „getcie” i nie mając żadnych normalnych ludzi w swym otoczeniu (tj. niekomunistów), denuncjowała swych przyjaciół i znajomych. Stała się w tym okresie modelowym przykładem „człowieka sowieckiego” czy też raczej „zsowietyzowanego” – zgodnie z założeniem obowiązującym w ZSRR, że każdy członek partii powinien być współpracownikiem organów bezpieczeństwa. W 1955 r. usunięta z partii. Była też znanym i uznanym historykiem PRL. W schyłkowym okresie rządów komunistycznych w Polsce, od 1978 r., podjęła współpracę z drugim obiegiem, wydając pod pseudonimem (Łukasz Socha) głośną pracę *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944–1954* (Warszawa, Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1986).

Jan Olszewski, ur. 1930, adwokat, obrońca w procesach politycznych lat 60.–80. Działacz opozycji, m.in. Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, współpracownik KOR. Jeden z czołowych doradców NSZZ „Solidarność”, uczestnik negocjacji Okrągłego Stołu. Współzałożyciel Porozumienia Centrum. Od grudnia 1991 do czerwca 1992 r. premier niekomunistycznego rządu, obalonego przez przeciwników lustracji. W latach 1991–1993 i 1997–2005 poseł na Sejm. Od 1995 r. przewodniczący Ruchu Odbudowy Polski.

B.P. – Wymyślił pan to całkowicie? Nie kontaktował się pan z nikim, kto siedział w tamtych czasach?

R.B. – Kontaktowałem się dopiero po... Do roku 1980, do sierpnia, do początków „Solidarności”, w sferze marzeń miałem plany, żeby zrobić *Ciemność* w *południe* Arthura Koestlera. To było oczywiście marzenie niewykonalne. W pierwszych dniach września 1980 pojechaliśmy na Wybrzeże z całym Zespołem X, spotkaliśmy się z Wąteśką, który jeszcze miał wtedy brud za paznokciami, był jeszcze prawdziwym robotnikiem. Wtedy pomyślałem – to teraz trzeba spróbować. Wymyślałem to dość szybko. Pod koniec listopada

miałem gotowy scenariusz. Nie Koestlera, tylko tę właśnie historię. Wtedy miałem jeszcze małą wiedzę na ten temat. Znałem Marię Turlejską, która taką wiedzę miała, ale jak ją pytałem o konkrety, ona wyjaśniała mi istotę stosunków polsko-radzieckich. Dopiero kiedy jej dałem pierwszą wersję scenariusza, powiedziała – to nie było tak, to też było inaczej, itd. Skontaktowała mnie wtedy z dwiema kobietami. Jedną z nich była Wanda Podgórska, była sekretarka Gomułki sprzed jego aresztowania. Druga to „Barbara”, czyli Stanisława Sowińska, major Wojska Polskiego, adiutantka generała Mariana Spychalskiego. Przyjaźniły się, obie były aresztowane, razem siedziały na Rakowieckiej. Jest taka rozmowa Jandy

Wanda Podgórska, sekretarka Władysława Gomułki, aresztowana w okresie walki z „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym” w partii. Przeszła ciężkie śledztwo prowadzone przez Departament X MBP, w wyniku stosowanych tortur zapadła na chorobę psychiczną.

z Agnieszka Holland – a dlaczego pani tu siedzi? – No, bo ja jestem szpiegiem amerykańskim. – Pani jest szpiegiem?! Tak, ale nie szpiegiem subiektywnie, bo ja zawsze byłam komunistką, tylko szpiegiem obiektywnie. – Co to znaczy? Podgórska twierdzi, że dostownie taką rozmowę odbyła z Sowińską, jak ją zobaczyła w celi. – Co ty, Baśka, ty też tu siedzisz! Ale dlaczego? I tak dalej. Za-

cząłem więc uzupełniać ten scenariusz różnymi historiami, detalami. Zwłaszcza Podgórska była bardzo pomocna, opowiedziała mi mnóstwo konkretnych rzeczy. Miała wspaniałą pamięć, te szczegóły były dla mnie bezcenne. Jej strażnik oddziałowy był „kościuszkowcem”, chodził z medalami na piersiach, głównie radzieckimi, medale mu podzwaniały. Ale jak ubraliśmy aktora w mundur i zawiesiliśmy mu całą pierś orderami, wyglądał tak groteskowo, że trzy czwarte mu zdjęliśmy, zostało ich pięć. Sowińska była przerażona kompletnie, prawie nie chciała ze mną rozmawiać. W mieszkaniu za nic, raczej gdzieś na zewnątrz, rozglądała się na ulicy, czy za nami ktoś nie idzie. Prawie cały swój wysiłek włożyła w przekonanie mnie, że bym tego filmu nie robił – bo to panu zaszkodzi, zobaczy pan, zrobią panu krzywdę. Nie była daleka od prawdy.

B.P. – Czy ten film i to, co się z nim działo, jakoś pana zmienił? Czy spektakl o rotmistrzu Pileckim jako się z tamtą pana twórczą przygodą łączy?

R.B. – Oczywiście, jedna rzecz pociąga za sobą drugą. Przy dokumentacji *Przesłuchania* rozmawiałem z Szymonem Jakubowiczem, który znał amerykańskiego

Stanisława Sowińska „Barbara”, ur. 1921, w czasie okupacji szef biura II Sztabu Głównego AL (wywiad – kontrwywiad), odpowiedzialna także za kontakty organizacyjne z KC PPR. Na polecenie Mariana Spychalskiego uczestniczyła w akcji „dezinformacyjnej”, polegającej na denuncjowaniu na Gestapo uczestników struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Po wojnie w stopniu pułkownika kierowała pracą Biura Studiów w Głównym Zarządzie Informacji WP (ludowego). Autorka propagandowych publikacji, oszczerczych w stosunku do Polskiego Państwa Podziemnego – *Obóz reakcji polskiej w latach 1939–1945* (1948) i *Lata walki* (1948). Aresztowana przez MBP, stała się jednym z głównych świadków w przygotowywanym procesie Mariana Spychalskiego oskarżonego o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” i spisek w wojsku. Wykazała pełną dyspozycyjność w stosunku do oczekiwań śledczych z Departamentu X MBP. Zwolniona z więzienia w grudniu 1954 r. Mieszka we Francji.

komunistę Noela Fielda, siedział w więziku z tym. Zacząłem badać tę sprawę. Do *Przesłuchania* to już nie pasowało, tylko Agnieszka Holland mówi komuś w celi: „ja obwoziłam pewnego Amerykanina po Polsce, a nie wiedziałam, że on pracuje dla amerykańskiego wywiadu”. Potem napisałem książkę *Przyznaję się do winy*. Jej tematem jest proces László Rajka, węgierskiego ministra spraw zagranicznych, widziany z perspektywy młodego bezpieczniaka, który aresztuje Fielda w Pradze czeskiej. Z jego punktu widzenia opisane są przygotowania do procesu pokazowego Rajka, Szóonyiego, Szalaia i tej całej grupy, w którym Field miał być świadkiem. To wciąż nie zostało wydane na Węgrzech. Chcę zrobić z tego film. Mój przyjaciel, Amerykanin, który mieszkał w Polsce, wtedy korespondent „Newsweeka”, zamówił w swojej redakcji wszystko, co wiadomo na temat Noela Fielda. Przystali mu mnóstwo materiałów, które wykorzystałem. Rozmawiałem również z takimi ludźmi jak Roman Kornecki, były dziennikarz „Trybuny Ludu”, ojciec Marcela Łozińskiego. Był komunistą,

Roman Kornecki (Salomon Stramer), 1905–1984, działacz komunistyczny, reprezentant KPP we Francji, członek Brygad Międzynarodowych w hiszpańskiej wojnie domowej, następnie we Francji i Szwajcarii, członek PPR/PZPR, m.in. zastępca kierownika Wydziału Prasy KC PZPR.

polskim Żydem mieszkającym we Francji. Noel Field uratował mu życie, kiedy chorował na gruźlicę. Naszą rozmowę traktował, jak sam mówił, jako ekspiację – jako dziennikarz „Trybuny Ludu” mógł zrehabilitować się, opowiadając szczerze o swojej działalności. Bardzo wiele się od niego dowiedziałem, może nawet nie samych faktów, ale spraw psychologicznych, np. dlaczego kłamał, dlaczego oszukiwał, jak patrzył na tę straszną rzeczywistość, kiedy ludzi mordowali, a on pisał same kłamstwa. Dość przekonująco to wyjaśniał.

B.P. – Więc dlaczego?

R.B. – Po pierwsze, to jest chyba dość oczywiste – komuniści mieli przekonanie, że to, co mówi burżuazyjna prasa, należy odrzucić, bo to są nasi wrogowie. Skoro więc oni mówią, że są obozy i morduje się tam ludzi tysiącami, to to musi być kłamstwo. A jeśli są świadkowie, dokumenty, że rozstrzelano czy zatopiono powiedzmy pięć tysięcy więźniów na Morzu Białym, to nie można tego ujawnić, bo burżuazja wykorzysta to przeciw nam. Nasz system jest jeszcze słaby, musi jeszcze walczyć i ujawnienie tej prawdy zaszkodzi nam, a oni są silniejsi. Agnieszka Holland w moim filmie mówi słowami Sowińskiej, że te zbrodnie są tylko tymczasowe. Nastąpią kiedyś czasy, kiedy panować będzie sprawiedliwość, kiedy świat będzie szczęśliwy, ludzie zamożni i wszystko będzie doskonałe. Niektórzy komuniści w to naprawdę wierzyli. Mówili sobie – może jeszcze nie za naszego życia, ale nasze dzieci i wnuki dożyją tego na pewno. Raj,

Noel Field – amerykański komunista, agent sowiecki, współpracownik hiszpańskich Brygad Międzynarodowych, zajmował się przerzutami europejskich komunistów we Francji, Niemczech, na Węgrzech. Aresztowany w 1949 r. w Pradze i przetransportowany do Budapesztu. Zeznał jako świadek oskarżenia w procesie węgierskiego przywódcy László Rajka, stanowiącym wzór dla analogicznych procesów w krajach „demokracji ludowej”, w tym dla przygotowywanego, a niedoszedłego procesu Gomułki w Polsce (słynne „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”). W tej samej sprawie aresztowany został w Polsce jego brat, architekt Hermann, przetrzymywany w tajnym więzieniu MBP w Miedzeszynie koło Warszawy.

Rtm. Witold Pilecki „Druh”, „T-IV”, 1901–1948, żołnierz POW i Samoobrony Wileńskiej, a następnie WP. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. W okresie międzywojennym studiował na Wydziale Rolnym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gospodarował w rodzinnym majątku Sukurcze (pow. Lida), angażował się w działania społeczne. Uczestniczył w wojnie obronnej 1939 r. jako dowódca plutonu kawalerii w 41. DP Rezerwy. Od listopada 1939 r. jeden ze współorganizatorów Tajnej Armii Polskiej (TAP), scalonej później z AK. Dobrowolnie podjął się misji rozpoznania warunków panujących w obozie koncentracyjnym Auschwitz i możliwości zorganizowania tam konspiracji. We wrześniu 1940 r. dołączył do grupy osób ujętych w łapance i pod nazwiskiem Tomasz Serafiński został wywieziony do Auschwitz. W obozie założył



Związek Organizacji Wojskowej, podporządkowany ZWZ. Zagrożony dekonspiracją, 26/27 IV 1943 r. zbiegł z obozu. Przedstawił KG AK raport o sytuacji w obozie, przesłany do sztabu Naczelnego Wodza. Od sierpnia 1943 r. pracował w Oddziale III Kedywu KG AK. Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim jako dowódca kompanii w batalionie „Chrobry II”. Trafił do niewoli niemieckiej, skąd po wyzwoleniu przedostał się do II Korpusu PSZ we Włoszech. Wrócił do Polski w grudniu 1945 r. i zorganizował kadrę siatkę wywiadowczą. Aresztowany w maju 1947 r., został skazany przez WSR w Warszawie na karę śmierci i 25 V 1948 r. stracony. Odznaczony m.in. dwukrotnie Krzyżem Walecznych, srebrnym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Zasługi Litwy Środkowej. Stał się symbolem ofiarności i poświęcenia żołnierzy Polski Podziemnej. Angielski historyk Michael Foot w książce *Six faces of courage* (1978) nazwał go jednym z sześciu najważniejszych ludzi w okupowanej Europie.



pełny komunizm itd. I jeszcze to leninowskie myślenie, że partia jest najważniejsza, nie można jej szkodzić. To jest świetnie opisane w *Ciemności w południe* – dla dobra partii Rubaszow, bohater książki, przyznaje się do niepopelnionych win, bo to służy partii. Partia i jej dobro było ponad wszystkim. Takie myślenie przekładało się potem na język codzienny, codzienne małe świństwa i małe zbrodnie, których ludzie dokonywali dla partii czy w imię szczęścia przyszłych pokoleń. Znałem też wtedy innego, nieżyjącego już dziennikarza, Mieczysława Bibrowskiego, który był korespondentem „Trybuny Ludu” na procesie Łászló Rajka. Pokazywał mi notatki, które robił na bieżąco na procesie, według tłumaczenia symultanicznego. Porównywałem to z oficjalnie wydanym stenogramem z procesu, są tam kolosalne różnice. Inaczej już wyglądały zeznania świadków, widać było, jakim ten oficjalny stenogram był straszliwym przekrętem, kłamstwem. Ale on pisał wtedy tak, jak mu kazano. Dopiero po trzydziestu pięciu latach otworzył się przede mną, ujawnił prawdę. Również z poczucia winy.

B.P. – Interesują pana motywacje wpływające na podejmowanie przez ludzi w różnych sytuacjach konkretnych decyzji.

R.B. – Tak. Interesuje mnie indywidualny człowiek.

B.P. – Czy ma pan taką pokusę, żeby zrozumieć ludzi, których świństwa, popełnione przez nich w przeszłości, wychodzą dopiero teraz na jaw?

R.B. – Teoretycznie tak, ale muszę przyznać, że jestem trochę zmęczony grzebanieniem w takich małych sprawach.

B.P. – A co nie jest małą sprawą?

R.B. – No, pogrom kielecki, na przykład. Szykuję się teraz do zrobienia o tym filmu. To dotyczy nie jakiegoś jednego człowieka, który ugiął się pod presją, tylko całego ogromnego systemu. Interesuje mnie człowiek, jednostka, ale chcę zrozumieć mechanizm rzeczywistości, w której jednostka jest osadzona i działa. Dopiero wtedy jestem w stanie opisać motywacje człowieka, który podejmuje decyzję. Mogę go ocenić, złożyć mu hołd czy też oskarżyć o głupotę, cynizm, czy o coś jeszcze gorszego.

B.P. – Ocenianie, trudna sprawa. Poza tym bywają wyzwania w życiu każdego człowieka, by podjął konkretną decyzję, bez względu na okoliczności.

R.B. – Staram się nie ferować jednoznacznych wyroków. W *Śmierci rotmistrza Pileckiego* występuje postać sędziego Jana Hryckowiana. Jest tam scena, kiedy on się boi, czuje niepewność jutra, bo może go spotkać podobny los jak Pileckiego. To nie przeszkadza temu, że był strasznym sk...synem, który zamordował kilkudziesięciu niewinnych ludzi. Oceniam ludzi, ale staram się

„Pogrom kielecki” – termin określający zajścia antyżydowskie 4 lipca 1946 r. w Kielcach, w wyniku których zginęło 37 Żydów, mieszkańców kamienicy przy ul. Planty 7. Do dziś niewyjaśnione pozostają przyczyny, tło, a nawet przebieg wydarzeń, ze względu na prowokacyjne działania władzy komunistycznej, co najmniej przyzwalającej na dokonanie zbrodni, o ile jej nie inspirującej.

zrozumieć, dlaczego oni postępowali tak a nie inaczej. Chyba nie ma wypadków, że ktoś mówi – ja jestem zły i będę postępował źle, jestem szatanem, który walczy z Panem Bogiem. Każdy twierdzi, że robi coś w imię jakiegoś dobra. To może być dobro przyszłych pokoleń, dobro partii komunistycznej, itp. Hryckowian – moim zdaniem – skazał czterdziestu ludzi na śmierć, po to, żeby Polska była kiedyś szczęśliwa, niepodległa, czy też w niewielkim stopniu podległa Związkowi Sowieckiemu. Uważał, że jeśli tego nie zrobi, będzie jeszcze gorzej. Do tego dochodzi pewne zmitologizowanie zła w pojęciu tych ludzi. Polska reakcja – andersowcy, Kościół, cała prawica – zniszczy Polskę, doprowadzi do tego, że to będzie karykatura przedwojennej Polski. Myślę, że takie były jego motywacje. Tak mi się wydaje, ale ja z nim nie rozmawiałem. Rozmawiałem za to z Romanem Korneckim, który był tubą propagandy w latach pięćdziesiątych i który mi tłumaczył, dlaczego oni niektóre rzeczy tak zakłamywali, niszczyli prawdę i stawiali po stronie fałszu i zbrodni. To nie było tak, że my byliśmy za fałszem – mówił. – Nie, my robiliśmy to, co wtedy było dobre.

B.P. – Ale zapomina się często o tym, jakich ludzie dokonują operacji na własnym sumieniu, żeby racje, które nimi powodują, nazywać dobrem, chociaż są bezwzględnie złe. To jest klucz, który powoduje, że są ludzie, o których nie można powiedzieć: wiem, chłopie, że chciałeś dobrze, bo nie wszystko wiesz. Są ludzie, którzy robią w swoim sumieniu taki jakiś przekręt, że zaczynają nazywać zło dobrem i odwrotnie. U podstaw tego jest ludzka pycha, takie przekonanie, że można stanowić jakieś nowe prawo, dostosowane do konkretnej sytuacji, „szczególnej”, można wejść w posiadanie innego człowieka, że można czymś kierować, być demiurgiem. Ludzie bardzo często wpadają w te pułapki. Konsekwencje są takie, że skrzywdzić drugiego człowieka można z głębokim przekonaniem, że ma się do tego prawo, bo ten ktoś jest głupszy, gorszy itd.

R.B. – Jedyne, co dały mi studia filozoficzne, to konstatacja, że wszelkie ideologie prowadzą do zła. Ideologie, jako usystematyzowane kodeksy myślenia i postępowania, dążą w sposób naturalny do konsekwencji, logiczności i gwoi tej logiczności naginają do niej rzeczywistość, nie uwzględniając ani ludzkiej natury, która sama w sobie jest sprzeczna, ani różnorodności świata, ani niespodzianek losu. Każda ideologia usiłuje wtłoczyć w usystematyzowane, uproszczone formułki złożoną rzeczywistość i nieokreśloną, nieprzewidywalną psychikę człowieka. Ja sam zawsze buntowałem się przeciw wszelkim dogmatom i nigdy nie potrafiłem podporządkować się jakimkolwiek sformalizowanym systemom wartości. Jestem oczywiście ateistą. Uważam, że każdy czyn człowieka powinien być oceniany indywidualnie, bez ideologicznej perspektywy. Są wartości uniwersalne, ponadczasowe, takie jak np. „dobry opiekun”, „dobra robota”, które opisał Tadeusz Kotarbiński w swej etyce normatywnej, niezależnej od religii. Jej podstawą jest sumienie, a nie chłodna kalkulacja czy strach przed karą. To najbardziej przemawia mi do przekonania.

B.P. – Myślę, że to jest o tyle istotne, że jeśli jest się twórcą, to taka postawa oczywiście też może być pułapką. Twórca, ktoś, kto kreuje w pewien sposób rzeczywistość. Kreuje ją wedle norm, które wyznaje. Wyobraźnia to kwestia druga. Przypatruję się różnym twórcom i zastanawiam się, czy oni na samym starcie nie są w konflikcie z Bogiem, który dla nich stanowi konkurencję, bo ustalił jakiś porządek rzeczy. Być jak Bóg.

R.B. – Ja nie mam tego rodzaju problemu, ponieważ nie jestem człowiekiem wierzącym. Uważam, że człowiek stworzył wszystko i tworzy wszystko, włącznie z religią, kształtuje też sam siebie. Dla mnie problemem jest coś może bardziej przyziemnego. Do jakiego stopnia mogę pokazywać historię i fakty, nie mając o nich pełnej wiedzy, bo nigdy tej pełnej wiedzy mieć nie będę.

B.P. – Ani pan, ani nikt inny.

R.B. – Oczywiście. Gdyby spojrzeć nawet na to, co się zdarzyło pięć dni temu czy miesiąc temu – są wszyscy świadkowie, żyją, są dokumenty – nawet wtedy odtworzenie jakiegoś wydarzenia w sposób obiektywny jest niemożliwe. Wykazał to Kurosawa w *Rashomon* pięćdziesiąt lat temu, że rzeczywistość może być interpretowana w sposób wieloraki, jest tyle wersji, ile osób, które ją relacjonują. Staram się więc, mówiąc o jakimś wydarzeniu, nie uzurpować sobie prawa do ostatecznego sądu, bo wiem, że mogę się mylić. To, co pokazuję, to jest tylko jedna z wersji wydarzeń, i ja nie wykluczam innej. Chcę w ten sposób opowiedzieć o pogromie w Kielcach. Wiem, że do ostatecznej prawdy nie dojdę, bo jej po prostu nie ma. Wzorcowym historycznym filmem jest dla mnie *J.F.K.* Olivera Stone'a. Pokazał, jak wiele intelektualnych możliwości jest w dociekaniu, kto naprawdę zabił Johna Kennedy'ego. Ten film raczej pobudza wątpliwości, niż je wyjaśnia.

B.P. – Interesuje pana kino historyczne?

R.B. – Rzeczywistość jest ciekawsza od wyobraźni ludzkiej, która nie jest aż tak bogata. Wymyślone od zera historie są uboższe niż autentyczne. Prawdziwe historie zaskakują swoją oryginalnością, niekonwencjonalnością, nielogicznością – i to jest najciekawsze. Gdyby zostały wymyślone, nikt w nie by nie uwierzył. Również prawdziwe postacie są bardziej niejednoznaczne, głębsze niż wymyślone. Jest tylu wspaniałych ciekawych ludzi, którzy żyli – nieistotne, czy w czasach imperium rzymskiego, średniowiecza, czy ostatnich dziesięcioleci. Jest wiele postaci, które mnie fascynują, o których chciałbym zrobić filmy.

B.P. – Jakie jeszcze?

R.B. – Mam projekt, który próbuję od ośmiu lat w telewizji przewalczyć, *Śmierć rotmistrza Pileckiego* jest jego częścią. To

Gen. August Emil Fieldorf „Weller”, „Jordan”, „Nil”, 1895–1953, żołnierz Legionów Polskich, a następnie Wojska Polskiego. Uczestnik wojny z Rosją Sowiecką w latach 1919–1920. W wojnie obronnej 1939 r. w szeregach 12. DP. Następnie we Francji. Jako pierwszy emisariusz wysłany z Wielkiej Brytanii dotarł do kraju w lipcu 1940 r. W ZWZ-AK pełnił szereg funkcji (m.in. komendanta obszaru Białostok, inspektora KG AK, a od jesieni 1942 r. komendanta Kedywu KG AK). W latach 1943–1944 kierował całością walki bieżącej z okupantem na ziemiach polskich. Od października 1944 r. zastępca ostatniego dowódcy AK, gen. Leopolda Okulickiego. Jednocześnie organizował kadrową organizację „Nie”, przygotowywaną na wypadek ponownej okupacji sowieckiej. Aresztowany przez NKWD 7 III 1945 r. pod nazwiskiem Walenty Gdanicki (nierozpoznany), został przez obóz w Rembertowie wywieziony do łagrów w głębi ZSRR. W listopadzie 1947 r. powrócił do Polski. Ponownie aresztowany, skazany na karę śmierci i 24 II 1953 r. zamordowany. Odznaczony m.in. Krzyżem *Virtuti Militari* 4 i 5 klasy, czterokrotnie Krzyżem *Walecznych*, Krzyżem *Niepodległości*.

„Afera mięsna” w Warszawie – największa sprawa o nadużycia gospodarcze w latach 60. Została wykryta na początku 1964 r. w przedsiębiorstwie Miejski Handel Mięsem. Straty polegające głównie na zaborze mięsa i jego przetworów szacowano na kilkadziesiąt milionów zł. Kierownictwo PZPR z Gomułką na czele domagało się surowych kar, z karą śmierci włącznie. Proces głównych oskarżonych rozpoczął się pod koniec listopada 1964 r. Odbywał się w trybie doraźnym, co stanowiło złamanie ówczesnego prawodawstwa. W lutym 1965 r. jeden z głównych oskarżonych – dyrektor w MHM Stanisław Wawrzecki – został skazany na karę śmierci; mimo społecznego oburzenia wyrok wykonano kilka tygodni później.

się nazywa „Waga i miecz”, czyli historia peerelu widziana przez procesy sądowe, polityczne i kryminalne. Wydaje mi się, że procesy, począwszy od „procesu Szesnastu” w Moskwie, sprawy „Nila” Fieldorfa, przez „afere mięsną”, do Melchiora Wańkowicza, Janusza Szpotańskiego, Adama Michnika, Jacka Kuronia – pokazują zarówno rzeczywistość, w której to się wszystko działo, jak i fascynujące postaci.

J.P. – Dlaczego Pilecki właśnie? Dlaczego od niego pan zaczyna? Jak pan trafił na Pileckiego?

R.B. – Nie pamiętam dokładnie, jak trafiłem. Dziesięć lat temu na pewno nic o nim nie wiedziałem. Kiedy przyszedł mi do głowy pomysł stworzenia serii filmów sądowych i zacząłem szukać postaci i spraw sądowych, o których można zrobić film, wtedy natrafiłem na niego. Było to uderzające, że tego typu człowiek nie został powszechnie uznany, a były to już czasy wolnej Polski. Jeszcze mało kto o nim wiedział – dotąd przecież nie jest to postać szeroko znana. Kiedy osiem lat temu zacząłem pisać ten scenariusz, poszedłem do Hanny Suchockiej, która była ministrem sprawiedliwości, dała mi glejt, który umożliwił mi wejście do archiwum w Rembertowie, potem do Cytadeli. W tych dwóch miejscach przeczytałem trochę dokumentów. Poznałem wtedy córkę rotmistrza Pileckiego oraz Tadeusza Płuzańskiego, który mi bardzo wiele powiedział.

J.P. – Kiedy się ogląda film o Pileckim, można powiedzieć: tak było. Nie czuje się forsowania wizji reżysera.

R.B. – Mam szacunek dla faktów. Uważam, że tam gdzie natrafiam na fakt, kończy się moja wyobraźnia. Dopiero tam, gdzie jest fakt wątpliwy, gdzie jest jakaś luka, mogę uruchomić własną wyobraźnię, choć staram się pozostać w granicach prawdopodobieństwa. Wymyśliłem scenę rozmowy sędziego Hryckowiana i jego żony – nie wiem, czy taka rozmowa naprawdę się odbyła, ale myślę, że mogła się odbyć. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że oboje byli wcześniej akowcami, ona odznaczona Virtuti Militari, że on jest pod presją ówczesnych władz UB, które dążą do skazania Pileckiego, więc jako sędzia musi czuć na karku oddech Różańskiego, Humera i innych bossów MBP, którzy nie dopuszczają możliwości, że Pilecki zostanie uniewinniony... Musiano zrobić mu porządne pranie mózgu, bo człowiek, który był dzielnym dowódcą oddziału partyzanckiego AK w czasie wojny, nie mógł być zupełną szmatką, kimś

Józef Różański (Goldberg), 1907–1981, brat Jerzego Borejszy (Beniamina Goldberga), działacz komunistyczny, dyrektor Departamentu Śledczego MBP, w latach 1954–1964 aresztowany w ramach rozliczeń z okresem „błędów i wypaczeń”.

całkowicie pozbawionym kręgosłupa. Interesuje mnie więc, co się z nim dzieje, że tak chętnie wchodzi w to nowe, w to bagno. W obrębie tych parametrów wymyśliłem scenę, która mi się wydawała prawdopodobna. Życie nie jest tak płaskie jak gra komputerowa, gdzie postacie są czarno-białe – tylko bezwzględnie złe albo bezwzględnie dobre.

B.P. – Wracając do tego, o czym mówiliśmy. To istotnie jest wielka zagadka, jak to jest, że ludzie, którzy operują takimi kategoriami jak dobro – niech to będzie dobro Polski – w imię tego dobra katują człowieka w czasie przesłuchań. To jest tak dramatyczna nieprawda, że ja w to po prostu nie wierzę. Łatwiej byłoby mi uwierzyć, gdyby taki ktoś, jeden z drugim, no, niechby chociaż tylko jeden tak powiedział – dałem się ponieść pewnej fali, uwierzyłem w to, że jestem bogiem, mam władzę, mogę wszystko. Mam przed sobą człowieka, z którego mam wydobyć zeznanie. On stawia mi opór. Wydobędę to z niego za każdą cenę, każdą metodą. Dla mnie to jest prawdziwsze, takie rozliczenie się ze sobą, ze swoimi pobudkami, emocjami. Ale jak ktoś mówi, że robił to dla dobra Polski, to ja po prostu przestaję słuchać.

R.B. – Gdybyśmy się jakoś skomunikowali z duchem Jacka Różańskiego i gdyby chciał on szczerze odpowiedzieć na nasze pytania, myślę, że tak by on właśnie odpowiedział. Był inteligentnym człowiekiem, który nie miał wielu złudzeń, chyba nie dawał się nabrać na te prymitywne hasła, na propagandę, która była dla mas. Musiał zdawać sobie sprawę, że to są hasła, które pomagają trzymać masy w ryzach, ale dla nich, takich jak on, intelektualistów, to jest prymitywne kłamstwo.

B.P. – Gdy ma się władzę, to w pewnym momencie wsiada się w kosmiczną raketę i leci się. Nie widać poszczególnych ludzi. Jest się na wznoszącej.

R.B. – Myślę, że on był człowiekiem, który lubił swoją władzę.

B.P. – Spośród tych, którzy mają władzę, nie wiem, czy są tacy, którzy jej nie lubią.

R.B. – Jest taka książka o pisaniu scenariuszy autorstwa Wiliama Goldmana. Opisuje pewną historię z Alem Pacino, bardzo miłym, subtelnym, kulturalnym aktorem, który kiedyś strasznie się zachował. Cała ekipa czekała na niego godzinę na dwudziestostopniowym mrozie, a on sobie wygodnie siedział w swojej limuzynie. Kiedy przyszedł na plan, reżyser bardzo ostro go zrugął. On się obraził i odjechał. Goldman pyta, dlaczego ten miły, kulturalny i wrażliwy człowiek coś takiego zrobił. Znalazł genialnie proste wytłumaczenie – zrobił tak, bo mógł.

J.P. – Dlaczego Pilecki? Dlaczego on otwiera ten cykl? Jest przecież Łupaszka, Fieldorf, inni.

R.B. – Chciałem zrobić film, który byłby lokomotywą dla następnych filmów, żeby to było to, co najbardziej wyraziście przedstawi moją koncepcję, o co mi chodzi w tych późniejszych filmach. Wybrałem Pileckiego ze względu na drastyczność sprawy. Jego bohaterstwo w kampanii wrześniowej i w Oświęcimiu nie ulega wątpliwości. I ten człowiek zostaje zabity na Rakowieckiej jak jakieś wściekłe zwierzę. To do dziś budzi rozpacz i bunt, że takich ludzi tak mordowano. Pilecki, który tak dzielnie stał do obrony Polski niepodległej,

Mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, 1910–1951, uczestnik wojny obronnej w 1939 r. (za którą otrzymał Krzyż Virtuti Militari), w okresie okupacji niemieckiej, w latach 1943–1944 dowódca 5. Brygady Wileńskiej. Najsłynniejszy partyzant Wileńskiego Okręgu AK, odniósł szereg sukcesów w walce z Niemcami, formacjami kolaboranckimi i partyzantką sowiecką. W lecie 1944 r. zdołał przedrzeć się za „linię Curzona” i odtworzył 5. Brygadę Wileńską jako jednostkę bojową Okręgu AK Białystok. W latach 1946–1949 podlegał Komendzie eksterytorialnego Wileńskiego Okręgu AK, działającego w granicach obecnej Polski. Dowodzona przez niego 5. i 6. Brygada Wileńska wykonała wiele spektakularnych akcji z zakresu samoobrony przeciwko NKWD i UB. Mjr „Łupaszka” jest symbolem walki z obydwooma okupantami, a zarazem konsekwencji i niezłomności w walce z reżimem komunistycznym. Ujęty przez UB 30 VI 1948 r., został skazany na karę śmierci i stracony w więzieniu mokotowskim 8 II 1951 r.



nie mógł pogodzić się ze zniewoleniem, podporządkowaniem Polski ZSRR. Ktoś musiał nadal walczyć i nie ulec zwątpieniu, jak powiedział. Był całkowicie zdeterminowany, bo nie było nikogo, kto by się tego zadania podjął. Był niewątpliwie wyjątkowy. I jeszcze coś, co podkreślam jako człowiek, sam niewierzący – jego motywacją była wiara religijna. Lektura, która go podtrzymywała w Oświęcimiu, a potem w UB, czyli *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasa à Kempis, wyjaśnia bardzo wiele. Człowiek, który kieruje się tylko zdrowym rozsądkiem, tak by się nie zachowywał. Powiedziałby – no nie, przecież ja mam żonę, mam dzieci, dlaczego ja mam swoje życie poświęcać czemuś, nawet szlachetnemu, ja jednak chcę żyć. Ktoś, kto głęboko wierzył w te wartości, jakie Tomasz à Kempis przedstawia, nie mógł postąpić inaczej. A on niewątpliwie w to głęboko wierzył. Znał tę książkę na pamięć, cytował ją, powoływał się na nią niejednokrotnie. Myślę więc, że jego bohaterska i straceńcza, z pewnego punktu widzenia, postawa wynikała z jego głębokiej wiary w słuszność tego typu postawy. Wiary w to, że Chrystus postąpił słusznie, gdy poświęcił swoje życie dla ludzkości. On więc poświęcił swoje życie dla Polski.

B.P. – Mówi się, jest taki związek frazeologiczny – szaleńcy Boży. To jest właśnie taki przykład, bo w gruncie rzeczy dla człowieka wierzącego spojrzenie na Chrystusa z perspektywy swojego mizernego, grzesznego człowieczeństwa jest spojrzeniem na kogoś, kto oszalał z miłości do nas, biednych, słabych ludzi. Pan to świetnie zauważył, że on postąpił jak szaleniec, bo jego wzorem był Chrystus.

R.B. – No, tak, tak.

J.P. – Kiedy był aresztowany Pilecki, istniało jeszcze kilka walczących oddziałów. Działy XVI Okręg NZW, VI Brygada Wileńska AK, XI Grupa Operacyjna NSZ na Mazowszu. Takich grup, takich ludzi jeszcze trochę było. Zostały rozbite w końcu lat czterdziestych.

R.B. – Oni mogli liczyć tylko na to, jak mi się wydaje, że jeszcze poszarpią trochę tych komunistów, trochę im szkód narobią, i rozejdą się do domów lub polegną.

J.P. – Po amnestii w 1947 r. już wiedzieli, że zginą. Zdawali sobie sprawę, że dla nich tylko śmierć. Faktem jest, że oni liczyli na wybuch trzeciej wojny światowej. W zeznaniach Pileckiego ten wątek w ogóle się nie pojawia.

R.B. – Tak. Ale wydaje mi się, że z tych wszystkich postaci, o których chcę robić filmy, Pilecki jest taką najbardziej świetlaną, świecą jak gwiazda postacią, która jest godna najwyższego uznania. Nie wiem, jak go można uznać jeszcze bardziej – postawić mu pomnik w śródmieściu Warszawy? Jest to ktoś, kto przekracza zwykłe pojmowanie bohaterstwa. Ci, co stoją z jakimiś szabelkami na tych swoich cokołach, w żadnym stopniu nie dorastają do tej postaci.

B.P. – Bo stoi ona na najmocniejszym fundamencie.



Ryszard Bugajski, urodzony w 1943 r. w Warszawie. Studiował filozofię na UW i reżyserię w PWSFTViT w Łodzi. Tłumacz sztuk teatralnych, autor opowiadań i powieści. Członek „Zespołu X” Andrzeja Wajdy. Reżyser sztuk teatralnych (Teatr TV) i filmów. W połowie lat 80. wyemigrował do Kanady. Do kraju powrócił w połowie lat 90. W 1982 roku zrealizował *Przesłuchanie* ze znakomitą kreacją Krystyny Jandy. Film ten został jednak zatrzymany przez cenzurę. Zaczęto go rozpowszechniać dopiero w 1989 roku. Autor scenariusza i reżyser *Śmierci rotmistrza Pileckiego*, spektaklu TTV, załączonego na płycie do niniejszego numeru „Biuletynu IPN”.

W 1990 r. Tadeusz Pawlicki zrealizował w Studiu im. A. Munka film dokumentalny o Witoldzie Pileckim pt. *Witold* (autor zdążył zarejestrować wypowiedzi świadków, którzy dziś już nie żyją). Film był kilkakrotnie emitowany w II programie TVP i telewizji Polonia. W styczniu 2006 r. powstała Fundacja Pamięci im. Witolda Pileckiego, której celem jest upamiętnienie idei i postaci rotmistrza Witolda Pileckiego oraz innych osób, które – bez względu na ich narodowość, pochodzenie czy wyznanie – położyły zasługi w walce o niepodległość i suwerenność Polski.

Noty w ramach opracowali: Kazimierz Krajewski, Krzysztof Madej,
Romuald Niedzielko i Jacek Żurek.

PRZEPIS NA NOWEGO BOHATERA NARODOWEGO

ALBO O TYM, DLACZEGO KAROL ŚWIERCZEWSKI NIE ZOSTAŁ GWIAZDĄ KINA (PERYPETIE SCENARIUSZA ŻOŁNIERZA ZWYCIĘSTWA WAN-DY JAKUBOWSKIEJ Z 1953 ROKU)*

Świerczewski znalazł się w panteonie narodowym dość nieoczekiwanie. Punktem kluczowym, uruchamiającym mechanizm włączania go w obręb wielkości narodowych, były nie zasługi wojenne, ale jego śmierć w marcu 1947 r.¹ Nie ma większego znaczenia, kto i dlaczego uśmiercił generała, gdyż dla obrazu bohatera jest to kwestia drugorzędna. Istotny jest sam moment śmierci, wraz z nią bowiem biografia Świerczewskiego stała się własnością partii komunistycznej. Był to dar tym cenniejszy, że możliwy do wykorzystania właściwie od zaraz.

Początek kultu nowego bohatera został „zadekretowany” postanowieniami Biura Politycznego KC PPR², a jego publicznym wyrazem była mowa pogrzebowa, jaką nad trumną Świerczewskiego wygłosił Władysław Gomułka: „Naród polski wydał ze swego łona niemało bohaterów. Lecz bohaterów podobnych generałowi Świerczewskiemu niewiele jest w naszej bogatej historii [...] w jego osobie ucieleśniły się wartości, które naród czynią wielkim i nieśmiertelnym, wolnym, postępowym, patriotycznym i rewolucyjnym”³. Warto zauważyć, że ze względów propagandowych pogrzeb miał charakter religijny.

Od tego momentu sprawa toczy się bardzo szybko – towarzysze partyjni najwyższego szczebla składają coraz to nowe propozycje interpretacyjne postaci Świerczewskiego, raz będzie to przede wszystkim internacjonalista, przyczyniający się do „zbliżenia międzynarodowego”⁴,

* Skrócona wersja referatu wygłoszonego na międzynarodowej sesji naukowej „Bohaterowie w historii i pamięci społeczeństw europejskich – Héros dans l’histoire et dans la mémoire des sociétés européennes” (UAM, Poznań, 24–27 VI 2004 r.).

¹ Generał Świerczewski zginął 28 III 1947 r. w rejonie wsi Jabłonki k. Baligrodu (pow. leski) w zasadzce urządzonej przez UPA (oddziały „Chrina” i „Stacha”). Nieznane dotąd szczegóły o okolicznościach zamachu zob. w tomie: *Akcja »Wista« 1947*, Warszawa–Kijów 2006, s. 563, 565, 705, 707. Po 1989 roku, kiedy biografię Świerczewskiego można było „odczarować”, badania nad nią nie cieszyły się zbyt dużą popularnością. Co bardziej efektowne wątki zaprezentował telewizyjny program Dariusza Baliszewskiego z cyklu „Rewizja nadzwyczajna” oraz szkic Piotra Lipińskiego w jego książce *Towarzysze Niejasnego*, Warszawa 2003. Jedną z nielicznych prac o charakterze naukowym, mającą charakter syntezy dzisiejszej wiedzy na temat biografii generała, jest artykuł Mariusza Patelskiego, *Karol Świerczewski »Walter« – komunista i generał*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Opolskiego. Historia” 1996, nr 32, s. 73–81.

² Protokół nr 3 posiedzenia Biura Politycznego z dnia 29 marca 1947 r. [w:] *Protokoły Biura Politycznego KC PPR 1947–1948*, oprac. A. Kochański, Warszawa 2002, s. 36–38.

³ W. Gomułka, *Nasze sztandary były sztandarem twego życia* [w:] *idem, Z kart naszej historii*, Warszawa 1982, s. 188.

⁴ Wypowiedź Jakuba Bermiana na plenarnym posiedzeniu KC PPR 13 IV 1947 r., *Stenogram plenarnego posiedzenia KC PPR 13-14 kwietnia 1947 r.*, „Archiwum Ruchu Robotniczego”, t. VII, Warszawa 1982, s. 233–234.

innym razem jego biografia stać się ma „słuszną lekcją historii, którą młodzież powinna znać”⁵. Kulminacją bohaterotwórczej aktywności Partii będzie jednak książka Janiny Broniewskiej, którą w lutym 1948 r. Ministerstwo Oświaty zatwierdziło jako lekturę dla klas VI–VIII szkoły podstawowej. Jej tytuł stanie się powszechnie rozpoznawalnym synonimem Świerczewskiego – odtąd w świadomości potocznej będzie on „człowiekiem, który się kulom nie kłaniał”⁶.

Kontynuacja, rozszerzająca jednocześnie pole oddziaływania na masy, miała być realizacja filmu o „Walterze”. Nie przez przypadek odwołano się do tak popularnego środka propagandy, jakim jest kino. Według partyjnych dyrektyw kinematografia przyczyniać się miała do „uzdrowienia psychiki narodowej i do rozwinięcia pozytywnych wartości tkwiących w narodzie”, jak również „dopomóc [...] w zrewidowaniu poglądów na przeszłość historyczną narodu, spopularyzować tradycje demokratyczne w dziejach Polski, dopomóc społeczeństwu w zrozumieniu istoty przemian społecznych zachodzących obecnie”⁷. Postać Karola Świerczewskiego stanowiła znakomity punkt wyjściowy dla realizacji tak nakreślonych zadań.

Dokumenty, na podstawie których spróbuję scharakteryzować nowy typ bohatera, powstały przy okazji kręcenia filmu *Żołnierz zwycięstwa* w reżyserii Wandy Jakubowskiej⁸. Chronologia cyklu produkcyjnego, od pomysłu i pierwszej wersji scenariusza aż po wejście filmu na ekrany kin, obejmuje lata 1949–1953. Co istotne, ten stosunkowo długi czas realizacji ma charakter nie obiektywny, ale ideologiczny. Możliwości produkcyjne kinematografii polskiej były rzecz jasna ograniczone, a tak wielka produkcja jak *Żołnierz zwycięstwa* pochłonąć musiała niespotykane dotąd środki. Jednak niezwykła waga tego projektu pozwalała na dość łatwe obejście stosowanych dotąd procedur, czego potwierdzenie znajdziemy w praktykach stosowanych już na dalszych etapach⁹. Nie ulega zatem wątpliwości, że główną przyczyną zastoju były problemy z uzyskaniem właściwego obrazu „Bohatera Narodowego Polski Ludowej”, jak w jednym z dokumentów określono generała¹⁰.

Wykonawcami zlecenia partyjnego zostali: Wanda Jakubowska, reżyserka wsławiona filmem *Ostatni etap*, i Jerzy Borejsza¹¹, były prezes Spółdzielni Oświatowo-Wydawniczej

⁵ Wypowiedź Mieczysława Bodalskiego na tym samym plenum, *ibidem*, s. 265.

⁶ Czwarte wydanie książki *O człowieku, który się kulom nie kłaniał* Janiny Broniewskiej (z 1952 r.), którego egzemplarz posiadam, miało nakład 100 tys. egzemplarzy, co świadczy o tempie i zasięgu upowszechniania bohaterskiego mitu generała „Waltera”.

⁷ Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), KC PZPR, 295/XVII-8, Wytoczne programowe produkcji filmowej, k. 26.

⁸ Więcej na temat samego filmu piszą: E. Krasucki, *Film jako obowiązek polityczny. Prace nad obrazem „Żołnierz Zwycięstwa” Wandy Jakubowskiej w świetle dokumentów partyjnych z lat 1949–1953* (w druku); A. Chojnowski, *Pośmiertna maska stalinizmu. „Żołnierz Zwycięstwa” Wandy Jakubowskiej jako zwierciadło epoki*, „Dzieje Najnowsze” 2006, nr 1.

⁹ AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, Notatka dotycząca filmu „Generał Zwycięstwa” sporządzona przez Stanisława Albrechta, k. 52.

¹⁰ *Ibidem*, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa” dokonana w sierpniu 1951 r. przez płk. J. Wachtela, k. 21.

¹¹ Borejsza w wyniku nieporozumień z Jakubowską został w 1951 r. odsunięty od prac nad scenariuszem i w czołówce filmu figuruje tylko jako autor noweli, na kanwie której osnuty jest scenariusz.

„Czytelnik”, który po Światowym Kongresie Intelktualistów we Wrocławiu (1948 r.) popadł w niełaskę za swoje nazbyt liberalne stanowisko w kwestiach polityki kulturalnej. Byłoby naiwnością sądzić, że wyłącznie względy ideowe popchnęły oboje do zajęcia się tematem. Każde z nich chciało przy okazji wygrać coś dla siebie. W liście do Borejszy Jakubowska artykułowała to wprost: „Tworząc wraz ze mną zespół podstawowy (pisarz–reżyser) automatycznie stajesz się podstawowym elementem partyjnej twórczości filmowej w Polsce, bo nawet jeżeli uda nam się wychować jeszcze kilka takich zespołów, to ja przynajmniej mam ambicję utrzymać się w pierwszym szeregu”¹². W tle wyczuwa się rywalizację o palmę pierwszeństwa w polskiej kinematografii powojennej, w której głównym konkurentem Jakubowskiej był Aleksander Ford.

Z kolei szukający swego miejsca były prezes „Czytelnika” liczył, że dzięki filmowi jego pozycja partyjna ulegnie poprawie. Miał też kłopoty zdrowotne w wyniku powikłań po wypadku samochodowym, jakiemu uległ, wracając z noworocznego przyjęcia w 1949 r. Część bliskich współpracowników Borejszy twierdziła, że po tych przejściach tryskający energią i pomysłami autor *Rewolucji łagodnej* był już zupełnie inną osobą. Zofia Hoffmanowa współpracująca z nim w „Odrodzeniu” wspominała: „Borejsza był w fatalnej formie, jego artykuły były niezwykle chaotyczne, pisane przez człowieka ciężko chorego i zagubionego, prosił mnie i p. [Annę] Baranowską o pomoc w redagowaniu i przeredagowaniu”¹³. Nie ulega przy tym kwestii, że zaangażowanie byłego prezesa „Czytelnika” w film o Świerczewskim brało się również z wielkiej osobistej sympatii, jaką darzył generała. Dla Jakubowskiej, która zaprosiła Borejszą do współpracy, miało to znaczenie niebagatelne. Szukała kogoś, kto znał „Waltera”, a jednocześnie dawał gwarancję ciekawego ujęcia tematu. O tym, jak bardzo się pomyliła, przekonała się już po kilku miesiącach, kiedy pierwsza fascynacja pomysłami Borejszy minęła i zaczęły się niesnaski, wynikające z zupełnego niedobrania charakterologicznego współscenarzystów. Twórca „Czytelnika” zupełnie nie nadawał się do kolektywnej pracy twórczej, w dodatku odnosił się niechętnie do metody socrealistycznej, co przyznawali nawet jego przeciwnicy¹⁴. Nie to był jednak problem największy.

Użyte wcześniej słowo „zlecenie” jest kluczowe dla zrozumienia komplikacji powstałych w trakcie pracy nad *Żołnierzem zwycięstwa*. Rozumieć je należy w sposób dosłowny, o czym świadczy fragment z listu Jakubowskiej: „W maju 1948 roku tow. Stanisław Albrecht zapytany przeze mnie, jaki film powinnam robić [...] oświadczył mi, że zgodnie z życzeniem Kierownictwa Partii tematem najbardziej zalecanym jest temat filmu o generale Karolu Świerczewskim”¹⁵. Nie ma tu miejsca na niedomówienia, a tak wyraźna geneza inspiracji filmu Jakubowskiej rzutować będzie na wszystkie etapy produkcji. Szczególnym nadzorem partyjnym otoczono zwłaszcza powstawanie

¹² Archiwum Jerzego W. Borejszy (dalej: AJB), Teczka: Prace nad filmem „Żołnierz Zwycięstwa”, część I – korespondencja i dokumenty, List Wandy Jakubowskiej do Jerzego Borejszy z 22 XI 1949 r.

¹³ Cyt za: J. Natanson, *Jak odchodził Borejsza?*, „Literatura” 1985, nr 9.

¹⁴ Zob.: A. Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, oprac. L. Ciołkoszowa, t. 1, Warszawa 1990, s. 290.

¹⁵ AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, List Wandy Jakubowskiej do Pawła Hoffmana z dnia 15 VII 1951 r., k. 46.

scenariusza, czemu towarzyszyły liczne narady, listy i opinie. Wśród osób, które zabierały głos w dyskusji nad kształtem owej partyjnej superprodukcji, znaleźli się m.in. Jakub Berman, Konstanty Rokossowski, Edward Ochab, Stanisław Albrecht, Adam Ważyk. Ich rola polegała na skonfrontowaniu wizji autorskiej scenarzystów z ówczesną linią partyjną. Najlepszym przykładem działania tego mechanizmu niech będzie fakt pośmiertnego włączenia Świerczewskiego do walki z tzw. odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym¹⁶. Również rola partii, kształtującej postać historyczną „z punktu widzenia teraźniejszego zapotrzebowania”, znajduje tu swój pełny wyraz.

Osoby uczestniczące przy powstawaniu scenariusza nakreśliły wiele celów częściowych, jakie film powinien spełniać, by dać społeczeństwu właściwy obraz nowego bohatera narodowego. Jakubowska twierdziła, iż film „wzbudzić ma nienawiść do imperialistów amerykańskich”¹⁷, Berman zaś uważał, iż „winien konsekwentnie pokazywać Karola jako komunistę i bohatera narodowego w każdym etapie jego życia”¹⁸. Najpełniejszą wypowiedź znaleźć można w liście Stanisława Albrechta, ówczesnego dyrektora „Filmu Polskiego”: „Film ten ma najszerzym masom dać obraz: a) nowego wzajemnego stosunku proletariatu – partii – wojska; b) internacjonalizmu – patriotyzmu w przeciwieństwie do kosmopolityzmu; c) nowego stosunku techniki do człowieka i humanizmu strategii Stalinowskiej oraz oświetlić zagadnienie prowokacji ideowej i dywersji szpiegowskiej, jako jednej z groźniejszych broni wroga”¹⁹. Trudno znaleźć w tej wypowiedzi bezpośrednie odniesienia do osoby „Waltera”, mowa tu bowiem o jego wizerunku – postaci, która musi się znaleźć i zdomować w nowych realiach społeczno-politycznych.

Postawa scenarzystów wobec licznych uwag partyjnych decydentów jest znakomitym przykładem pokory, z jaką orzeczenia Partii przyjmowali jej członkowie. Rzecz ciekawa, jak wynika z listów do Jakubowskiej, Borejsza miotał się nieustannie między podporządkowaniem zaleceniom partyjnym a zwykłą uczciwością autora. Ostatecznie jednak każdorazowo, aż do momentu zerwania współpracy nad scenariuszem, brała górę uległość, co pogłębiało tylko obraz upadku byłego prezesa „Czytelnika”. Ilustracją niech będzie końcowy fragment protokołu z posiedzenia Wydziału Kultury KC PZPR z września 1950 r., w trakcie którego scenariuszowi zarzucono „tanie efekciarstwo” (Ważyk), „prymitywność dialogów” (Siekierska) oraz „nieścisłość historyczną i nieścisłość interpretacyjną, która ogromnie zawęży i zubaża sylwetkę bohatera” (Broniewska). W odpowiedzi na te uwagi scenarzyści zadeklarowali, że „całe sceny i partie ulegną gruntownym przeróbkom zgodnie z uwagami towarzyszy”²⁰. W innym miejscu Borejsza wskazywał na konieczność bezpośredniego uczestnictwa partii w pracach nad

¹⁶ *Ibidem*, Protokół posiedzenia Wydziału Kultury z dnia 5 IX 1950 r. w sprawie scenariusza o Generale Świerczewskim, k. 3a.

¹⁷ *Ibidem*, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa” dokonana w sierpniu 1951 r. przez płk. J. Wachtela, k. 21.

¹⁸ AAN, Archiwum Bolesława Bieruta, 254/I-7, Uwagi o scenariuszu „Generał Świerczewski”, k. 9.

¹⁹ AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, List Stanisława Albrechta do Stanisława Dybowskiego z dnia 16 VI 1950 r., k. 69–70.

²⁰ *Ibidem*, Protokół posiedzenia Wydziału Kultury z dnia 5 IX 1950 r. w sprawie scenariusza o Generale Świerczewskim, k. 3–7.

scenariuszem²¹. Zrozumienie woli i życzeń Partii było dla scenarzystów warunkiem, by film, a co za tym idzie właściwy portret bohatera, w ogóle mógł powstać. Szczególny wyraz troski o zachowanie ideologicznej słuszności stanowi wyznaczenie, jakie Jakubowska uczyniła Borejszy po jednej z kolejnych awantur: „Wobec faktu, że odmówiłeś swojej cennej współpracy przy scenariuszu i filmie o Świerczewskim [...], nie chcę korzystać z Twojej cennej rady zwrócenia się o współpracę do osób nie mogących wnieść nic istotnego, wybrałam zdaje się najlepszą z dróg i obłożyłam się książkami Lenina i Stalina, w których szukam i naturalnie znajduję wytyczne i wskazówki, że tak powiem, z pierwszej ręki. Najciekawsze, że znajduję tam nie tylko wskazówki natury ideologicznej budowy poszczególnych scen, ale nawet materiał do dialogów, zarówno dla części negatywnej, jak pozytywnej. Przyczem należy podkreślić, że nie jakieś suche i doktrynerskie, ale bardzo emocjonalne sceny i dialogi”²².

Skoro wytyczne partyjne dotyczyły określenia głównych cech herosa nowej rzeczywistości, warto im się przyjrzeć nieco bliżej. Pośród analizowanych dokumentów na szczególną uwagę zasługują komentarze Bermiana z archiwum Bieruta. Znaleźć tam można następujący fragment: „szereg scen, w których postać Świerczewskiego występuje jako kierowniczka i decydująca wola – akcentuje często rolę generała bez powiązania z jakimkolwiek partyjnym ogniwem lub zespołem, określającym ogólną linię postępowania dowódców i ich otoczenia. Widz w każdym razie nie będzie dostrzegł wyraźnie tej **kierującej siły ideowej i organizacyjnej**, a szereg wydarzeń będzie przypisywał geniuszowi i bohaterstwu jednostki, bądź przypadkowi”²³. Słowa te znakomicie charakteryzują zmianę modelu bohatera narodowego. Romantyczny indywidualista zastąpiony zostaje przedstawicielem kolektywu, a jego wielkość świeci jedynie odbitym światłem partii. Nie ma tu miejsca na czyn indywidualny, nieskoordynowany z wolą partyjną. Autorytatywnie stwierdza się zresztą, iż „wystąpienia jego nie powinny mieć przypadkowego charakteru”²⁴. Świerczewski jest tu równocześnie tylko jednym z ogniw w porządku historycznym. „W historii istnieje ciągłość” – pisano w nekrologu generała na łamach partyjnych „Nowych Dróg”, włączając jego postać w ciąg rewolucyjnych zrywów „od Legionu Mickiewicza do fortów Komuny Paryskiej i obrony republikańskiego Madrytu, od Uniwersałów powstańczych do Manifestu PKWN”²⁵. Egzemplifikacją tej myśli miał stać się „Walter” z celuloidowej taśmy.

Twórcy nowego typu bohatera musieli w miejsce gorliwego, straceńczego patriotyzmu herosa zaproponować coś w zamian, nie odchodząc bynajmniej od trwale zakorzenionej w społeczeństwie idei oddania ojczyźnie. Wpisany w ideologię komunistyczną internacjonalizm, poprzez swoją obcość, nie nadawał się do prostego przeszczepienia na grunt polski. Problem ten rozwiązano w sposób ugodowy. Postawę reprezentowaną

²¹ *Ibidem*, List Jerzego Borejszy do Pawła Hoffmana z dnia 18 I 1951 r., k. 35.

²² AJB, Teczka: Prace nad filmem „Żołnierz Zwycięstwa”, część I – korespondencja i dokumenty, List Wandy Jakubowskiej do Jerzego Borejszy z 13 XI 1949 r.

²³ AAN, Archiwum Bolesława Bieruta, 254/I-7, Uwagi o scenariuszu „Generał Świerczewski”, k. 6 (podkreślenie w tekście oryginału).

²⁴ *Ibidem*, k. 9.

²⁵ *Nekrolog Karola Świerczewskiego*, „Nowe Drogi” 1947, nr 3, s. 5.

Karol Świerczewski „Walter” (1897–1947).

Urodził się w Warszawie w rodzinie robotniczej. Ukończył 2 klasy szkoły powszechnej. Od 1914 r. pracował jako pomocnik tokarza w zakładach „Gerlach”, wraz z ewaku-



owaną fabryką znalazł się w Rosji. Został komunistą, brał udział w rewolucji październikowej. Wstąpił do Armii Czerwonej, walczył przeciwko „białym generałom” Denikinowi i Krasnowowi, a podczas wojny polsko-sowieckiej 1920 r. – jako ochotnik – przeciwko Polakom. Studiował w Akademii Wojskowej im. Frunzego, od 1931 r. wykładał w tajnej szkole Kominternu przygotowującej komunistów do akcji dywersyjnych w Europie. Awansowany na generała uczestniczył w wojnie domowej w Hiszpanii jako jeden z dowódców Brygad Międzynarodowych (1937–1938). W 1941 r. dowodził sowiecką dywizją, która wskutek jego pijaństwa i nieudolności została doszczętnie rozbita przez wojska niemieckie. Jednak, popierany przez Stalina, ze wszystkich opresji wychodził obronną ręką. W latach 1942–1943 był komendantem szkoły oficerskiej. W sierpniu 1943 r. został mianowany zastępcą dowódcy 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, a w marcu 1944 r. zastępcą dowódcy Armii Polskiej w ZSRR. Był też członkiem najwyższych władz politycznych – KC PPR i Krajowej Rady Narodowej. W sierpniu 1944 r. został mianowany dowódcą 2. Armii Wojska Polskiego; zatwierdzał wyroki śmierci na żołnierzach Armii Krajowej. Dowodząc operacją forsowania Nysy Łużyckiej i walką z Niemcami pod Budziszynem, popełnił rażące błędy, przyczyniając się do śmierci tysięcy żołnierzy. Mimo to w maju 1945 r. awansował do stopnia generała broni. Od lutego 1946 r. był wiceministrem obrony narodowej. Podczas wizytacji jednostek zwalczających zbrojne podziemie ukraińskie zginął z rąk UPA pod Baligrodem 28 marca 1947 r. w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Jego śmierć przyspieszyła decyzję władz o rozpoczęciu akcji „Wisła”, w której wyniku ostatecznie rozbito UPA, a ludność ukraińską przesiedlono na Ziemię Zachodnie.

Został pochowany na Powązkach – w grobie, z którego usunięto szczątki zmarłego w 1939 r. płk. Walerego Sławka.

Oprac. **Romuald Niedzielko** na podstawie m.in.: J. Kochanowski, *O micie, który się faktom nie kłaniał*, „Polityka” 2002, nr 3; J. Kofman, M.J. Chodakiewicz, Świerczewski Karol [w:] *Słownik biograficzny Europy Środkowo-Wschodniej XX wieku*, Warszawa 2004; J.J. Kasprzyk, *Świerczewski Karol, pseud. „Walter”* [w:] *Encyklopedia „Białych Plam”*, t. 17, Radom 2006.

przez Świerczewskiego określono jako „internacjonalistyczny patriotyzm”²⁶, przy czym akcenty w tym wyrażeniu rozłożone były równomiernie. Widać to dobrze na przykładzie uwagi poczynionej względem scenarzystów, którym zarzuca się pokazanie „Waltera” wyłącznie jako „międzynarodowego rewolucjonisty”²⁷. Definicję „internacjonalistycznego patriotyzmu” odnaleźć można w następującym sformułowaniu: „Za słabo uwypuklona jest w scenariuszu rola gen. Świerczewskiego w wielkich wydarzeniach międzynarodowych, w których bierze udział, jako patrioty-internacjonalisty, działającego pod wpływem wewnętrznych bodźców ideologicznych, właściwych członkowi partii marksistowsko-leninowskiej, ale ani na chwilę nie tracącego uczuciowej więzi z krajem ojczystym, tęskniącego gorąco za Polską, opanowanego przez wiarę w jej wyzwolenie społeczne”²⁸. Internacjonalizm generała wyprowadzony zostaje zatem z umiłowania ludu polskiego. Społeczeństwo otrzymuje tym samym bohatera, z którym może się łączyć i identyfikować. Przede wszystkim pamiętać należy o silnie obecnym w mentalności społecznej mitem „żołnierza-bohatera”²⁹, na który nakładało się dodatkowo powszechne umiłowanie silnych ludzi w mundurach oficerskich, żeby wspomnieć tylko postacie marszałka Piłsudskiego czy generałów Sikorskiego i Andersa³⁰. Partia nie mogła sobie pozwolić na stworzenie obrazu bohatera wyciętego zupełnie z patriotyzmu. Mechanizm legitymizacyjny zawarty w tej idei był nazbyt trwały, aby złożyć go na ołtarzu ideologicznej czystości³¹. Obraz Świerczewskiego obmywającego twarz w Wiśle jest dla tego zjawiska symboliczny³². Nieprzypadkowo, rzecz jasna, gdyż sceny powrotu „Waltera” do Polski zamierzono zgodnie z wolą partii jako „najbardziej wzruszające fragmenty filmu, najbardziej wyraziste ideologicznie, najbardziej równocześnie patriotyczne”³³. Scenę nad Wisłą odczytać można również jako próbę zastąpienia wizerunku gen. Andersa na białym koniu sceną równie wymowną, jednakowo poruszającą wyobraźnię odbiorcy.

Wśród innych cech określających postać nowego bohatera znajdzie się z pewnością obecna już od najmłodszych lat świadomość klasowa. Charakterystyczna jest tu propozycja Bermiana, aby w scenariuszu umieścić następującą scenę: „Karol podbiega, chwyta sztandar i oddaje go zbliżającemu się robotnikowi, który podnosi znów sztandar w górę (wydaje się, że w wieku Karola możliwy jest już taki czynny udział chłopca w wydarzeniach)”³⁴.

²⁶ AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa”, k. 32.

²⁷ *Ibidem*.

²⁸ AAN, Archiwum Bolesława Bieruta, 254/I-7, Uwagi o scenariuszu „Generał Świerczewski”, k. 6.

²⁹ Por. I. Maciejewska, *Rewolucja i niepodległość. Z dziejów literatury polskiej lat 1905–1920*, Kielce 1991, s. 141–146.

³⁰ Por. M. Jastrząb, *Mozolna budowa absurdu. Działalność Wydziału Propagandy Warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR w latach 1949–1953*, Warszawa 1999, s. 117.

³¹ Por. M. Zaremba, *Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce*, Warszawa 2001; J. Prokop, *Wyobrażenia pod nadzorem. Z dziejów literatury i polityki w PRL*, Kraków 1994, s. 15–51.

³² AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa” dokonana w sierpniu 1951 r. przez płk. J. Wachtela, k. 25.

³³ AAN, Archiwum Bolesława Bieruta, 254/I-7, Uwagi o scenariuszu „Generał Świerczewski”, k. 10.

³⁴ *Ibidem*, k. 7.

Wydarzenia 1905 r., do których tu nawiązano (Świerczewski miał wówczas 8 lat), mają w filmie wskazywać „na polskie i proletariackie pochodzenie Świerczewskiego”, jak również stanowić podbudowę „jego postaci stosunkiem do rodzimej burżuazji”³⁵. Elementy biografii „Waltera” dla doraźnych potrzeb mistyfikowano, odchodząc od prawdy historycznej. Charakterystyczne, że tylko jeden z recenzentów scenariusza, bliżej nieznanymi płk Wachtel, dostrzegł niestosowność takich działań, zwracając uwagę na to, że „nie może być kilku różnych wersji życiorysu Karola Świerczewskiego”³⁶. Manipulacja biografią generała nie przeszkadzała nazywać *Żołnierza zwycięstwa* filmem biograficzno-dokumentalnym³⁷.

Czystość ideową nowego bohatera wyznaczał w znacznym stopniu jego czynny udział w rewolucji październikowej i budowie państwa radzieckiego. Świerczewski, jako polski patriota i jednocześnie wysoki oficer Armii Czerwonej, uosabiał „zwycięstwo idei braterstwa walki polskiej i rosyjskiej klasy robotniczej, głoszonej przez »Proletariat«, SDKPiL, KPP i PPR, akcentujące wyzwoleniczą rolę Armii Radzieckiej i braterstwo broni z armią polską, powstała w ZSRR i Armią Ludową walczącą w podziemiu”³⁸. W tym bodaj najpełniej wyrażała się przywoływana już wcześniej idea „internacjonalistycznego patriotyzmu”. Potrzebowała ona swoich męczenników; Adam Ważyk stwierdził nawet, iż u źródeł zabójstwa Świerczewskiego leżało to, „że był wybitnym wojskowym ze szkoły stalinowskiej, doświadczonym komunistą wychowanym przez WKP(b), uosobieniem łączności polskiej klasy robotniczej z nowym wojskiem i nowego wojska z armią radziecką”³⁹.

Pośród innych cech określających nowy typ bohatera znajdują się przede wszystkim takie, które przypisać można dobremu dowódcy. A więc „jest on człowiekiem brawury i fortelu, szuka styczności osobistej z polem walki”⁴⁰, a swym „opanowaniem imponuje żołnierzom i uspokaja wystraszonego oficera”⁴¹, co czyni go w konsekwencji „przyjacielem żołnierzy”⁴². Ciekawe (i wiele mówiące o mentalności żołnierskiej) jest to, że choć scenariusz *Żołnierza zwycięstwa* silnie akcentował wątek Świerczewskiego-Żołnierza, oceniający go marszałek Rokossowski stwierdził, iż „po 2-iej wojnie światowej pokazano generała Świerczewskiego w taki sposób, że wygląda więcej na cywila niż na generała”⁴³. „Walter” to – zdaniem partii – także „człowiek pełen wewnętrznego ciepła, odwagi, przytomności umysłu i rewolucyjnego ognia”, czyniącego zeń „dobrego komunistę”⁴⁴, „walczącego zdecydowanie i niezłomnie o realizację programu i wytycznych

³⁵ AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa”, k. 32.

³⁶ *Ibidem*, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa” dokonana w sierpniu 1951 r. przez płk. J. Wachtela, k. 30.

³⁷ AAN, Archiwum Bolesława Bieruta, 254/I-7, Uwagi o scenariuszu „Generał Świerczewski”, k. 6.

³⁸ *Ibidem*, k. 10.

³⁹ AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, Protokół posiedzenia Wydziału Kultury z dnia 5 IX 1950 r. w sprawie scenariusza o Generale Świerczewskim, k. 3a.

⁴⁰ *Ibidem*, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa” dokonana w sierpniu 1951 r. przez płk. J. Wachtela, k. 22.

⁴¹ *Ibidem*, k. 25.

⁴² *Ibidem*, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa”, k. 32.

⁴³ *Ibidem*, Uwagi tow. Rokossowskiego do scenariusza filmu „Żołnierz Zwycięstwa”, k. 16.

⁴⁴ *Ibidem*, Ocena scenariusza „Żołnierz Zwycięstwa”, k. 32.

partii – w ciągu całego życia”⁴⁵. Co interesujące, ten laurkowy obraz Świerczewskiego budził wśród partyjnych decydentów lekki niepokój. Zagubiono gdzieś bowiem naturalny, czysto ludzki rys osobowości generała. Podkreślano, że „w życiu mówił językiem jędrnym, dowcipnym, rubasznym”⁴⁶, a także to, iż „autorzy przedstawili bohatera jako gotowego, urobionego człowieka, który nie ma wahań, nie popada w żadne konflikty, nie ma właściwie wrogów, poza anonimowymi nieprzyjaciółmi na polu bitwy”⁴⁷. Obawiano się, „czy widz potrafi się przywiązać do tak przedstawionego bohatera”⁴⁸ i nalegano, aby pokazać Świerczewskiego „takim, jakim był naprawdę”⁴⁹. Biorąc pod uwagę wcześniejsze uwagi recenzentów oraz ich ideologiczne tło, wydaje się, że w tym momencie postawiono przed twórcami filmu zadanie niemożliwe do wykonania.

Pokazany tu mechanizm konstruowania nowego typu bohatera znalazł zastosowanie nie tylko do postaci Karola Świerczewskiego, pasował doskonale do innych herosów Polski Ludowej. W miejsce „Waltera” wstawić można zarówno Feliksa Dzierżyńskiego, jak i Wandę Wasilewską. Taką możliwość dawała odgrywana przez Partię rola historyka-kapłana⁵⁰. Ustalał on hierarchię ważności „świętych” swego Kościoła zależnie od doraźnych potrzeb. W przeszłości szukał uzasadnienia teraźniejszej wielkości i z łatwością je znajdował. Żaden fakt historyczny nie mógł mu stanąć na przeszkodzie. Bohater w takim ujęciu był pomazańcem, wyrażającym partyjną, a nie jednostkową wolę. Taki model bohatera stał w opozycji do zakorzenionego w polskiej tradycji modelu romantycznego. Celem Partii było wyparcie go z potocznej świadomości narodu polskiego. Sprzyjać temu miała asymilacja niektórych elementów dawnego modelu, żeby wspomnieć tylko rolę patriotyzmu przy konstruowaniu postaci Świerczewskiego. Widomym efektem tego typu usiłowań jest *Żołnierz zwycięstwa* – film „niestrawny” już w momencie wejścia na ekrany w maju 1953 r.⁵¹

⁴⁵ AAN, Archiwum Bolesława Bieruta, 254/I-7, Uwagi o scenariuszu „Generał Świerczewski”, k. 6.

⁴⁶ AAN, KC PZPR, 237/XVIII-33, Protokół posiedzenia Wydziału Kultury z dnia 5 IX 1950 r. w sprawie scenariusza o Generale Świerczewskim, k. 7.

⁴⁷ *Ibidem*, k. 4.

⁴⁸ *Ibidem*.

⁴⁹ *Ibidem*, k. 7.

⁵⁰ Por. zaproponowany przez Józefa Chałasińskiego model różniący historyka-naukowca i historyka-kapłana: *Tworzenie legendy i naukowe zadania historii (Uwagi socjologiczne z powodu dwóch nowych książek o Lelewelu)* [w:] J. Chałasiński, *Kultura i naród. Studia i szkice*, Warszawa 1968, s. 71–74.

⁵¹ Por. P. Zwierzchowski, *Zapomniani bohaterowie. O bohaterach filmowych polskiego socrealizmu*, Warszawa 2000, s. 134–142.

MAJOR ZEMAN, SYN KAPITANA KLOSSA

W styczniu 1973 r. redakcja wojska, obronności i bezpieczeństwa czechosłowackiej telewizji przygotowała „projekt ideowy” nowego serialu *Trzydzieści nadzwyczajnych przypadków majora X*. Postulowano w nim konieczność wykreowania „ideowej przeciwwagi” dla bohaterów zachodnich seriali kryminalnych. Miał to być „aktywny, współczesny, a przy tym atrakcyjny, pociągający nasz bohater (tak jak się to udało na przykład polskim towarzyszom z kapitanem Klosem)”.

Inspiracja sukcesem „polskich towarzyszy” u progu dekady lat 70. nie była przypadkowa. W toku procesu „normalizacji” w Czechosłowacji, zapoczątkowanego po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu 1968 r., udało się co prawda opanować sytuację w kraju, nie oznaczało to jednak odzyskania zaufania społecznego, jakim partia komunistyczna cieszyła się w trakcie Praskiej Wiosny. Poszukiwano więc metod propagandowego pozyskania społeczeństwa.

Pomysł wykorzystania w tym celu serialu telewizyjnego z dzielnym majorem bezpieczeństwa w roli głównej narodził się we wrześniu 1972 r. Pierwotnie miał on obejmować 28 odcinków, z których każdy poświęcony byłby epizodowi przypadającemu na kolejny rok z dziejów „socjalistycznej republiki”. Wkrótce postanowiono rozbudować go o dalsze dwa, tak aby uczcić trzydziestolecie państwa oraz rocznicę „powołania i zbudowania naszego nowego socjalistycznego [aparatu] bezpieczeństwa, organu władzy państwowej, który zawsze stał wiernie u boku Komunistycznej Partii Czechosłowacji”.

W zamyśle autorów serial miał stanowić widowisko bardziej współczesne, przez co bliższe widzowi, niż dzieje kapitana Klossa czy bohaterów seriali sowieckich i bułgarskich, których losy przypadły na lata II wojny światowej. Nowy bohater, funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa od samych jego początków, miał być człowiekiem, „który tych trzydzieści lat walki o nową republikę przeżył w twardej służbie, w walce klasowej i społecznej, które formowały jego charakter i jego ludzkie oblicze”. Autorzy pomysłu, z których część także w swoim czasie była funkcjonariuszami bezpieki, wykazali się jednak nie tylko znajomością ideologicznej nowomowy, lecz także sporą dozą realizmu. Wskazuje na to fakt, że „major X” miał rozwiązywać głównie kwestie kryminalne, aby nie zniechęcać widzów zbyt dużą dawką propagandy serwowanej wprost.

Propozycje pracowników redakcji wojska, bezpieczeństwa i obronności trafiły na podatny grunt zarówno w czechosłowackiej telewizji, jak i w federalnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. To ostatnie oddelegowało do pomocy w przygotowaniu scenariuszy poszczególnych odcinków czterech doświadczonych oficerów bezpieki. W archiwum ministerstwa rozpoczęto także poszukiwania ciekawych spraw, które mogłyby

stać się kanwą dla kolejnych części serialu. Bezpośredni nadzór nad dalszymi pracami sprawował wydział prasowy MSW.

W trakcie prac nad scenariuszem pierwszych odcinków dokonano wyboru nazwiska dla głównego bohatera serii. Pierwotną wersję – Herych, odrzucono, ponieważ uznano ją za zbyt niemiecko brzmiącą. Tak narodził się major Jan Zeman, główny bohater serialu. Ewoluowała także sama konstrukcja postaci. Pierwotnie miał on być w 1945 r. robotnikiem fabryki, który podejmuje pracę w aparacie bezpieczeństwa. W ostatecznej wersji młody Zeman został komunistą-komsomolcem, członkiem prosowieckiej młodzieżowej grupy konspiracyjnej, po aresztowaniu przez nazistów osadzonym w obozie koncentracyjnym. Po powrocie, wiedziony szlachetnym zamiarem ścigania zbrodniarzy wojennych, wstępuje wraz ze swoim przyjacielem z obozu Václavem Kaliną do SNB (Sbor Národní Bezpečnosti – Korpus Bezpieczeństwa Narodowego).

Jednocześnie z pracą nad scenariuszami pierwszych odcinków, ze względu na brak czasu (zgodnie z ideologicznym zamierzeniem emisja serialu musiała rozpocząć się w 1975 r.), przystąpiono do kompletowania zespołu autorskiego. Reżyserem został Jaroslav Šikl (jeden z autorów koncepcji filmu), główną rolę zaś zamierzano powierzyć słowackiemu aktorowi Štefanovi Kvietikovi. Ponieważ jednak Šikl nie dawał gwarancji politycznej pewności (w 1970 r. wykluczono go z KPCz na fali normalizacyjnych czystek), wydział prasowy MSW rozpoczął poszukiwania nowego reżysera. Ostatecznie został nim (po spotkaniu z ministrem spraw wewnętrznych Jaromírem Obziną) Jiří Sequens. Głównym autorem scenariuszy poszczególnych odcinków był Jiří Procházka. Zmieniono także odtwórcę głównej roli, został nim Vladimír Brabec.

Pierwszą serię (10 odcinków) nakręcono w rekordowym tempie, między 22 marca 1974 r. a 5 lutego 1975 r. Mimo tego iście stachanowskiego tempa, opóźnienia w realizacji montażu i przygotowaniu kopii do emisji telewizyjnej sprawiły, że pierwszy odcinek czechosłowacka telewizja wyemitowała dopiero 11 stycznia 1976 r. Serial, zgodnie z zamierzeniami jego autorów, cieszył się wielką, rosnącą z odcinka na odcinek popularnością. Według sondaży ośrodka badań socjologicznych telewizji czechosłowackiej jego oglądalność sięgała 90 proc. (inna kwestia, że specjalnego wyboru programów nie było), a w dziesięciostopniowej skali widzowie ocenili serial na „7”. W tym samym czasie rozpoczęto realizację drugiej serii i przygotowanie scenariuszy odcinków serii trzeciej.

Sukces serialu spowodował prawdziwą lawinę nagród, jakie spłynęły na jego twórców. Resort spraw wewnętrznych nie skąpił nie tylko gratyfikacji materialnych, ale i odznaczeń z okazji trzydziestolecia aparatu bezpieczeństwa oraz „medali SNB”. W 1978 r. we współpracy z miejscowym MSW na Kubie zrealizowano zdjęcia do dwu odcinków serialu. Ekipa liczyła 48 osób, które spędziły w kraju Fidela Castro ponad 6 tygodni. Jak się wydaje, była to kolejna forma premii dla twórców propagandowego dzieła, podobnie jak triumfalne wyjazdy do krajów bloku sowieckiego, np. NRD. MSW fundowało ekipie także liczne bankiety, a wybranym osobom – wypoczynek na swój koszt w resortowych ośrodkach wczasowych. Ukoronowaniem było odznaczenie w 1980 r. (po zakończeniu realizacji całości serialu) trzech twórców (reżyser, operator i odtwórca głównej roli) nagrodą państwową im. Klementa Gottwalda (odpowiednik sowieckiej nagrody leninowskiej). Wręczał je sam sekretarz generalny KC KPCz i prezydent CSRS w jednej osobie, Gustáv Husák.

Waga, jaką MSW i inne struktury komunistycznego państwa przywiązywały najpierw do realizacji, a następnie do rozpropagowania serialu, po zapoznaniu się z jego treścią, nie dziwi. W kolejnych odcinkach serialu Jan Zeman rozprawiał się z licznymi wrogami socjalizmu – począwszy od Wehrwolfo i banderowców, poprzez reakcyjny kler i różnej maści opozycjonistów, aż po imperialistycznych szpiegów i dywersantów. Jak już wspomniano, poszczególne odcinki oparte były na, odpowiednio zmodyfikowanych, prawdziwych przypadkach z dziejów czechosłowackiej bezpieki. Nawet, gdy akcja odcinka miała czysto kryminalny przebieg, nadawano jej odpowiedni polityczny kontekst. Przykładowo w epizodzie zatytułowanym *Bestie* („Bestia”) przeciwnikiem Zemana jest patologiczny zabójca, okradający swoje ofiary. Akcja rozgrywa się jednak w 1949 r., morderca jest przemytnikiem, natomiast jego ofiary to osoby usiłujące nielegalnie zbiec za granicę po komunistycznym zamachu stanu.

Samo przejście władzy przez komunistów w 1948 r. (tzw. zwycięski luty) przedstawiono w odcinku *Hon na lišku* („Polowanie na lisa”). W początkach roku placówka SNB, w której pracuje Zeman, otrzymuje nowego dowódcę – Pavla Bláhu, byłego lotnika RAF. Szybko wpada on w sidła miejscowych reakcjonistów, wśród których prym wiodą socjaldemokraci pospołu z przedsiębiorcą Čadkiem, właścicielem niewielkiej fabryki broni. Tymczasem do Kateřinskiej Hoří nadchodzą wieści o niepokojach w Pradze. Komuniści mobilizują siły, obsadzają fabryki, organizują patrole Lidových milicí. Reakcyjni spiskowcy postanawiają uzbroić swoich ludzi w karabiny produkowane w fabryce Čadka. Jan Zeman otrzymuje rozkaz rozbrojenia robotników okupujących przedsiębiorstwo. W kluczowej scenie filmu odbiera karabin przywódcy robotników, po czym odzywa się w nim niezawodny instynkt klasowy i Zeman kieruje broń przeciwko reakcjonistom. Spiskowcy zostają aresztowani, a Bláha ucieka sportowym samolotem na Zachód. Nie jest to jednak koniec jego roli w serialu, Zemanowi przyjdzie się z nim zmierzyć także w dalszych odcinkach, ostatecznie zabije go w epizodzie rozgrywającym się w 1957 r.

Kilka odcinków opisuje z „jedynie słusznej” perspektywy okres stalinowski. Najciekawszy wydaje się odcinek zatytułowany *Vrah se skrývá v poli* („Morderca ukrywa się w polu”), rozgrywający się w 1953 r. w fikcyjnej miejscowości Plánice. Oparty jest on na autentycznych wydarzeniach, które rozegrały się w morawskiej wsi Babice dwa lata wcześniej. Zdesperowani miejscowi chłopci, przymuszani do założenia spółdzielni produkcyjnej, dokonali zamachu na grupę miejscowych propagatorów kolektywizacji. Zginęło trzech komunistów oraz (przy próbie aresztowania) dwu członków grupy. Sprawa ta stała się pretekstem do brutalnej i masowej rozprawy z miejscowymi chłopami, a także Kościołem katolickim. Przed sądem stanęło 105 osób, z których jedenaście – w tym trzech księży – skazano na karę śmierci. Pozostałe wyroki oznaczały dla skazanych wieloletnie (od 11 do 25 lat) pozbawienie wolności lub dożywocie. W wersji „zemanowskiej” grupę założył amerykański dywersant (zwerbowany z grona czechosłowackiej emigracji), któremu pomaga proboszcz (szantażowany przez niego groźbą ujawnienia współpracy z gestapo w czasie wojny). Z rąk zamachowców ginie szereg osób, w tym bliski przyjaciel Zemana, ideowy komunista Karel Mutlový. Przed śmiercią zdołał on jednak za sprawą dzielnego funkcjonariusza pogodzić się z żoną.

W serialu nie mogło zabraknąć odcinków poświęconych problematyce Praskiej Wiosny. Rozgrywająca się w 1967 r. część *Klauni* przedstawia postać zdegenerowanego



poety Pavla Daneša, który wygłasza płomienne przemówienia o prawie do wolności słowa, po pijanemu zaś rani z nielegalnie posiadanej broni swoją dawną kochankę. W jego obronie staje przewodniczący związku pisarzy i inni intelektualiści, a w prasie pojawiają się oskarżenia, że strzelanina została zainscenizowana przez aparat bezpieczeństwa. Major Zeman odkrywa jednak, że Daneš jest współnikiem pospolitego złodzieja, kieszonkowca, który okradał słuchaczy poety. W ten sposób twórcy serialu przedstawili autentyczne wydarzenia – protesty czeskich i słowackich pisarzy w 1967 r. (które m.in. doprowadziły do odebrania ich związkowi tygodnika „Literární Noviny”) oraz autentyczną postać pisarza Jana Beneša, aresztowanego w 1966 r. za kontakty z emigracyjnym czasopismem „Svědectví” i skazanego rok później na pięć lat więzienia.

Wydarzenia roku 1968 przedstawiono w części zatytułowanej *Šťvanice* („Nagonka”). Epizod poświęcony jest ciężkiej doli „uczciwych” pracowników bezpieczeństwa w okresie reform Praskiej Wiosny. Pozbawiona cenzury telewizja wyemitowała reportaż o wydarzeniach w Plánicach (odcinek *Vrah se skrývá v poli*), w którym miejscowy proboszcz (skazany w 1953 r.) oskarża StB i osobiście majora Zemana o sprowokowanie pamiętnej masakry. Nagonka nasila się z tygodnia na tydzień, Zeman nie może znaleźć pomocy nawet w ministerstwie spraw wewnętrznych, także opanowanym przez reformatorów... Jego przyjaciel, pułkownik Kalina, przechodzi zawał i wkrótce umiera, gdyż „jego serce wytrzymało obóz koncentracyjny, ale nie mogło wytrzymać zdrady własnych ludzi”. Córka Zemana jest atakowana w szkole za czyny ojca z lat 50., a znany z poprzedniego odcinka poeta Daneš zbiera podpisy pod petycją z żądaniem ukarania dzielnego majora. Sąd rehabilituje planickiego proboszcza, oskarża natomiast Zemana o udział w prowokacji w 1953 r., która miała zmierzać do przyspieszenia kolektywizacji. W ostatniej chwili major zdobywa kluczowy dowód i zostaje uniewinniony. Traci jednak funkcję szefa praskiego wydziału kryminalnego, którą obejmuje jego dawny kolega.

W kolejnym odcinku (*Studna – „Studnia”*) rozgrywającym się w 1969 r. następuje szczęśliwie „normalizacja” sytuacji, realizatorzy filmu zręcznie omijają problem interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Pozbawiony swoich funkcji i odsunięty na pozycję „stójkowego” major Zeman rozwiązuje zagadkę podwójnego morderstwa, wykazując przy tym niekompetencję swojego następcy. Dzięki temu wraca na funkcję szefa wydziału kryminalnego. W ten sposób „wytlumaczono” widzom czystki, jakie rozpoczęły się w 1969 r. i powrót na stanowiska ludzi skompromitowanych w okresie stalinowskim.

W ostatnich odcinkach serialu Zemanowi przyszło się zmierzyć przede wszystkim z byłymi nazistami, agentami zachodnich wywiadów i kryminalistami. Część zdjęć zrealizowano w atrakcyjnej kubańskiej scenerii. Przedostatni epizod nawiązuje do wydarzeń z okresu kręcenia filmu, aczkolwiek przeniesionych w czasie (do roku 1972). Opowiada on mianowicie o długowłosych (ważny element „wrogiego” wizerunku!) członkach tytułowej kapeli rockowej, którzy już w pierwszej scenie filmu przyczyniają się do śmierci znajomej dziewczyny, gdyż zaaplikowali jej narkotyki. W dodatku wraz ze swoim przyjacielem Vondřichem przygotowują porwanie samolotu, którym chcą uciec na Zachód. Członków grupy udaje się aresztować tuż przed odlotem samolotu (Zeman odkrywa prawdę o śmierci dziewczyny). Będący pod wpływem narkotyków Vondřich pory-

wa samolot, zabijając przy tym jednego z pilotów, po czym nakazuje lot do Monachium. W ten sposób z jednej strony nawiązywano do kilku przypadków porwań czechosłowackich samolotów w latach 70., a z drugiej w luźny sposób do głośnej w 1976 r. historii aresztowania członków grupy „The Plastic People of the Universe” oraz innych wykonawców muzyki alternatywnej. Ich późniejsze skazanie stało się bezpośrednim impulsem do ogłoszenia Karty 77 i narodzin nowej fali czechosłowackiej opozycji.

Bez wątpienia dzieje majora Zemana stanowią przykład typowej komunistycznej propagandy. Serial ma jednak swoją specyfikę. Przede wszystkim jest chyba jedynym w dziejach bloku sowieckiego przykładem tak konsekwentnego promowania postaci funkcjonariusza aparatu bezpieczeństwa, w dodatku zajmującego się w przeważającej mierze sprawami natury politycznej. Jest to także ciekawy dla historyka przykład „jedynie słusznej” wersji dziejów Czechosłowacji przedstawionej z punktu widzenia bezpieki, a przeznaczonej przy tym dla masowego odbiorcy.

Kiedy w połowie lat 90. wpieryw słowacka (prywatna), a następnie czeska (publiczna) telewizja postanowiły przypomnieć przebój sprzed lat, towarzyszyły temu przedsięwzięciu liczne protesty. Wystosowywali je zarówno dawni więźniowie polityczni, historycy, jak i część polityków. Ostatecznie czeska telewizja w 1999 r. zdecydowała się poprzedzić poszczególne odcinki specjalnym programem ukazującym kłamstwa komunistycznej propagandy. Nie zapobiegło to jednak dalszym protestom, w tym rady ds. radiofonii i telewizji. Konfederacja więźniów politycznych złożyła w prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przez CzT przestępstwa. Podobne protesty towarzyszyły kolejnej emisji serialu w 2004 r., tym razem w jednej z prywatnych stacji telewizyjnych. Prokuraturę zawiadomił pisarz Jan Beneš, przedstawiony w dwu odcinkach (*Klauni i Štvanice*) jako Pavel Daneš – zdegenerowany poeta, współnik kieszonkowca. Podobnie jak w 1999 r., działania te nie przyniosły rezultatu.

Mimo ogromnej dyskusji i emocjom (a może właśnie dzięki nim?), jakie towarzyszyły powrotowi majora Zemana na czeskie i słowackie małe ekrany, serial ponownie cieszył się dużą popularnością. „Oglądalność” poszczególnych odcinków sięgała 50 proc. Jest to kolejny przyczynek do dyskusji nad zauważalnym we wszystkich krajach dawnego bloku sowieckiego elementem swoistej nostalgii za komunistyczną rzeczywistością.

W ostatnich latach kilkakrotnie pojawiły się pogłoski na temat realizacji kolejnych części serii, tym razem w formie filmu pełnometrażowego. Oczywiście, zgodnie z bieżącym zapotrzebowaniem tym razem bohater miałby się okazać agentem CIA lub, w innej wersji, doświadczonym „bezpieczniakiem”, który jako jedyny potrafi ocalić konferencję NATO przed zamachem terrorystycznym...

Wykorzystano następujące opracowania:

P. Blažek, P. Cajthaml, D. Růžička, *Kolorovaný obraz komunistické minulosti. Vznik, natáčení a uvedení Triceti případů majora Zemana* [w:] *Film a dějiny*, red. P. Kopal, Praha 2005, s. 276–294; D. Růžička, *Major Zeman. Zákulisí vzniku televizního seriálu*, Praha 2005 oraz informacje zawarte na stronach www.totalita.cz i www.majorzeman.cz.

HISTORIA ANTYABORCYJNYCH PRZEZROCZY

Powszechnie wiadomo, że w Polsce pod rządami komunistów ograniczanie swobód obywateli było normą. Nie mogli oni organizować się w związki, wyrażać publicznie swoich opinii politycznych, decydować o wyjazdach zagranicznych itp. Czy jednak państwo miało również decydować o wykonywaniu przez nich slajdów? Z przedstawionej poniżej historii wynika, że i ta forma aktywności Polaków mogła spowodować reakcję aparatu państwowego – tajnej policji, prokuratury, a nawet sądu¹.

W końcu 1973 r. Wydział IV SB Komendy Miejskiej MO w Łodzi (zajmujący się inwigilacją Kościoła) otrzymał informację, że Jan Kłys, etatowy pracownik referatu duszpasterstwa rodzin kurii biskupiej w Łodzi², rozpracowywany w ramach sprawy operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Socjolog”, nawiązał kontakt ze Stanisławem Banasiem³, zatrudnionym jako asystent reżysera w Wytwórni Filmów Oświatowych, i zlecił mu wykonanie za opłatą pewnych przezroczy. Chodziło o slajdy pokazujące cały proces przerywania ciąży, a dokładniej uszkodzonego płodu, w formie negatywu umożliwiającego powielanie, i nagranych na taśmę magnetofonową komentarza słowno-muzycznego. Kłys zajmował się prowadzeniem prelekcji dotyczących problematyki rodziny i małżeństwa w ujęciu katolickim i zamierzał wykorzystać te materiały podczas pokazów i wykładów w kościołach na terenie diecezji łódzkiej i całego kraju. Pierwszy pokaz – według SB – zaplanowano na 28 grudnia 1973 r., kiedy miały się odbyć modlitwy w intencji nienarodzonych dzieci. Ponieważ Banaś podjął się zleconego zadania, włączając w to dwie inne osoby, bezpieka uznała te zamiary za godzące w obowiązującą ustawę o przerywaniu ciąży z 1956 r. W planie czynności operacyjno-śledczych podpisanym przez mjr. Czesława Stasiaka umieszczono następujące przedsięwzięcia: nie dopuścić do kolportażu już istniejących przezroczy, zahamować ewentualną produkcję dalszych tego typu materiałów; przeprowadzić rozmowę operacyjną z rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi⁴, gdyż na terenie tej uczelni miały powstawać slajdy, aby w ramach swych kompe-

¹ Tekst oparto na aktach sprawy operacyjnego sprawdzenia „Socjolog”, przechowywanych w Archiwum IPN, Oddział w Łodzi, sygn. 014/424.

² Ur. w 1931 r., wykształcenie wyższe, ojciec czworga dzieci. W latach późniejszych pracownik naukowy Instytutu Studiów nad Rodziną w Łomiankach.

³ Ur. w 1941 r., ukończył studia filologiczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i Wydział Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi (w opisywanym momencie był w trakcie przygotowywania filmu dyplomowego), ojciec trójki dzieci, członek Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego.

⁴ Funkcję tę w latach 1973–1980 pełnił Stanisław Kuszewski.

tencji odzyskał wyprodukowane przezrocza i niezależnie od tego zlecił przeszukanie w tych pomieszczeniach, w których slajdy mogły powstawać; objąć obserwacją przez Wydział „B” osoby zaangażowane w produkcję, a po upewnieniu się, że przezrocza zostały już „zabezpieczone” lub są w posiadaniu obserwowanych, zatrzymać ich przez umundurowanych funkcjonariuszy milicji. Od wyników przesłuchania zatrzymanych uzależniano przeprowadzenie rewizji u Kłysa i „zajęcie znalezionych tam materiałów propagandowych, celem dalszego postępowania”. Wstępne czynności ukrywano za parawanem zwalczania przez KM MO produkcji filmów pornograficznych. Odpowiednie meldunki dotyczące podjętych działań zostały przesłane do naczelnika Wydziału III SB w Łodzi i dyrektora Departamentu IV MSW (nadzorującego walkę z Kościołem).

Z braku informacji źródłowych trudno wypowiedzieć się o efektach rozmowy z rektorem PWSFTViT, pewnie natomiast jest to, że Banaś wraz z dwiema przypadkowymi osobami po południu 22 grudnia 1973 r. został zatrzymany przez umundurowanych funkcjonariuszy milicji w drodze ze szkoły filmowej do mieszkania Kłysa, „ale w znacznym oddaleniu od celu jego drogi”, właśnie pod pretekstem produkowania filmów pornograficznych. Na ten krok zdecydowano się po tym, jak bezpieka dowiedziała się, że 17 grudnia na terenie PWSFTViT faktycznie wykonał on zamówione przezrocza i dostarczył je Kłysowi. Zatrzymanie miało zapobiec dostarczeniu zleceniodawcy taśmy magnetofonowej z podkładem dźwiękowym i tekstem komentarza. Po przesłuchaniu przez inspektora śledczego zatrzymany Banaś złożył pisemne oświadczenie, że z Kłysem skontaktował go o. Tadeusz Pawlicki, przełożony klasztoru jezuitów w Łodzi, natomiast kolorowe fotografie (22 sztuki), na podstawie książki w języku niemieckim otrzymanej od Kłysa, wykonał techniką fotomontażu kolega Banasia – Zdzisław Sowiński. Wyboru materiału ilustracyjnego, przedstawiającego rozczłonkowanie dużych płodów ludzkich, dokonał jednak Banaś. Następnym etapem produkcji stanowiło nagranie na taśmę magnetofonową odpowiedniego komentarza słowno-muzycznego, którego tekst przygotował Kłys. Za zgodą Czesława Gortata, kierownika Wydziału Udźwiękowania PWSFTViT, Banaś podłożył muzykę, ale na razie bez komentarza, w którym stwierdzano m.in., że każdego roku w Polsce dokonuje się około 700 tys. aborcji. Ponadto oświadczył, że nie posiada u siebie wszystkich kwestionowanych materiałów, część miała się znajdować u Kłysa, po czym razem z oficerem śledczym i funkcjonariuszem MO udali się do niego po ich odbiór. Ponieważ ten nie stawiał oporu i bez przeszkód wszystko oddał, jak również z tego powodu, że inne materiały odnaleziono w mieszkaniu Banasia, ten ostatni wieczorem 22 grudnia został zwolniony. Nie oznaczało to jednak zakończenia sprawy. Wydział IV i Wydział Śledczy prowadziły dalsze czynności zmierzające do ustalenia pozostałych osób, które uczestniczyły w przedsięwzięciu.

Inicjatywa wykonania slajdów została potraktowana z całą powagą. 29 grudnia 1973 r. KM MO w Łodzi podjęła decyzję o wszczęciu dochodzenia w sprawie wykonania przez Banasia w kilku jednakowych kopiach 22 przezroczy filmowych, podkładu muzycznego oraz komentarza. Postawę prawną stanowił art. 11 kk § 1 w związku z art. 282 kk⁵. Prokuratura dla dzielnicy Łódź Widzew zatwierdziła postanowienie o wszczę-

⁵ Art. 282 mówił, że „kto publicznie nawołuje do nieposłuszeństwa, przeciwdziałania ustawie lub prawnemu rozporządzeniu organu państwowego, podlega karze pozbawienia

ciu dochodzenia. 7 stycznia 1974 r. Banasiowi postawiono zarzuty, a następnie przesłuchano go w charakterze podejrzanego. Potwierdził wtedy, że z Klysem skontaktował go jego znajomy ksiądz, o. Pawlicki, dając mu list polecający⁶. Po spotkaniu się z nim w jego mieszkaniu otrzymał książkę w języku niemieckim *Ein Kind entsteht*⁷ oraz czasopismo angielskie „Life or Death” (Życie albo śmierć), z których wybrał ryciny obrazujące rozwój płodu i proces przerywania ciąży. Klys nie informował go, po co te przezrocza mu były potrzebne. Podejmując się tego zadania, Banaś miał wyrazić wątpliwość, czy sam sobie z tym nie poradzi, zamierzał jednak zwrócić się o pomoc do swojego kolegi, z zawodu operatora filmowego. Faktycznie, z zabranymi materiałami następnego dnia Banaś udał się do Zdzisława Sowińskiego, pracownika Muzeum Sztuki Współczesnej w Łodzi. Ten zgodził się na wykonanie przezroczy, „choć bardzo niechętnie”, gdyż kończył w tym czasie redagowanie własnej pracy magisterskiej na Wydziale Operatorskim PWSFTViT. Ustalono, że slajdy w liczbie do pięciu kopii zostaną wykonane w terminie tygodnia, a wszelkie koszty pokryje o. Pawlicki lub Klys. Przed odebraniem przezroczy Banaś spotkał się jeszcze z Klysem i wtedy dopiero oficjalnie dowiedział się, że będą one wykorzystywane podczas pokazów w kościołach w trakcie kursów przedmażeńskich. Wtedy Banaś zaproponował podłożenie muzyki, na co jego rozmówca się zgodził. Następnego dnia udał się do PWSFTViT, do której miał wstęp jako student przygotowujący pracę dyplomową. Tam poprosił pracowników Wydziału Udziękowania o umożliwienie przesłuchania muzyki Krzysztofa Pendereckiego. Z otrzymanej taśmy wybrał fragmenty jego *Fluorescencji*. Ponieważ na tej samej taśmie był utwór *Seks-erotyka*, postanowił wykorzystać i ten. Za zgodą kierownika wydziału i przy pomocy innych pracowników „filmówki” po dwóch dniach Banaś przepisał wybraną muzykę; wcześniej nie było to możliwe, gdyż nie posiadał własnej taśmy. 19 grudnia 1973 r. z 22 przezrociami w pięciu kopiach oraz taśmą z muzyką, w towarzystwie Sowińskiego, przyszedł do Klysa. Ten przesłuchał podkład i uznał, że powinna pozostać jedynie muzyka Pendereckiego. Przygotowanie taśmy w nowym kształcie zajęło znów kolejne dwa dni, po czym pojawiła się nowa sprawa – dodania słownego komentarza. Jego tekst ułożyli Klys i Banaś, a ten ostatni zobowiązał się do wpisania na taśmę magnetofonową. Podobno jednak tego do końca nie zrealizował, bo jak zeznał w czasie przesłuchania 7 stycznia 1974 r., komentarz mu się nie podobał. „Tekst ten co prawda zredagowaliśmy razem, tzn. ja [Banaś – K.L.] i Klys, ale ja nie miałem wiele do powiedzenia i przez grzeczność godziłem się na jego sformułowania”. Kończąc swoje zeznania, Banaś przyznał się do

wolności do lat 2, ograniczenia wolności albo karze grzywny”. Natomiast w art. 11 § 1 stwierdzono, że „odpowiada za usiłowanie, kto w zamiarze popełnienia czynu zabronionego swoim zachowaniem się zmierza bezpośrednio ku jego dokonaniu, które jednak nie następuje”.

⁶ Według danych SB z jezuitami Banaś nawiązał kontakt już w czasie studiów na KUL. W późniejszym okresie duszpasterz akademicki, jezuita Hubert Czuma, miał go angażować do oceny wyświetlanych w kinach filmów „z punktu widzenia katolickiego”. Miał również prowadzić kącik filmowy na KUL, „otrzymując w zamian pomoc finansową, która istnieje do chwili obecnej”.

⁷ Chodzi o niemiecki przekład głośnej w świecie książki szwedzkich autorów Larsa Hambergera (tekst) i Lennarta Nilssona (zdjęcia); wyd. polskie: L. Hamberger, L. Nilsson, *Rodzic się dziecko*, Warszawa 1995.

organizowania wykonania przezroczy wraz z podkładem muzycznym i komentarzem, ale nie do stawianych mu zarzutów. Twierdził, że nie wiedział, iż treść slajdów może być sprzeczna z ustawą dotyczącą przerywania ciąży. „Nie wiedziałem też, że na wykonanie tego rodzaju pracy powinno się uzyskać zezwolenie odpowiednich władz”.

W sprawie wykonania wspomnianych przezroczy 10 stycznia 1974 r. został także przesłuchany w charakterze podejrzanego Jan Kłys. Przyznał się, że nakłonił Banasia do wykonania przezroczy wraz z muzyką. Zaprzeczył jednak, że materiał ten miał być użyty do przeciwdziałania ustawie o dopuszczalności przerywania ciąży. Stwierdził również, że ze względu na „prototypowy charakter opracowania przedmiotowego filmu” nie czynił jeszcze starań o uzyskanie zezwolenia odpowiednich władz. Obydwa protokoły przesłuchań Kłysa i Banasia 12 stycznia 1974 r. mjr Adam Adamski, naczelnik Wydziału Śledczego KM MO, przesłał do Wydziału IV z „prośbą o wypowiedzenie się co do podejmowania czynności procesowych wobec osób występujących w tych protokołach, a wywodzących się z kleru”. Nic jednak nie wiadomo, aby podjęte zostały oficjalne kroki wobec o. Pawlickiego, nie mówiąc już o księdzu biskupie Józefie Rozwadowskim, którego nazwisko też się pojawiało w dokumentach (hierarcha ten zastrzegł sobie decyzję o wyświetlaniu przezroczy).

Bardzo ważne dla dochodzenia okazało się przesłuchanie w charakterze świadka Mariana Szymańskiego (1934), lekarza ginekologa, zatrudnionego na stanowisku starszego asystenta w Instytucie Położnictwa i Chorób Kobietych Akademii Medycznej w Łodzi. Po zapoznaniu się z przezrociami stwierdził: „Tak przedstawiony materiał może stanowić pewną całość mającą na celu wywołanie u widza negatywnego stosunku do zabiegu przerywania ciąży. Może on również budzić wątpliwości u widza co do samej ustawy zezwalającej na usuwanie ciąży w uzasadnionych wypadkach. Na podstawie obejrzanych slajdów widz może odnieść błędne wrażenie, że dopuszcza się możliwość przerywania ciąży większych niż do trzech miesięcy, a wrażenie to potęgują powiększenia niektórych części płodu”. W konkluzji lekarz uznał, że materiał w takim zestawieniu, w jakim został przygotowany, nie powinien być publikowany ze względu na szkodliwość społeczną i niezgodność z wiedzą medyczną. W tym momencie bezpieczeństwa miała otwartą drogę do działania, za zasłoną w postaci argumentów specjalisty mogła ukryć akcję przeciwko osobom propagującym stanowisko Kościoła.

W tej sytuacji raczej jako zaskakujący należy uznać fakt, że Wydział Śledczy 26 lutego przesłał akta sprawy do prokuratury dzielnicy Łódź Widzew, z wnioskiem o jej warunkowe umorzenie. Podstawę tak łagodnego potraktowania miały stanowić dobra opinia w miejscu zamieszkania i pracy, szczególnie w przypadku Kłysa, oraz dotychczasowa niekaralność podejrzanych. Prokuratura przychyliła się do wniosku Wydziału Śledczego i postanowieniem z 15 marca 1974 r. warunkowo, na okres jednego roku, umorzyła postępowanie karne wobec Jan Kłysa, którego zobowiązano do zapłacenia na rzecz Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej w Łodzi kwoty 2 tys. zł oraz 600 zł kosztów postępowania na rzecz skarbu państwa. Zgromadzone dowody, w tym wspomniane przezrocza, z podkładem muzycznym oraz tekstem komentarza miały być przechowywane przez 15 miesięcy od daty uprawomocnienia się postanowienia, po upływie tego terminu powinny być zniszczone, z wyjątkiem książki w języku niemieckim, któ-

rą należało zwrócić kurii biskupiej w Łodzi. Podejrzanego Banasia prokuratura zobowiązała do zapłacenia na rzecz PKPS 1 tys. zł i 600 zł opłaty na rzecz skarbu państwa. Wszystko wskazuje na to, że o ile Banaś przyjął decyzję prokuratury, o tyle Kłys zdecydował się na inną linię postępowania. Przedstawił swoją sprawę biskupowi Rozwadowskiemu, a ten miał zakwestionować wydane orzeczenie. Sprawa weszła więc w nową fazę i teraz koncentrowała się tylko na ustaleniu lub zaprzeczeniu winy Kłysa. 31 sierpnia 1974 r. prokuratura sporządziła przeciwko niemu akt oskarżenia i skierowała do Sądu Powiatowego dla m. Łodzi. Postawiono mu te same zarzuty co wcześniej. Bardzo ciekawie w związku z tym rysowała się postawa oskarżonego. Wydział IV SB w Łodzi drogą operacyjną ustalił, że Kłys w swoim otoczeniu wypowiadał opinię, iż działania prokuratury były karygodne, nie miała ona prawa skierować jego sprawy do sądu, gdyż jego czyn zagrożony był karą do 2 lat więzienia i obejmowała go ustawa amnestyjna⁸, „której – jak mówił – się nie respektuje, bo sądy u nas nie są niezależne”. Ponadto groził, że uda się do biskupa Bronisława Dąbrowskiego, sekretarza Episkopatu Polski, a następnie powiadomi wszystkich hierarchów kościelnych o bezpodstawnym oskarżeniu. Możliwość skazania go odrzucał również ze względów zasadniczych – występował przecież w obronie życia człowieka. W sytuacji gdyby zapadł wyrok skazujący, zatwierdzony przez sądy wyższej instancji, zamierzał karę odcierpieć, aby publicznie głosić, iż został skazany za obronę nienarodzonych dzieci. Zapowiadał też upowszechnienie sentencji wyroku przez jego rozwieszenie w kościołach i miejscach publicznych.

Sprawa Kłysa poważnie się zapętliliła. On sam uważał się za niesłusznie prześladowanego, ale i Wydział Śledczy SB nie spodziewał się nałożenia na oskarżonego specjalnie dolegliwych sankcji karnych. Dopuszczano, że na mocy ustawy amnestyjnej sąd może umorzyć sprawę bez wyznaczania terminu rozprawy, a w przypadku gdyby doszło do procesu i wyroku skazującego, mocą tej samej ustawy powinien on zostać umorzony.

Niestety, nie wiadomo, czy doszło do rozprawy i jaki ewentualnie zapadł wyrok. W dostępnych aktach brak informacji na ten temat. Wszystko jednak wskazuje na to, że wątek wykonania wspomnianych przezroczy został zakończony. Nie oznacza to, że bezpieczeństwa przestała interesować się osobą Kłysa. Wręcz przeciwnie, był zbyt cennym „figurantem”, pracował w kurii biskupiej, a to musiało oznaczać dalsze przedsięwzięcia operacyjne, w ramach których m.in. dokładnie analizowano jego przeszłość.

Opisana sprawa wykonania kolorowych przezroczy od początku była traktowana z dużą powagą, zaangażowano siły Wydziałów IV, Śledczego i „B” łódzkiej bezpieki oraz funkcjonariuszy umundurowanych MO, przy równoczesnym informowaniu Wydziału III oraz centrali MSW. Czy trzeba było poważnego dochodzenia, przesłuchań biegłych, świadków, a później i podejrzanych, aby uznać, że z chwilą konfiskaty przezroczy, taśmy z podkładem muzycznym i tekstu komentarza „zagrożenie” porządku publicznego (a tak właśnie traktowano wcześniej czyn Banasia i Kłysa) już nie istniało? Z całą pewnością jednak z powyższego wynika, że w Polsce lat siedemdziesiątych również przezrocza mogły być traktowane jako zamach na porządek prawny, zwłaszcza jeśli dotyczyły tak istotnej w odbiorze społecznym sprawy jak kwestia aborcji.

⁸ Chodziło o ustawę amnestyjną z 18 VII 1974 r. (Dz.U. z 19 VII 1974 r.).

Od kołyski do gardła Sztuczne poronienia w Polsce Ludowej

Ustawę zezwalającą na przeprowadzanie sztucznych poronień (określanych również mianem aborcji, spędzania płodu, przerywania ciąży) uchwalił Sejm PRL 27 kwietnia 1956 r. Rozporządzenie ministra zdrowia z 19 grudnia 1959 r. uzależniło w praktyce dokonanie sztucznego poronienia od decyzji samej matki, obligując do tego lekarza i personel medyczny. Przepisy, mające w zamyśle propagandowym zlikwidować pokątne „podziemne” praktyki lekarskie, doprowadziły w konsekwencji do żywiołowego niekontrolowanego wzrostu tego rodzaju zabiegów. W latach siedemdziesiątych liczba sztucznych poronień przekraczała liczbę żywych urodzeń, zwłaszcza w wielkich miastach, kształtując się w proporcji 2:1 (około miliona rocznie). Stały się one jednym z istotnych czynników kryzysu demograficznego, co biskupi, i osobiście Prymas Wyszyński, regularnie sygnalizowali władzom państwowym i partyjnym. W 1960 r. Prymas w rozmowie z I sekretarzem Władysławem Gomułą zwracał uwagę, że towarzysz Chruszczow obdarowuje wielokrotne matki-rodzicielki orderem Bohatera Związku Radzieckiego. Dla uszu partyjnych przywódców szczególnie przykro brzmiały porównania z bratnimi krajami „demokracji ludowej” – w Rumunii dekretem z 1957 r. zakazano spędzania płodu, w Czechosłowacji XII zjazd partii w 1962 r. podjął uchwałę w sprawie popierania zwiększonej prokreacji, w Bułgarii uchwała KC partii i rządu z 1967 r. mówiła o „stworzeniu lepszych warunków dla pobudzenia rozrodczości”, na Węgrzech zaś wprowadzono ustawą dwuletni płatny urlop macierzyński. W memoriale Episkopatu Polski z 1970 r. w sprawie biologicznych zagrożeń narodu polityka natalistyczna „państwa ludowego” została poddana miazdzącej krytyce, głównie z pozycji ekonomicznych i medycznych, choć z zaznaczeniem problematyki moralnej i religijnej. Tymczasem wszelkie krytyki, zarówno ustawodawstwa, jak i samych praktyk spędzania płodu, zwłaszcza z ambony, powodowały represje ze strony instancji partyjnych i aparatu bezpieczeństwa. Także wszelka akcja pozytywna (na przykład propagowanie naturalnych metod regulacji urodzin) stawała się powodem inwigilacji, a następnie szykan wobec duchowieństwa i osób świeckich. Jedną z nich był ginekolog Włodzimierz Fijałkowski, w 1974 r. wyrzucony z łódzkiej Akademii Medycznej. Jak napisano w uzasadnieniu: „Ze względów dogmatycznych nie przerywa ciąży [...] bez wiedzy i zgody rektora wykładu w seminarium duchownym [...] ma zły wpływ na młodzież”. Później Fijałkowski (zm. w 2003 r.) zdobył sławę jako niezłomny obrońca życia, małżeństwa i rodziny, twórca polskiej Szkoły Rodzenia.

Czego właściwie bali się właściciele Polski Ludowej?

Podczas ostatniej rozmowy z Gomułą (rok 1963) Prymas wypowiedział znamienne zdanie: „A co będzie, gdy utrwali się obyczaj moralny zabijania? Od kołyski pójdziemy do gardła tych, co takie wydają prawa”. Akcja duszpasterska Kościoła, choć zwalczana i hamowana, zapobiegła spełnieniu owego pesymistycznego proroctwa.

Jacek Żurek

OD DZIECIĘCEJ DRUKARENKI DO OFFSETU

KRÓTKA HISTORIA NIEZALEŻNEJ POLIGRAFII W TORUNIU

W dobie komputerów osobistych, gdy miliony osób w Polsce mają u siebie w domu drukarkę, trudno sobie wyobrazić, jakim problemem technicznym dla opozycjonistów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia był druk nielegalnych ulotek i zakazanych książek.

Wyżymaczki i pierwsze powielacze

W marcu 1968 r. studenci drukowali za pomocą kalki hektograficznej i wyżymaczki od pralki „Frانيا”. Komunikaty Komitetu Obrony Robotników przepisywano początkowo na maszynach do pisania. Marzeniem wielu działaczy było zdobycie powielacza na matryce białkowe. Nie wchodziło oczywiście w grę kupno urządzenia drogą legalną. Pozostawał przemysł z zagranicy. W latach siedemdziesiątych człowiekiem, który podjął jako pierwszy próbę zdobycia powielacza, był Piotr Jegliński. Historyk Andrzej Friszke tak opisuje jego starania: „Aby zorganizować powielacz, w 1974 r. Jegliński wyjechał na Zachód. Zgłosił się tam do Jerzego Giedroycia i Jana Nowaka prosząc o pomoc finansową na zakup maszyny. Pomysł uruchomienia podziemnego powielacza wydawał się jednak awanturniczy także z emigracyjnej perspektywy. Spotkał się więc z odmową. Sugestię stworzenia wydawnictwa podziemnego na początku 1976 r. w rozmowie z Krupskim odrzucił także Kuroń, który kładł nacisk na potrzebę zachowania legalnych form działania. Ostatecznie Jegliński zapracował na powielacz i kupił go. Wiosną 1976 roku maszyna była już w Lublinie”¹.

Pierwszy komunikat Komitetu Obrony Robotników, wydrukowany na powielaczu (spirytusowym, przekazany z Lublina przez Janusza Krupskiego), ukazał się przed Bożym Narodzeniem 1976 r.²

W miarę krzepnięcia opozycji i pojawiania się jej kolejnych odłamów liczba powielaczy, zdobywanych różnymi metodami, zwiększała się. Pod koniec lat siedemdziesiątych kilkoma powielaczami dysponowała Niezależna Oficyna Wydawnicza – największe wówczas wydawnictwo podziemne.

Metody proste, ale skuteczne

Jednocześnie jednak opozycjoniści pozbawieni dostępu do sprzętu mechanicznego próbowali sobie radzić metodami prymitywnymi, ale skutecznymi. W Toruniu grupa opozycjonistów powiązanych głównie z Komitetem Obrony Robotników rozpro-

¹ A. Friszke, *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*, Londyn 1994, s. 311–312.

² *Ibidem*, s. 366–367.

wadzała wiosną 1980 r. ulotki sporządzone metodą linorytu. Drukował je student Wydziału Sztuk Pięknych UMK Ryszard Ziarkiewicz, inicjatorem przedsięwzięcia był zaś Wiesław Cichon³. Także wiosną 1980 r. kolportaż ulotek podjęła w Toruniu trzysobowa grupa opozycyjna, złożona z pracowników tamtejszych zakładów „Metron”. W jej skład wchodził: Marek Berak, Eugeniusz Świderek, Andrzej Trombala. Drukowali za pomocą czcionek z dziecięcych drukarenek (można je było czasem kupić w sklepach z zabawkami), linorytów i prymitywnego powielacza z wałka od pralki⁴. Ulotki wydawane przez obie grupy dotyczyły m.in. bojkotu wyborów do sejmiku PRL wyznaczonych na 23 marca 1980 r.

W nocy z 11 na 12 kwietnia 1980 r. w Toruniu pojawiły się ulotki z napisem *Katyń pamiętamy! 13 IV br. – dniem żałoby narodowej*. KPN. Wykonano je na dziecięcej drukarence. Było to dzieło grupy uczniów z Liceum Ogólnokształcącego nr 5 w Toruniu. Uczniowie ci jeszcze w 1979 r. stworzyli Młodzieżową Organizację Demokratyczną (MOD). W jej skład wchodziło ok. 10 osób, najaktywniejsi byli: Rafał Sadowski, Krzysztof Bunda, Cezary Michalski. Ta grupa już wcześniej rozrzucała własnoręcznie wydrukowane ulotki, np. w 40. rocznicę wkroczenia wojsk sowieckich do Polski – 17 września 1979 r., a także rozklejała plakaty o treściach „rocznicowych” i antykomunistycznych (wykonane z papierowych szablonów). Gdy 1 września 1979 r. powstała Konfederacja Polski Niepodległej, działacze MOD nawiązali z nią kontakt. Akcją ulotkową w 40. rocznicę zbrodni katyńskiej przeprowadzili w porozumieniu z Konfederacją⁵. O istnieniu Młodzieżowej Organizacji Demokratycznej SB dowiedziała się w połowie maja. Zatrzymano wtedy na krótko Rafała Sadowskiego i Cezarego Michalskiego⁶. Dzięki kontaktowi z KPN chłopcy opanowali także technikę drukowania na matrycach sporządzanych z papieru ściernego przełożonego folią polietylenową. Folia musiała być specyficzna, o odpowiedniej sztywności, najlepiej do tego celu nadawały się koszulki od płyt gramofonowych. Matryce takie zastępowały trudno dostępne matryce białkowe. Należało je wkręcić do maszyny do pisania, napisać tekst, a następnie przyszyć do ramki obciążonej płótnem. Wierzchnią stronę płótna smarowano farbą drukarską, zagęszczoną pastą do prania „Komfort” (co nadawało wydawnictwom charakterystyczny zapach). Następnie przykładano ramkę z matrycą do kartki papieru i energicznie przeciągano po płótnie linijką lub przejeżdżano wałkiem. Umiejętność druku w ten sposób przydała się chłopcom po wprowadzeniu stanu wojennego. Jeszcze 13 grudnia 1981 r. Rafał Sadowski, Krzysztof Bunda, Tomasz Kokociński

³ W. Polak, *Anatomia agenta. Historia tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie „Karol” (1978–1983)*, Gdańsk 2005, s. 130.

⁴ Materiały dotyczące działania tej grupy: Instytut Pamięci Narodowej, Delegatura w Bydgoszczy (dalej: AIPN By), 082/143, t. 1, Akta kontrolne śledztwa w sprawie Marka Beraka, Wiesława Cichonia i Stanisława Śmigła.

⁵ Informacje Rafała Sadowskiego.

⁶ AIPN By, 081/304, Teczka Sprawy Operacyjnego Rozpracowania „Rocznica”, zob. też: W. Polak, *Niezależne działania młodzieży szkolnej województwa toruńskiego w okresie stanu wojennego i w latach następnych (13 XII 1981 – 4 VI 1989)* [w:] *Niezależny ruch młodzieżowy w Polsce po drugiej wojnie światowej (1945–2001)*. Zbiór studiów, red. R. Sudziński, Toruń 2005, s. 102.

i Wojciech Sobecki wydrukowali w ten sposób odezwę *Do społeczeństwa*, a następnie rozrzucili ją po mieście⁷.

Nielegalny druk na legalnym sprzęcie

W środowisku opozycji demokratycznej w Polsce pojawiła się pokusa, aby do dawania druków niezależnych wykorzystywać maszyny znajdujące się w przedsiębiorstwach i instytucjach państwowych. Ich używanie było ściśle kontrolowane. Nie zapobiegło to jednak nielegalnemu wykorzystywaniu tych maszyn do druku wydawnictw niezależnych. W ten sposób drukowało książki Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja, związane z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Metoda ta rozpowszechniła się na dużą skalę w okresie 16 miesięcy legalnej „Solidarności”, a także w latach następnych.

W Toruniu 14 marca 1978 r. SB rozpoczęła realizację sprawy operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Linotyp”. Jej celem było zweryfikowanie informacji przekazanej przez „kontakt operacyjny” o pseudonimie „Rusak”. Wynikało z niej, że na terenie Torunia działa nielegalna drukarnia, w której powielane są materiały Studenckich Komitetów Solidarności. O związek z tą drukarnią podejrzewano trzech studentów ekonomii na UMK – Jerzego Talagę, Andrzeja Aleksandrowicza i Zbigniewa Dasiewicza, oraz studenta polonistyki Zbigniewa Rucińskiego. SB przypuszczała, że wymienione osoby wykorzystują drukarnię lub którąś z powielarni uniwersyteckich⁸. W wyniku działań operacyjnych stwierdzono, że owa czwórka studentów na terenie Torunia drukiem się nie zajmuje. W sprawie pojawił się jednak nowy wątek. Z Wydziału II (kontrwywiad) toruńskiej SB napłynęła informacja, że dwaj pracownicy inżynierijno-techniczni Zakładu Radioastronomii UMK w Piwnicach k. Torunia – Michał Hałaburda i Janusz Mazurek – powielają w pracy materiały o treści religijnej i przekazują je asystentowi Pracowni Astrofizyki PAN dr. Romanowi Schreiberowi⁹. Fakt powielania materiałów religijnych nie wzbudził zainteresowania toruńskiej SB. Wysłunięto jednak przypuszczenie, że w Piwnicach mogą być także powielane materiały opozycyjne, choć niczego takiego nie stwierdzono¹⁰.

W wyniku operacji ustalono jednak również, że powielarnie i drukarnie uniwersyteckie stają się coraz bardziej dostępne. Tajny współpracownik o pseudonimie „Joanna” stwierdził, że wśród studentów stało się modne kserowanie notatek¹¹. Tajny współpracownik „Artur I” doniósł, że możliwe jest nielegalne powielanie materiałów

⁷ W. Polak, *Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i Regionie Toruńskim (13 XII 1981 – 4 VI 1989)*, Toruń 2003, s. 155–156.

⁸ AIPN By, 081/302, Plan przedsięwzięć operacyjnych w sprawie operacyjnego sprawdzenia kryptonim „Linotyp”, podpisany przez st. szer. Witolda Mielcarka, Toruń, 14 III 1978 r., k. 17–19.

⁹ *Ibidem*, Meldunek operacyjny z 30 V 1979 r., podpisany przez kpt. Mariana Kolbowicza, k. 28–28v.

¹⁰ Meldunek operacyjny z 3 VI 1980 r., podpisany przez kpt. Bogdana Ścisłka, *ibidem*, s. 33–35.

¹¹ *Ibidem*, Wyciąg z informacji nr 3/78 z dnia 21 III 1978 r. t.w. „Joanna”, k. 56.

w drukarni UMK, chociaż osobiście widział tylko kserowane w ten sposób materiały naukowe¹². Z kolei tajny współpracownik „Hieronim” stwierdził: „Potwierdziłem praktycznie, że w Bibliotece Głównej bez specjalnego zezwolenia można powielić materiały, które w zasadzie nie wolno powielać. Wystarczy tylko mieć znajomych. Wykonywała mi pracowniczka, która przyjmuje zamówienia i pracuje pod numerem 13–401”¹³.

O możliwościach powielania materiałów bezdebitowych w Bibliotece Głównej UMK donosił nieco później tajny współpracownik SB o pseudonimie „Karol”, będący jednocześnie aktywnym działaczem opozycji w Toruniu. Podjął się on wydrukowania raportu o szkolnictwie w PRL, pióra zaangażowanej w pracę opozycji studentki Małgorzaty Złotuchy. Postanowił skorzystać z powielarni w Bibliotece Głównej UMK, w której wolno było legalnie (za opłatą) kopiować oficjalnie wydane materiały. Najpierw zaniósł do powielenia stronę tytułową raportu. Oto fragment donosu „Karola”: „Zamówienie przyjęła kobieta i kazała przyjść następnego dnia, nie wykazała żadnego zainteresowania tą stroną. Następnego dnia odebrałem 20 egz. i zapłaciłem 2 zł od strony. Uważam, że nosząc po dwie–trzy kartki do odbitek, nie zorientują się w tekście i do końca czerwca można wykonać całość raportu. O tym sposobie powielania wiem tylko ja”¹⁴.

Owe docierające do SB sygnały o łatwości powielenia na UMK materiałów bezdebitowych wzbudziły wśród funkcjonariuszy duże zaniepokojenie. Po donosie „Karola” postanowiono wręcz odbyć rozmowę z wicedyrektorem Biblioteki Głównej UMK, aby zaostrzyć zasady powielania¹⁵.

Czas „solidarnościowego karnawału”

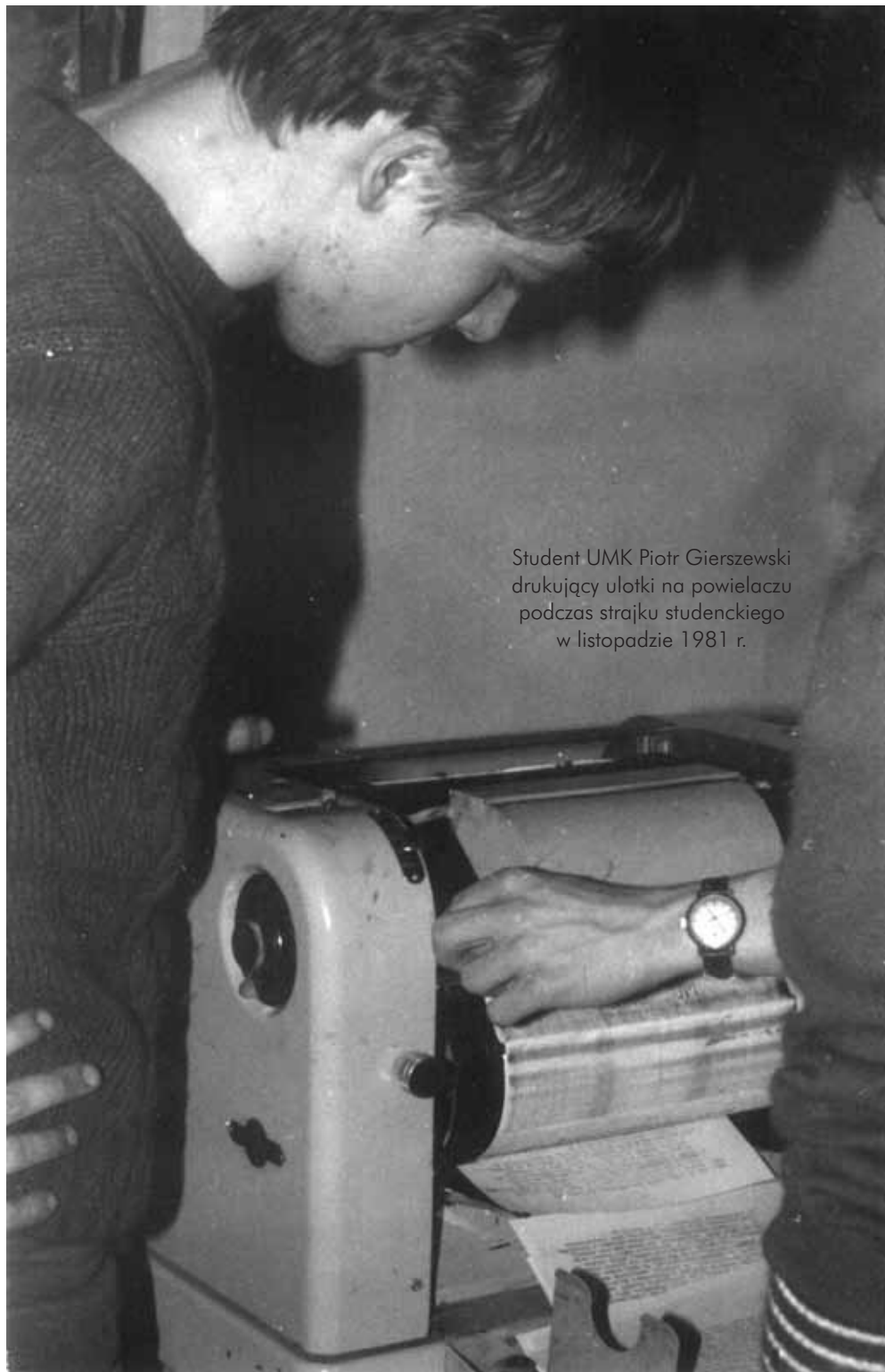
W okresie legalnej „Solidarności” struktury Związku zdobyły duże ilości sprzętu poligraficznego, często wysokiej klasy. Toruński Zarząd Regionu dysponował dobrym offsetem marki „Romayor”, na którym drukowano periodyk „Wolne Słowo”, a także kilkoma powielaczami białkowymi. Dwa powielacze białkowe posiadało Niezależne Zrzeszenie Studentów UMK. Drukowano na nim m.in. pismo „Immunitet” oraz „Informator NZS UMK”, a także ogromne ilości ulotek, zwłaszcza podczas strajku studenckiego w listopadzie i grudniu 1981 r. W okresie 16 miesięcy solidarnościowego „karnawału” powstało w Polsce wiele niezależnych oficyn książkowych, często drukujących nielegalnie na państwowym sprzęcie. W Toruniu w ten sposób działało wydawnictwo o nazwie Toruńska Oficyna Niezależna (TON). Utworzyli ją Wiesław Janowski, Stanisław Śmigiel i Józef Domian. Oficyna zasłynęła wydaniem trzutomowego *Archipelagu Gułag* Aleksandra Sołżenicyna, *Małej Apokalipsy* Tadeusza Konwickiego i *Nierzeczywistości* Kazimierza Brandysa. TON drukowała nielegalnie na maszynach toruńskiego przedsiębiorstwa „Geofizyka”. Własne wydawnictwo książkowe zorganizowali także działacze toruńskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Wydali oni *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza (dzięki pomocy technicznej Toruńskiej Oficyny

¹² *Ibidem*, Wyciąg z informacji nr 3/78 z dnia 28 III 1978 r. t.w. „Artur I”, k. 57.

¹³ *Ibidem*, Wyciąg z informacji nr 14/78 z dnia 16 III 1978 r. t.w. „Hieronim”, k. 58.

¹⁴ W. Polak, *Anatomia agenta...*, s. 185.

¹⁵ *Ibidem*, s. 186.



Student UMK Piotr Gierszewski drukujący ulotki na powielaczu podczas strajku studenckiego w listopadzie 1981 r.

Niezależnej) oraz broszurę *Rewolucja bez rewolucji* Leszka Moczulskiego (na powielaczu, z ładną linorytową okładką drukowaną wałkiem)¹⁶.

Latem 1981 r. w jednym z pokoiów w toruńskim Domu Studenckim nr 6 przewodniczący Zarządu Uczelnianego NZS UMK Zbigniew Nowek wraz z innym studentem – Markiem Wachnikiem (obaj związani byli z gdańskim wydawnictwem niezależnym „Alternatywy”) wydrukowali na powielaczu *Dziennik węgierski* Wiktora Woroszyłskiego. Cały nakład został rozproszony w Gdańsku. Nowek i Wachnik wybrali bardzo oryginalną w owych czasach metodę transportu „bibuły”. Nadali ją po prostu kolejną, jako przesyłkę bagażową. Kosztowało to nieco strachu, ale książki dotarły bez przeszkód¹⁷.

Początki „wojennej” poligrafii

Po wprowadzeniu stanu wojennego większa część mienia „Solidarności” została skonfiskowana. W Toruniu udało się jednak działaczom „Solidarności” (m.in. Janowi Hanaszowi i Michałowi Wojtczakowi) uratować dwa powielacze. Na jednym z nich drukowano najważniejsze regionalne pismo podziemne – „Toruński Informator Solidarności” oraz kilka tytułów pism zakładowych. Druk odbywał się w domu Henryka Mrówczyńskiego na Starym Mieście. Oprócz gospodarza drukarzami byli zazwyczaj Marek i Krzysztof Konikiewiczowie. Na drugim powielaczu drukowano podziemne pismo publicystyczne „Kontra”. Jego redaktorami i drukarzami byli: Michał Wojtczak, Marian Lisowiec, Krzysztof Obremski. Jeden powielacz udało się także ocalić działaczom Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Powielano na nim m.in. podziemne pismo kulturalne „Jeszcze tym razem” oraz gazetkę toruńskiego NZS „Immunitet”. Wspomniana grupa chłopców wywodzących się z Młodzieżowej Organizacji Demokratycznej wydawała własne pismo „Niezależny Serwis Informacyjny”. Powielano go początkowo za pomocą matryc z folii i papieru ściernego, później już na normalnych matrycach białkowych, przyszytych do drewnianej ramki. Uczestnik tej grupy – Tomasz Kokociński, wraz z dwoma kolegami po brawurowej akcji 18 kwietnia 1982 r. wywiózł cztery powielacze (jeden białkowy i trzy spirytusowe) z toruńskiego szpitala przy ul. Batoro. Od tej pory „Niezależny Serwis Informacyjny” był drukowany na powielaczu.

Na ręcznym powielaczu białkowym drukowano też pismo „Obecność”. Jego redaktorami byli naukowcy z UMK z Andrzejem Zybertowiczem na czele. Poligrafią zajmowało się zaś kilku pracowników toruńskiego „Merinotexu”. W wyniku denuncjacji konfidenta SB w lipcu 1982 r. Andrzej Zybertowicz i drukarze pisma zostali aresztowani¹⁸.

Warto jednak dodać, że w pierwszych dniach i tygodniach stanu wojennego w Toruniu wiele osób spontanicznie sporządzało ulotki i plakaty na maszynach do pisania, ręcznie, metodą linorytu lub odbitek fotograficznych. Np. małe plakaciki, odbijane z negatywu wyrzeźbionego w gumce do ścierania, wykonywali Mirosława Wojtczak, asystentka z Wydziału Sztuk Pięknych UMK, oraz jej mąż Michał Wojtczak. Zawierały one dowcipne antyreżimowe hasła, np. *Wesołych świąt życzy partia i rząd* (miało

¹⁶ W. Polak, *Najtrudniejsze egzaminy. Niezależne Zrzeszenie Studentów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na tle wydarzeń w kraju i regionie (1980–1982)*, Toruń 2001, s. 114–115.

¹⁷ Informacje Zbigniewa Nowka i Marka Wachnika.

¹⁸ Zob. szerzej: W. Polak, *Czas ludzi niepokornych...*, s. 106–109, 132–136, 161–162.

to swoją wymowę, gdy w święta po ulicach jeździły czołgi). Następnie Wojtczakowie rozklejali te plakaciki w różnych miejscach publicznych. Przed Bożym Narodzeniem 1981 r. rozprowadzali też „solidarnościowe” kartki świąteczne – na odwrocie zwykłych kartek świątecznych stawiali duże okolicznościowe stemple¹⁹.

Sitodruk był lepszy

W połowie lat osiemdziesiątych najważniejsze pisma regionalne w Toruniu zaczęto wydawać w technice sitodruku. Przechodzenie z powielaczy na sitodruk było zresztą w prasie podziemnej tendencją ogólnopolską. Wprawdzie sitodruk był techniką bardziej pracochłonną, ale miał dużo zalet. Przede wszystkim ramka do sitodruku była lekka. Cały zestaw do drukowania można było przenosić z mieszkania do mieszkania w torbie, która nie zwracała uwagi. Natomiast powielacz był urządzeniem ciężkim, trudno było go dyskretnie przewozić. Poza tym sitodruk pozwalał umieszczać znacznie więcej tekstu na stronie, umożliwiaił też drukowanie skomplikowanych rysunków, a nawet fotografii.

W Toruniu pierwszy technikę sitodruku opanował Marek Konikiewicz. Dzięki kontaktom toruńskich nauczycieli – Janusza Bochenka i Marii Romeckiej – poznał on człowieka z Warszawy związanego z „Tygodnikiem Wojennym”. Zaczął od niego przywozić z Warszawy klisze „Tygodnika” i drukować jego edycję toruńską (co skwapliwie zaznaczał na poszczególnych numerach)²⁰.

Marek Konikiewicz wydrukował też na sicie kilka broszurek. Dzięki wydawaniu „Tygodników Wojennych” uzyskał niezłe przeszkolenie techniczne w dziedzinie sitodruku. Zaczął więc drukować na sitach solidarnościowe plakaty. Następnie zorganizował przejście na sito „Kontry”, co nastąpiło początku 1984 r.²¹ W tym okresie (lata 1984–1985) Marek Konikiewicz osobiście drukował „Kontrę” wraz z pracownikiem UMK Michałem Hałaburdą oraz z Markiem Wachnikiem. Później do Konikiewicza, Hałaburdy i Wachnika dołączył jeszcze Bogdan Domek (pracownik zakładu „Mera – Obreus”). Podjęto też szkolenie nowych drukarzy – m.in. Adama Szandracha i Hanny Szewczyk. Druk odbywał się w mieszkaniu przy ul. Bydgoskiej²².

Specjaliści od sitodruku

Zasługą Marka Konikiewicza było też przejście na sitodruk „Toruńskiego Informatora Solidarności”. Pierwszy numer wydrukowany tą techniką ukazał się 9 kwietnia 1985 r.²³ Pismo to drukowali w domu przy ul. Bydgoskiej, w różnych składach: Marek Konikiewicz, Marek Wachnik, Bogdan Domek, Hanna Szewczyk, Adam Szandrach. W 1985 r. lokal przy ul. Bydgoskiej został uznany za „spalony”. Druk

¹⁹ Informacje Mirosławy Wojtczak i Michała Wojtczaka.

²⁰ Informacje Ryszarda Konikiewicza i Marka Konikiewicza.

²¹ Pierwszy numer wydrukowany techniką sitodruku: „Kontra”, nr 64, 10 I 1984.

²² Informacje Marka Konikiewicza, Marka Wachnika, Adama Szandracha, Bernarda Witkowskiego, Michała Hałaburdy. Szkolenia w technice sitodruku odbywały się niekiedy w mieszkaniu Anatola Zareckiego.

²³ „Toruński Informator Solidarności”, nr 12/134, 9 IV 1985.

odbywał się więc w różnych lokalach, kilka razy drukowano w domach u Bogdana Domka i Marka Wachnika, a także w mieszkaniu Iwony i Ryszarda Szefflerów w podtoruńskim Grębocinie. Powielano nie tylko gazetki, ale także toruńskie „solidarnościowe” kartki świąteczne²⁴. Wykonywaniem tych ostatnich (także metodą fotograficzną) zajmowali się Paweł Burak i Aleksandra Turostowska. Wydali oni karty na Wielkanoc 1984 r. i Boże Narodzenie 1985 r. Projekty do tych kart robiła Barbara Jaskuła-Kowalska, a negatywy Zygmunt Kowalski. Prace wydawnicze odbywały się w mieszkaniu Urszuli Skierkowskiej. Nad stroną organizacyjną przedsięwzięcia czuwał Ryszard Mueller²⁵. W 1985 r. drukarze podzielili się na kilka grup. Marek Wachnik pracował z Adamem Szandrachem. W skład innej grupy (wyszkolonej przez Marka Wachnika) wchodził Jerzy Lassota i Jerzy Kowalski. Wspomagali ich Zygfryd Borucki, Iwona Bischof (obecnie: Walter) i Krzysztof Sobczak. Grupa ta drukowała np. „Toruński Informator Solidarności” przez kilka miesięcy na przełomie 1985 i 1986 r., m.in. w mieszkaniu Iwony Bischof na Rubinkowie²⁶. W 1986 r. „Toruński Informator Solidarności” oraz (sporadycznie) „Kontrę” drukowali Marian Wojtczak wraz z Andrzejem Czapiewskim w domu tego ostatniego przy ul. Kościuszki. Drukowaniem na ramce (w różnych mieszkaniach) zajmował się też Stefan Kamiński. Powielał on głównie kartki świąteczne „Solidarności”, znaczki, „cegiełki” na związek z wizerunkiem Lecha Wałęsy. Warto dodać, że artystami, którzy po 13 grudnia 1981 r. projektowali dla toruńskiego podziemia znakomite pod względem graficznym ulotki i kartki świąteczne, byli m.in. Hieronima Pawelska-Zamel i Bogdan Kraśniewski²⁷.

Wpadka

Stefan Kamiński szkolił w 1985 r. w drukowaniu na sitodruku technika chemika z UMK Bogusława Andruchowicza oraz studenta Grzegorza Kota. Andruchowicz i Kot drukowali 3 września 1985 r. (już samodzielnie) „Toruński Informator Solidarności” nr 24/143, datowany 4 września 1985 r. Był to numer specjalny, wzywający do bojkotu wyborów do sejmu PRL. Druk odbywał się w mieszkaniu Wandy Antosiewicz przy ul. Śląskiego. W pewnym momencie do drzwi mieszkania zaczęli dobijać się milicjanci, którzy w końcu wylamali drzwi łomami. Grzegorz Kot, Bogusław Andruchowicz i Wanda Antosiewicz zostali aresztowani. Wszystko wskazuje na to, że podczas wnoszenia ramki do mieszkania drukarze zostali przypadkowo zauważeni przez tajnego agenta SB i zadenuncjowani. Wyrok przed Sądem Rejonowym w Toruniu zapadł 14 stycznia 1986 r. W składzie orzekającym zasiadali: Hanna Ledóchowska (przewodnicząca) i ławniczki o nazwiskach Krajczewska i Lisicka. Oskarżała prokurator Mariola Głowacka-Owedyk. Grzegorzowi Kotowi i Bogusławowi Andruchowiczowi wymierzono po 8 miesięcy więzienia w zawieszeniu, a Wandzie Antosie-

²⁴ Informacje Marka Wachnika, Adama Szandracha i Hanny Szewczyk.

²⁵ Informacje Pawła Buraka-Zielińskiego i Grażyny Słupskiej; R. Mueller, *Relacja o działalności podziemnej pracowników „Metronu”*, mps w posiadaniu autora.

²⁶ Informacje Karola Wakarecego, Jerzego i Elżbiety Lassotów, Jerzego Kowalskiego.

²⁷ Informacje Mariana Wojtczaka, Stefana Kamińskiego, Marka Wachnika.



Bogusław Andriuchowicz (z lewej) i Grzegorz Kot przy ramce sitodrukowej, na której drukowali „Toruński Informator Solidarności”.
Zdjęcie wykonane przez funkcjonariuszy SB dnia 3 września 1985 r.,
w chwili po zatrzymaniu obu drukarzy.

wicz 6 miesięcy w zawieszeniu. Wprawdzie prokurator wniosła rewizję do Sądu Wojewódzkiego, ale oskarżeni do więzienia już nie wrócili²⁸.

Nagroda dla „Geofonu”

Większe zakłady pracy w Toruniu miały swoje podziemne solidarnościowe gazetki zakładowe. Najciekawszą i najbardziej regularnie wydawaną był „Geofon”, ukazujący się od jesieni 1984 r. w przedsiębiorstwie „Geofizyka”. Pismo to drukowano na ręcznym powielaczu białkowym. W druku najczęściej uczestniczyli Jerzy Lassota i Jerzy Kowalski (szkoleni przez Marka Wachnika), a także Władysław Krypel, Gabriela Czukiewska (pracowniczka „Mery – Obreusa”), Marek Czukiewski, Jan Zieliński, Wanda Balawender-Czynsz, a także student z UMK Paweł Rzoska. Drukarnia znajdowała się w mieszkaniach prywatnych pracowników zakładu: Wandy Balawender-Czynsz, Stefana Rawskiego, Jerzego i Elżbiety Lassotów, Władysława Krypla. W sumie do początków 1989 r. ukazało się 98 numerów „Geofonu”. Prawdopodobnie w 1987 r. „Geofon” otrzymał nagrodę Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności” dla najlepszego w Polsce pisma zakładowego. Nagrodę tę, w wysokości 500 dolarów (suma na owe czasy pokaźna), przekazał Henryk Wujec²⁹.

Podziemne oficyny książkowe

W 1983 r. z inicjatywy Stanisława Śmigła powstało w Toruniu podziemne „Wydawnictwo Kwadrat”. Wydało ono kilkanaście tytułów książek i obszernych czasopism. Na początku drukowało na ramkach sitodrukowych (m.in. sporządzonych przez Piotra Hryniewicza) małym offsecie. Z czasem używało też drugiego, otrzymanego od Bogdana Borusewicza. Szefem wydawnictwa był Stanisław Śmigiel. Sprawami technicznymi – głównie zaopatrzeniem – zajmował się Zbigniew Sośnicki. Funkcja ta wymagała ogromnego zaangażowania, gdyż nielegalne zakupy dużej ilości papieru i innych materiałów były skomplikowanymi operacjami. Sprawami technicznymi i organizacyjnymi zajmował się też Antoni Mężydło. Pomagał m.in. zdobywać sprzęt, materiały, papier. Na jesieni 1983 r. wraz z Karolem Wakarecem przywiózł samochodem z Gdańska ów pierwszy powielacz offsetowy. Gdy samochód został zatrzymany przez milicję, Antoni Mężydło zapytany przez funkcjonariuszy, co wiezie, odpowiedział, że telewizor. Blachy do offsetu przygotowywali Waclaw Kuropatwa i Remigiusz Stasiak, kolportażem zajmował się Roman Suchowiecki. W druku uczestniczyli: Zbigniew Sośnicki, Waclaw Kuropatwa, Rafał Maszkowski (student astronomii na UMK), Zbigniew Wysocki, Roman Suchowiecki. Wydawnictwo miało też do dys-

²⁸ Archiwum Diecezjalnego Ośrodka Charytatywno-Społecznego przy Parafii Wniebowzięcia NMP w Toruniu, Akt oskarżenia przeciwko Grzegorzowi Kotowi, Bogusławowi Andruchowiczowi i Wandzie Antosiewicz, wystawiony przez wiceprokurator Prokuratury Rejonowej Mariolę Głowacką-Owedyk, Toruń, 16 XII 1985 r.; *ibidem*, Wyrok Sądu Rejonowego w Toruniu z 14 I 1986 r.; *ibidem*, Rewizja Prokuratora Rejonowego, podpisana przez Mariolę Głowacką-Owedyk, 15 II 1986 r.; informacje Bogusława Andruchowicza; *Za nielegalne drukowanie ulotek – wyroki z zawieszeniem*, „Gazeta Toruńska”, 15 I 1986.

²⁹ W. Polak, *Czas ludzi niepokornych...*, s. 311–313.

pozycji komputer Amstrad (na owe czasy bardzo nowoczesny) – dar od Prezydenta RP na Uchodźstwie – Kazimierza Sabbata i ministra ds. Kraju w Rządzie RP na Uchodźstwie – Ryszarda Kaczorowskiego. Z przedstawicielami Rządu RP w Londynie, podczas pobytu nad Tamizą rozmawiała Krystyna Antowska-Śmigiel i otrzymała obietnicę wspomżenia podziemia toruńskiego. Komputer, przysłany do Torunia na nazwisko Rafała Maszkowskiego, był konkretnym efektem tej rozmowy. Pod koniec lat osiemdziesiątych w toruńskim podziemiu pojawił się więc skład komputerowy³⁰.

Osobną gałąź działania „Wydawnictwa Kwadrat” stanowiło drukowanie „solidarnościowych” kart świątecznych. Ukazywały się one co roku przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocy, często drukowane były w kolorze. Ich nakład wynosił zazwyczaj ok. 5000 egz. Publikowano także „solidarnościowe” kalendarze. Projektantem większości kartek i kalendarzy był Waław Kuropatwa³¹.

Wydawnictwo podziemne zorganizował w Toruniu także student UMK Paweł Rzoska. Publikowane książki sygnowano m.in. nazwą wydawnictwa „Grot”. Rzosce udało się utworzyć dwie grupy drukujące. Jedną z nich drukowała w domu pracownika „Geofizyki” Piotra Borka, który także brał udział w pracy. W wydawnictwie powielano techniką sitodruku, począwszy od lata 1982 r., niewielkie broszurki (m.in. reportaże Józefa Kuśmierka, broszurę o pakcie Ribbentrop–Mołotow, wydaną bez nazwiska autora broszurę *Drogi cichociemnych* – przedruk wydania londyńskiego z 1961 r. i broszurę *Wygasanie Burzy*, wydaną w jednym zeszycie z poprzednią). Największym przedsięwzięciem wydawniczym owych grup było powielenie książki Piotra Woźniaka *Zapluty karzeł reakcji*³².

Drukarnia za regałem z przetworami

Swoje wydawnictwo posiadała najwyższa władza toruńskiej „Solidarności” podziemnej – Regionalna Komisja Wykonawcza. Jej dużym sukcesem było opublikowanie w 1988 r. książki profesora Ryszarda Kozłowskiego z Instytutu Historii i Archiwistyki UMK *Solidarność w Regionie Toruńskim. 13 XII 1981 – 31 VII 1984*. Ryszard Kozłowski podpisał publikację pseudonimem Narcyz Szutnik. Druk wykonano na powielaczu offsetowym przywiezionym z zagranicy. W jego dostarczaniu pośredniczył Jacek Merkel, który koordynował przyjmowanie transportów od brukselskiego Biura Koordynacyjnego „Solidarności”. Jacek Merkel (urodzony w Toruniu) utrzymywał przyjazne kontakty z toruńskimi działaczami: Antonim Stawikowskim, później także z Ryszardem Musielakiem i Krzysztofem Żabińskim. Jeden z „nagranych” przez Merkla powielaczy offsetowych (firmy „AB Dick”) przywiózł samochodem ze Słupska Ryszard Musielak wraz z Romanem Ryszardem Amroziakiem. Poza tym do Torunia dotarł z Brukseli jeszcze drugi offset i dwa powielacze białkowe. Jeden powielacz offsetowy umieszczony został w specjalnie wybudowanym pomieszczeniu drukarni w domu lekarza Stanisława Osmańskiego na toruńskich Wrzosach. Była to duża piwnica z zamaskowanym wejściem (obracający się regał z przetworami), systemem wentylacji, a nawet ze

³⁰ Informacje Stanisława Śmigla i Antoniego Mężydły.

³¹ Informacje Waław Kuropatwy.

³² W. Polak, *Czas ludzi niepokornych...*, s. 429–430.

skanalizowaną ubikacją. Na umieszczonym w tej piwnicy powielaczu offsetowym drukarz Marek Wachnik (początkowo z Ignacym Dudojciem) powielał nie tylko książkę Narcyza Szutnika, ale także m.in. toruńskie wydanie „Tygodnika Mazowsze” oraz liczne plakaty i ulotki wyborcze przed wyborami „okrągłostołowymi”³³.

Offset coraz bardziej popularny

W latach 1987–1989 w Toruniu pojawiła się duża liczba pism podziemnych i niezależnych wydawanych nie tylko przez struktury „Solidarności”, ale także przez Konfederację Polski Niepodległej, Ruch „Wolność i Pokój”, Niezależne Zrzeszenie Studentów i inne ugrupowania. Część z nich drukowano na powielaczu, większość jednak już techniką offsetową. Ogromne zasługi dla druku czasopism podziemnych i niezależnych położyło (pracujące na maszynach offsetowych) „Wydawnictwo Kwadrat”. Od 1988 r. przejęło ono druk „Toruńskiego Informatora Solidarności”. Wydawało też najlepsze pismo podziemne w Regionie Toruńskim pod koniec lat osiemdziesiątych – „Przegląd Pomorski”. Jego nakład dochodził do 10 tys. egzemplarzy. Poza tym „Kwadrat” bezpłatnie powielał gazetki różnym grupom osób i ugrupowaniom, m.in. „Solidarności Walczącej”, Niezależnemu Zrzeszeniu Studentów („Immunitet”), Pomorskiemu Towarzystwu Gospodarczemu („Gazeta Gospodarcza”), środowisku określającemu się jako „młodzi katolicy” („Nawa”) i in. Wydrukował też kilka obszernych zeszytów pisma „Chrześcijański Ruch Społeczny”, wydawanego w latach 1987–1988 przez grupę pracowników UMK (Roman Bäcker, Zbigniew Wiczkowski, Wojciech Polak)³⁴.

Toruńska poligrafia niezależna nieustannie zmieniała się pod względem technologii. Pomysłowość, chęć wprowadzania innowacji, szukanie możliwości zdobycia jak najnowocześniejszego sprzętu za granicą – wszystko to owocowało ciągłym postępem. Zaczynano od linorytów i dziecięcych drukarenek, potem używano ramek i powielaczy, następnie przyszedł czas na sitodruk, pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęto na dużą skalę drukować na offsecie, a do składu używać komputera. Można więc śmiało powiedzieć, że ludzie związani z toruńską opozycją demokratyczną lat siedemdziesiątych oraz z „Solidarnością” i innymi ugrupowaniami niezależnymi lat osiemdziesiątych łączyli romantyzm motywów z pragmatyzmem działania. Dlatego też efekty ich pracy były znaczące.

³³ Informacje Stanisława Osmańskiego, prof. Ryszarda Kozłowskiego, Romana Ryszarda Amroziaka, Ryszarda Musielaka i Marka Wachnika. Do najważniejszych drukarzy gazetek podziemnych w Gdańsku w stanie wojennym należeli studenci z Torunia – Zbigniew Nowek i Marek Wachnik. Na wiosnę 1982 r. narodził się plan zbudowania pod piwnicą domu państwa Witkowskich przy ul. Piastowskiej prawdziwej podziemnej drukarni. Większość prac budowlanych wykonał, pracując ciężko całymi dniami, Zbigniew Nowek. Powstała wspaniała budowla zaopatrzona w wodę, prąd, zmyślnie ukrytą wentylację i system ostrzegania. Podczas rewizji esbecy nawet za pomocą wykrywacza metali nie byli w stanie jej „namierzyć”. W ramach wydawnictwa „Alternatywy” Zbigniew Nowek oraz Marek Wachnik wraz ze swoimi gdańskimi przyjaciółmi – Maciejem Kapczyńskim i Piotrem Kapczyńskim – wydali po 13 XII 1981 r. co najmniej kilkanaście tytułów książek i obszernych zeszytów czasopism.

³⁴ Zob. szerzej: W. Polak, *Czas ludzi niepokornych...*, s. 425–558.

MIĘDZY ROZRYWKĄ A POLITYKĄ

KINO W PIERWSZYCH LATACH POWOJENNYCH

W latach 1945–1989 kino miało być nie tylko rozrywką, ale także wychowawcą nowego, komunistycznego człowieka. Pierwsze wytyczne na ten temat pojawiły się bezpośrednio po wojnie.

W okólniku Ministerstwa Propagandy i Informacji z 9 sierpnia 1946 r. dotyczącym skoordynowania współpracy wszystkich jego terenowych agend nakazywano: „W wyniku objawów negatywnej reakcji widzów, względnie krytycznych czy ironicznych uwag czynionych na temat filmów [należy] **natychmiast poinformować** o tym Ministerstwo. Podać należy również fakty pozytywnego ustosunkowania się publiczności do wyświetlanych filmów, jak również ogólne uwagi o wartości propagandowej filmu”¹.

W okresie powojennym kina były jednymi z najbardziej ulubionych miejsc spędzania wolnego czasu. O ich popularności świadczyły ogromne kolejki ustawiające się przed każdym seansem. J. Konopińska, wrocławska pionierka, wspominała w 1945 r.: „wybrałyśmy się z [przyjaciółką] Ewą do kina »Warszawa« na film radziecki według dramatu Simonowa *Rosjanie*, ale nie dostałyśmy biletów. Godzinę przed seansem na otwarcie kasy czekało już tylu chętnych, że nawet nie stanęłyśmy w kolejce”². Istotnie, w tym czasie zdobycie biletów i dostanie się na widowieństwo stanowiło nie lada wyczyn. Problemy wynikały m.in. z niewielkiej liczby kin działających po wojnie. Na Dolnym Śląsku przed wybuchem II wojny światowej czynnych było 135 kin. W samym Wrocławiu było ich 36. W połowie 1946 r. na Dolnym Śląsku było tylko 35, a we Wrocławiu 6 kin.

Popularność sztuki filmowej wpisywała się w to, co H. Świda-Ziemia nazywała „dynamiką odradzania życia”. W ten sposób charakteryzowała powojenne odczucia społeczeństwa polskiego: „Odczuwanie radości jest naturalną potrzebą organizmu. Wewnętrzne przystosowanie do deprawacyjnej sytuacji polega więc na odnalezieniu obszarów, które radość taką umożliwiają. Tak też działo się i z nami. Wymienię przykładowo obszary i sytuacje, które były dla nas w tamtym okresie źródłem doznań pozytywnych.

1. Przyroda. Słońce, wiosna, zieleń drzew, lato. Piękna pogoda była wówczas silniejszym bodźcem pozytywnym niż w okresach, gdy życie społeczne toczy się względnie normalnie.

2. Pojawiające się melodyjne piosenki, niezależnie do słów zawierających zwykle elementy propagandy, piosenki w rodzaju *Czerwonego autobusu*, który przez ulice

¹ A. Krawczyk, *Pierwsza próba indoktrynacji. Działalność Ministerstwa Informacji i Propagandy w latach 1944–1947*, Warszawa 1994, s. 97–98.

² J. Konopińska, *Tamten wrocławski rok. Dziennik lat z 1945–1946*, Wrocław 1991, s. 66

miasta mknie, pomimo że występował passus: Nowy jest nie tylko Nowy Świat, u nas nowy każdy dzień. Ale te słowa powtarzano mechanicznie, poddawano się urokowi rytmicznej melodii. Piosenki bez motywów propagandowych odczuwało się już jak pełen powiew przynoszącej ulgi normalności. *Cichą wodę*, co brzegi rwie, nucili młodzi i starsi w poczuciu wdzierającego się w smutne życie — nastroju pogody [...]”³.

Nadzór nad działalnością kinową sprawował „Film Polski” (działający w strukturze Ministerstwa Informacji i Propagandy, potem Ministerstwa Kultury i Sztuki), którego zadaniem była organizacja, produkcja, nadzór i rozpowszechnianie filmów w Polsce. Jego pierwszym szefem był reżyser Aleksander Ford. Naczelnym zadaniem „Filmu Polskiego” była szybka rozbudowa sieci kin, z uwzględnieniem ośrodków wiejskich. Proces ten zwany był kinofikacją. Wobec ogromnych trudności lokalowych, sprzętowych oraz licznych przeszkód formalno-prawnych, z czasem ochrzczonego go kinofikacją:

„Na odprawie w Propagandzie,
Rzekł ktoś nie bez racji
Że u nas jest kinofikacja
Miast kinofikacji”⁴.

Sytuację próbowano ratować systemem kin objazdowych. W specjalnie przystosowanych do tego celu autobusach marki „Chaussons” montowano odpowiednią aparaturę, zaopatrywano w kopię jednego filmu i wyruszano w objazd po wielu wsiach. Duże odległości, jakie musiały pokonywać autobusy, powodowały częste awarie niemożliwe do usunięcia z powodu braku części zamiennych. Notorycznie psuła się także aparatura filmowa, co nie pozwalało na wykonywanie przez obsługę nałożonych na nią zadań. Najbardziej poszkodowani byli mieszkańcy wsi, którzy tracili często jedyną możliwość rozrywki kulturalnej, choć większość prezentowanych obrazów była nasycona dużą dawką propagandy (głównie filmy polskie i sowieckie, przy okazji wygłaszano odczyty, prelekcje, organizowano wiece)⁵.

Przedstawiciele władzy komunistycznej rozszerzający swój „parasol ochronny” nad społeczeństwem chcieli kontrolować jego zachowanie i nastroje. Miernikiem nastrojów ludności były również reakcje obserwowane w salach kinowych. W momencie premiery pierwszego polskiego powojennego filmu pt. *Zakazane piosenki*⁶ do władz lokalnych skierowano następującą instrukcję: „Przedstawić:

1. Ocenę filmu w kołach b. bojowników o niepodległość i b. więźniów politycznych ze względu na sposób przedstawienia Niemców w filmie, roli AK i AL w powstaniu warszawskim,

³ H. Świda-Ziemia, *Człowiek wewnętrznie zniewolony*, Warszawa 1998, s. 125.

⁴ „Pionier” nr 28, 27 IX 1945, s. 4.

⁵ Więcej zob. E. Gębicka, *Nie strzelać do Czapaiewa!!! Jak po wojnie przyjmowano filmy radzieckie*, „Kwartalnik Filmoznawczy” 1993, nr 2, s. 94–106.

⁶ *Zakazane piosenki*, reż. L. Buczkowski. Więcej o reakcjach na film oraz ekscesach przed kinami w związku z wyświetlaniem tego filmu zob. A. Madej, *Kino, władza, publiczność. Kineematografia polska 1944–1949*, Bielsko-Biała 2002, s. 117.

2. ocenę filmu w sferach inteligencji – zwłaszcza w porównaniu »Zakazanych piosenek« do polskich filmów przedwojennych,
3. w sferach robotniczych, w czym różni się od opinii inteligenckiej,
4. na wsi czy wyświetlanie »Zakazanych piosenek« wzbudza poważniejsze zainteresowanie i czy ludność wiejska rozumie sens filmu,
5. jak w całości oceniono film, pozytywnie czy negatywnie”⁷.

Jedna z przedstawionych ocen brzmiała: „»Zakazane piosenki« wzbudziły największe zainteresowanie wśród reemigrantów z Francji, Jugosławii, dla których przeżycia okupacyjne w kraju nie były znane”⁸. Inny punkt cytowanego na wstępie okólnika MIiP nakazywał także badania zachowania widzów w stosunku do poszczególnych kadrów wyświetlanego filmu!

Obserwatorzy donosili, że najbardziej popularne były filmy zagraniczne: amerykańskie, angielskie i francuskie (np. w 1947 r. stanowiły one 41 proc. repertuaru). Zdecydowanie gorzej oceniano filmy radzieckie (59 proc.). Według recenzentów niektóre filmy oddawały „niedźwizną przysługę przyjaźni polsko-radzieckiej”. Przykładowo ludność wiejska z całej sowieckiej produkcji była w stanie oglądać tylko bajki⁹.

Publiczność odwracała się od filmów o tematyce wojennej, odnoszącej się do wydarzeń okupacyjnych. Wzrastało zainteresowanie filmami komediowymi i oderwanymi od zagadnień współczesnych, mającymi raczej charakter rozrywkowy. Przykładowo „najmniejszym uznaniem przyjęto film angielski pt. »Podwodny patrol«. Wpłynęło na to zbyt kronikarsko-sprawozdawcze ujęcie scenariusza filmu”. Podkreślono, że „publiczność raczej wymaga pełniejszych treści; trochę nawet dreszczyka erotycznego” [!]¹⁰.

Frekwencja kinowa była wysoka, ceny biletów niezbyt wygórowane, a do tego rozwinęty system zniżek powodował ich atrakcyjność. Bilety zniżkowe przysługiwały członkom związków zawodowych, różnych stowarzyszeń, uczniom, studentom, emerytom, uczestnikom wojen itd. Przykładowo w latach 1946–1948 ceny biletów wynosiły 10, 8, 5 zł, potem 15, 10, 5 zł¹¹.

W 1948 r. w warszawskiej prasie znalazło się symptomatyczne ogłoszenie: „4 wejścia do kin poza kolejką i bezpłatnie zapewni kawaler za niekrępujący pokój. Inne warunki do omówienia”¹². Było ono z pewnością z jednej strony efektem desperacji ogłoszeniodawcy, ale z drugiej strony wskazywało na siłę nabywczą biletów kinowych.

⁷ Archiwum Akt Nowych (dalej AAN), Ministerstwo Informacji i Propagandy (dalej MIiP), Mf 27966, Pismo Ministerstwa Informacji i Propagandy z 13 II 1947 r., k. 132.

⁸ A. Madej, *Kino, władza...*, s. 130.

⁹ AAN, MIiP, 552, Sprawozdanie dotyczące filmów wyświetlanych przez Zarząd Okręgowy Kin [we wrześniu 1946 r.], k. 91.

¹⁰ *Ibidem*, 553, Sprawozdanie dotyczące filmów wyświetlonych przez OZK [we Wrocławiu] za grudzień 1946 r., k. 149.

¹¹ M. Ordyłowski, *Życie codzienne we Wrocławiu*, Wrocław 1991, s. 169.

¹² S. Ligarski, *Ogłoszenia drobne jako źródło do badań nad życiem codziennym na Śląsku w latach 1945–1950* [w:] *Prasa jako źródło do dziejów Śląska i Pomorza w XIX i XX wieku. Materiały z konferencji zorganizowanej przez Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Instytut Historii Uniwersytetu Szczecińskiego w Krzyżowej w dniach 6–8 maja 2004 roku*, red. J. Nowosielska-Sobel, E. Włodarczyk, Szczecin 2005, s. 150.

Tłok przed kinami i chęć obejrzenia filmów za wszelką cenę spowodowały reaktywowanie instytucji „konika”. Nie był to tylko problem pierwszych lat powojennych. W latach pięćdziesiątych z oburzeniem informowano o prawdziwej pladze „tych spekulantów”. Dziennikarze dowodzili, że handlujący biletami biją dzieci i kinomanów niegodzących się na zaproponowane im ceny. W 1957 r. opisywano proces jednego z handlarzy, który za swą działalność (zakup 12 biletów po 4,50 zł za sztukę i sprzedaż po 10 zł za sztukę) został skazany na 4 miesiące więzienia¹³. Procederu jednak nie ukrócono (dotyczył on także innych imprez, np. koncertów).

Prezentowane poniżej dokumenty są charakterystyczne dla pierwszego, powojennego okresu polskiej kinematografii i stosunku do niej społeczeństwa. Pochodzą z bogatego zasobu aktowego Ministerstwa Informacji i Propagandy. Pierwszy opisuje regularną bitwę, jaką stoczyli żołnierze z licznie zgromadzoną publicznością przed seansem filmu *Jesse James* 25 sierpnia 1946 r.¹⁴ Autorem sprawozdania był R. Ostrowski, kierownik Administracji Kin warszawskiego Okręgowego Zarządu Kin (OZK). Warto dodać, że do ekscesów dochodziło nie tylko przed kinami. Publiczność emocjonalnie wyrażała także swój stosunek do oglądanych obrazów. Nierzadko podczas wyświetlania kronik filmowych o charakterze propagandowym tupano, gwizdano i skandowano antykomunistyczne hasła. Tego typu zachowania nie uchodziły uwadze aparatu bezpieczeństwa i groziły aresztowaniem oraz procesem sądowym.

Drugi z dokumentów dotyczy oceny filmów wyświetlanych we Wrocławiu przez Okręgowy Zarząd Kin. Został on sporządzony na podstawie sprawozdań nadsyłanych do Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy (WUIiP) we Wrocławiu przez OZK. Uwagę zwracają narzekania na zbyt małą liczbę kin w mieście oraz ocena filmów pod względem ich popularności wśród widzów. Szczególnie ostro rozprawiono się w nim z przedwojennymi polskimi filmami, uznając je za wyjątkowo słabe (w dokumentach zachowano pisownię oryginałów).

¹³ *Spod znaku Temidy*, „Słowo Polskie” nr 269, 10 XI 1957, s. 4.

¹⁴ *Jesse James*, film prod. USA, reż. Henry King I, Irving Cummings. W rolach głównych: T. Power, H. Fonda, N. Kelly i inni.

Dokument nr 1

Warszawa dnia 26 sierpnia 1946 r.

Do Dyrektora Okręgowego Zarządu Kin

Ob. Domańskiego Jana

w miejscu**Sprawozdanie**

W dniu b.m. (niedziela) wyświetlaliśmy w kinie „Atlantic” 6 seansów, mianowicie: o godz. 10, 12, 14, 16, 18 i 20-ej. Zaznaczam że o godz. 10 wyświetlany był film dla wojska bezpłatnie, po zakończeniu seansu o godz. 12-ej, całe wejście do kina było zatłoczone publicznością, tak że o wejściu przez bramę do podwórza nie było możliwe, zwłaszcza, że Komenda Miasta która zwykle przysyła kilkunastu ludzi (żołnierzy z oficerem) zaś w dniu wczorajszym przysłała dopiero o godz. 16.30 i to tylko czterech ludzi. Na kilkakrotne telefoniczne zwracanie się do Komendy miasta, 11 Komisarjatu M.O., 13 Komisarjatu M.O. i do Komendy Milicji wszędzie dostawałem odpowiedź że niemają nigdzie ludzi w rezerwie aby mogli Ich przysłać do pomocy w celu utrzymania porządku przed kinem i w kinie. O godz. 16.30 wpuściłem patrol tych czterech ludzi zapasowym wyjściem od ul. Chmielnej Nr. 35 aby nie pozwolili wchodzić [nadpisano] przez dziury w zburzonym froncie kina przy ul. Chmielnej 33. Ponadto zaznaczam, że na froncie kina przystąpili właściciela budynku do i tak już licznych budowy sklepów w Warszawie, prace przy tej budowie zostały rozpoczęte i powybijali dziury do wywiezienia gruzów. Chcąc utrzymać porządek na podwórzu kina poleciłem żołnierzom z Komendy Miasta strzelać na postrach ale i to nie pomagało ludzie zaczęli krzyczeć (sześć lat do nas Niemcy strzelali i nie pozabijali), zaczęli rzucać cegłami ze zburzonego frontonu domu ja zaś wydałem zarządzenie personelowi kina ażeby rozwinęły hydranty i zaczęli lać wodą tych ludzi którzy dostawali się nielegalnie poprzez mury i dziury w tym budynku, w zamian za to znów posypał się na nas grad cegieł i kamieni, tak że akcję ochładzania tych ludzi musieliśmy bezwarunkowo przerwać, ponieważ inaczej to powybijali by szyby w gablotach reklamowych i drzwiach wejściowych na poczekalni kina. Sytuacja ta była o tyle trudna do opanowania ponieważ na godz. 18 stała publiczność z biletami ulgowymi z Rady Związków Zawodowych na ulicy przed kinem. W następstwie tego poleciłem aby wszyscy z tymi biletami ustawili się w kolejce przy wyjściu zapasowym od Nr 35 i dopiero wówczas zrobiłem porządek, tak że ta publiczność weszła swobodnie na poczekalnie kina biletów na ten seans sprzedano kilka. Ostatni zaś seans o godz. 20-ej odbył się w takim samym stanie jak i wcześniejsze seanse tzn. że znów publiczność przepuściła szturm z murów i dziur na kino i już do końca nie

było mowy o utrzymaniu porządku ponieważ już cały personel i patrol były strasznie wyczerpane urzeraniem [tak w tekście] przez cały dzień. Reasumując wszystko razem donoszę obywatelowi Dyrektorowi obecna ilość kin jest nie wystarczająca do obsłużenia takiej ilości publiczności, trzeba by bynajmniej otworzyć ze dwa duże kina w śródmieściu co możeby odciążyło obecną sytuację, wypychani widowni kina, miejscami stojącymi tak jak to było w dniu wczorajszym, gdzie przy kompletach pełnych powinno być 6000 osób, wpuszczono 7500 i tu muszę zaznaczyć że conajmniej druga połowa stojąca na ulicy nie dostała się do kina. Warunki obecne powinniśmy zlikwidować jak najszybciej przez otwarcie nowych kin.

Kier. Administracji Kin
/R. Ostrowski/
Podpis nieczytelny

Źródło: AAN, Ministerstwo Informacji i Propagandy, 172, k. 57.

Dokument nr 2

Sprawozdanie dotyczące filmów wyświetlanych przez Zarząd Okręgowy Kin

[...]

Wydział Informacyjno-Prasowy¹⁵ zmuszony jest ograniczyć się w swej ocenie do samego Wrocławia, co jeśli chodzi o ocenę wartości faktów jest prawie wystarczające, gdyż prawie wszystkie filmy są najpierw wyświetlane we Wrocławiu. Natomiast nie obejmuje reakcji publiczności.

Kin we Wrocławiu jest 6 i na każdym seansie są zapełnione, bez względu na to, jaki film jest wyświetlany. Wyświetlane filmy zagraniczne były prawie wszystkie na bardzo wysokim poziomie, zwłaszcza film francuski „Skarb rodziny Goupi”.

Z filmów radzieckich publiczności najwięcej podobała się komedia „Zwariowane lotnisko”. Najgorzej przedstawia się z rodzima produkcja i w tym kierunku nie można polegać na reakcji publiczności. W jej ogólnie ocenie taka szmira, jak „Biały Murzyn” jest prawie, że arcydziełem. Jedynie zachowanie na filmie większej części publiczności, ujawniającej zbyt głośne zachwyty, wskazuje poziom kulturalny tej publiczności.

„Film Polski” stanowczo nie powinien puszczać tej przedwojennej szmiry lub nie wyświetlać w reprezentacyjnym kinie Wrocławia.

Źródło: AAN, Ministerstwo Informacji i Propagandy, 552, k. 106.

¹⁵ Mowa o Wydziale Informacyjno-Prasowym Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy we Wrocławiu.

JÁN LANGOŠ (1946–2006)

15 czerwca 2006 r. w tragicznym wypadku samochodowym zginął prezes Instytutu Pamięci Narodu (Ústav pamäti národa, UPN), Ján Langoš. W uroczystościach pogrzebowych uczestniczyła m.in. zastępca prezesa IPN, Maria Dmochowska.

Ján Langoš urodził się 2 sierpnia 1946 roku w Bańskiej Bystrzycy, w katolickiej i antykomunistycznej rodzinie. Studia (fizyka na bratysławskiej politechnice) ukończył w 1969 r., u progu tak zwanej „normalizacji” sytuacji w Czechosłowacji po inwazji wojsk Układu Warszawskiego. W latach siedemdziesiątych współpracował z nieformalnym środowiskiem niezależnie myślących artystów i naukowców. Pracował w Instytucie Cybernetyki Słowackiej Akademii Nauk, który był wówczas ostoją także dla innych podobnych mu osób. W 1981 r. został członkiem redakcji samizdatowego czasopisma „Kontakt”. W kolejnych latach redagował także inne pisma – „Altamira”, „K” i wreszcie najważniejsze, „Bratislavské listy”. Wraz z Jánem Čarnogurským stanął w tym czasie trzon słowackiej opozycji. Od 1987 r. StB rozpracowywała go w ramach sprawy o kryptonimie „Lukeš”.

W trakcie „aksamitnej rewolucji” był współzałożycielem ruchu „Społeczeństwo przeciw przemocy” – Verejnios proti násiliu (VPN). W styczniu 1990 roku został posłem do Zgromadzenia Federalnego, kilka miesięcy później zaś federalnym ministrem spraw wewnętrznych. Był głównym autorem ustawy lustracyjnej, eliminował ze służb specjalnych funkcjonariuszy bylej StB, powołał w MSW komórkę dla zbadania jej przestępczej działalności. Po rozpadzie Czechosłowacji przez wiele lat (do 2002 r.) był posłem do słowackiego parlamentu. W latach 1995–2001 przewodniczył Partii Demokratycznej. W 2002 r. przygotował projekt ustawy o powołaniu UPN, a następnie doprowadził do jej uchwalenia i odrzucenia weta prezydenta. W 2003 r. stanął na czele UPN, zginął w trakcie wykonywania obowiązków służbowych.

Tyle „oficjalna”, encyklopedyczna wersja życiorysu. Mówi ona wiele o Jánie Langošu, nie odpowiada jednak na najważniejsze pytania. Dlaczego człowiekowi, który nie pełnił funkcji ani premiera, ani prezydenta, wyprawiono pogrzeb rangi praktycznie państwowej? Dlaczego uczestniczyli w nim nie tylko słowaccy politycy, ale i wiele osób z Czech, z Václavem Havlem na czele? Dlaczego przemawiający licznie politycy i działacze społeczni tak mało mówili o politycznej działalności Langoša, skupiając się na tym, jakim był człowiekiem?

Odpowiedź, przynajmniej częściowo, kryje się w licznie publikowanych po tragicznej śmierci wspomnieniach. Nieustannie powracają w nich podstawowe wartości, którym Ján Langoš był wierny – prawda, wiara i miłość. „Był człowiekiem charyzmatycznym [...] Emanowało z niego coś uspokajającego – pozbawiał ludzi strachu przed światem [...] Miał w sobie wielką dobroć i wyrozumiałość” – wspomina Václav Ha-

vel. W wymiarze politycznym oznaczało to moralną bezkompromisowość, którą niektórzy brali za swego rodzaju walkę z wiatrakami na wzór don Kichota. A była to po prostu tak rzadka w naszej części Europy wierność ideałom sprzed 1989 r.

Ta postawa Jána Langoša znalazła swój najpełniejszy wyraz w sposobie sprawowania przez niego funkcji szefa UPN. Jest to widoczne już w przygotowanym przez niego i następnie uchwalonym projekcie ustawy. Wspólnym mianem „okresu niewoli” określa ona nie tylko czas komunistycznej dyktatury (1948–1989), ale także istniejące pod niemieckim patronatem słowackie państwo (1939–1944) oraz epizod czechosłowackiej „ograniczonej demokracji” z lat 1945–1948. Zapisane w preambule



ustawy słowa: „Zadne bezprawne działania państwa przeciwko obywatelom nie mogą być chronione tajemnicą” stały się mottem dla działań UPN. Na internetowych stronach instytutu opublikowano dzienniki rejestracyjne komunistycznej agentury, wykazy funkcjonariuszy, ale także spisy skonfiskowanego w latach II wojny światowej majątku żydowskiego. Wkrótce mają się na nich pojawić dalsze materiały, w tym rejestr spraw operacyjnych czechosłowackiego komunistycznego wywiadu.

Ján Langoš sformował w UPN zespół młodych badaczy i archiwistów, ludzi przeświadczonych o tym, że ich praca ma głęboki sens, gdyż (ponownie odwołując się do preambuły ustawy): „Ten, kto nie pozna swojej przeszłości, jest skazany na jej powtórzenie”. Pozostawił im swoje ideały, ale także jasny cel – bezkompromisowe rozliczenie totalitarnej przeszłości oraz upowszechnienie wiedzy o niej nie tylko we własnym kraju, lecz także w zachodniej części naszego kontynentu, która na swoje szczęście nie poznała komunistycznej dyktatury, wciąż niekiedy żywiąc złudzenia co do jej natury.

Kilka dni po śmierci Jána Langoša spełniło się jego wielkie marzenie – Senat Republiki Czeskiej ogromną większością głosów przyjął ustawę o utworzeniu Instytutu Pamięci Narodu, która ma duże szanse na uchwalenie także przez izbę poselską. Projektowi temu od samego początku udzielał ogromnego wsparcia, przekonując polityków i społeczeństwo, jak ważne dla życia każdego narodu jest zmierzenie się z przeszłością.

Dzieło Jána Langoša z pewnością nie zginie, jego samego będzie nam jednak bardzo brakowało.

Łukasz Kamiński

ZAGŁADA POLSKICH ELIT AKCJA AB – KATYŃ

Pierwszego września 2006 roku w Starej Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego zostanie otwarta wystawa zatytułowana *Zagłada polskich elit. Akcja AB – Katyń*. Pomysł zorganizowania ekspozycji poświęconej ofiarom niemieckich i radzieckich akcji eksterminacyjnych przeprowadzonych w okupowanej Polsce lub na polskich obywatelach wiosną 1940 roku narodził się w Biurze Edukacji Publicznej IPN przed dwoma laty. Autorem scenariusza jest dr Witold Wasilewski, część dotyczącą zbrodni niemieckich rozwinął zaś wyżej podpisany¹.

Ideą przewodnią przyświecającą autorom wystawy *Akcja AB – Katyń* było ukazanie podobnych działań podjętych w tym samym czasie przez obydwu agresorów i zbrodniczych okupantów Rzeczypospolitej Polskiej: nazistowskie Niemcy i Rosję radziecką. Takie ukształtowanie treści wystawowych wydawało się pożyteczne i potrzebne ze względu na powojenne ograniczenia polskich badań nad eksterminacyjną polityką ZSRR wobec obywateli polskich i ciągły brak rzetelnego porównania nazistowskiej i radzieckiej polityki okupacyjnej².

Wystawa składa się z trzech części. Pierwsza, zatytułowana „Ku zbrodni”, jest poświęcona przygotowaniom do wojny i wspólnej niemiecko-radzieckiej agresji na Polskę oraz polityce okupacyjnej i współpracy okupantów. Część druga, nosząca tytuł „Ludobójstwo”, tworzy podstawowy zrąb całego przedsięwzięcia wystawienniczego. Została ona podzielona na cztery bloki: w pierwszym ukazano tzw. zbrodnię katyńską, czyli egzekucje polskich oficerów internowanych w ZSRR; w drugim – *Außerordentliche Befriedungsaktion* wraz z pierwszymi niemieckimi akcjami eksterminacyjnymi, przeprowadzanymi od jesieni 1939 r., oraz wywózkami Polaków do obozów koncentracyjnych; w trzecim bloku zaprezentowano kilka przykładów zbrodni popełnionych przez Niemców i Sowieców na członkach tych samych rodzin; w czwartym naszkicowano bilans ludobójstwa. Część trzecia, nazwana „Pokłosie zbrodni”, jest posumowaniem powojennego procesu ścigania zbrodniarzy nazistowskich, odpowiedzialnych za akcję AB.

¹ Ostateczny kształt wystawa przybrała dzięki współpracy: Agnieszki Rudzińskiej, dr. Grzegorza Motyki, Pawła Rokickiego i wielu kolegów z oddziałowych BEP.

² Z nielicznych dostępnych dla czytelnika polskiego opracowań porównawczych sowieckiego i nazistowskiego systemu represji należy wymienić monografię Andrzeja Józefa Kamińskiego, *Koszmar niewolnictwa. Obozy koncentracyjne od 1896 do dziś. Analiza*, tłum. Halina Zarychta i autor, Warszawa 1990. Także fragmenty klasycznej już pozycji Alana Bullocka, *Hitler i Stalin. Żywy równoległy*, t. 1–2, „Bellona”, Warszawa 1994, ss. 1058.



Kobiety w opaskach na oczach przed egzekucją, Palmiry 1940 r.

Równoległe ukazuje zjawisko „kłamstwa katyńskiego” i etapy jego przewyżczenia w powojennej Polsce.

Na poszczególnych planszach wystawy znalazły się autorskie teksty wprowadzające, liczne dokumenty źródłowe (w formie faksymile i odpisów) oraz bogaty materiał ikonograficzny (reprodukcje zdjęć, rysunków, a nawet obrazów). Uzupełnieniem ekspozycji są specjalnie na tę okazję opracowane mapy.

Świeże spojrzenie na dzieje okupacji w Polsce w okresie pierwszych dwóch lat II wojny światowej wymagało nie tylko nowatorskiego zestawienia znanych faktów, ale i przeprowadzenia podstawowych badań. Spowodowały to braki w piśmiennictwie historycznym. Co ciekawe, nie wszystkie luki można przypisać działaniu cenzury przed

1989 r., przecież nie da się w ten sposób wytłumaczyć braku w literaturze całościowego omówienia *Außerordentliche Befriedungsaktion*³.

Największym utrudnieniem w pracy nad wystawą jest wielki niedostatek rzetelnych publikacji na temat hitlerowsko-radzieckiej współpracy w zakresie spraw bezpieczeństwa. Właściwie jedynym pewnym drogowskazem jest w tym przypadku *Tajny protokół dodatkowy* do traktatu o „granicy i przyjaźni” zawartego przez III Rzeszę i ZSRR w Moskwie 28 września 1939 r. Jest to krótki dokument, który w polskim tłu-



Ofiary zbrodni w Katyniu

³ Dostępne są tylko opracowania cząstkowe, np. Jana Pietrzykowskiego, *Akcja AB w Częstochowie*, Katowice 1971, lub materiały z sesji naukowej, która odbyła się w dniach 6–7 listopada 1986 roku, wydane w formie książkowej pt. *Ausserordentliche Befriedungsaktion 1940. Akcja AB na ziemiach polskich*, GKBZpNP–IPN, Warszawa 1992.

maczeniu brzmi: „Przy podpisaniu sowiecko-niemieckiego układu o granicy i przyjaźni niżej podpisani pełnomocnicy uzgodnili co następuje: Obie strony nie będą tolerować na swoich terytoriach jakiegokolwiek agitacji polskiej, która by dotyczyła terytoriów drugiej strony. Obie strony podobną agitację zlikwidują na swoim terenie w samym zarodku i będą informować się wzajemnie o celowych przedsięwzięciach w tym kierunku podejmowanych. [...] W imieniu Rządu Rzeszy Niemieckiej J. Ribbentrop; Z upoważnienia rządu ZSRR W. Mołotow”.



Gryps Józefa Wyczółkowskiego (straconego na Firleju 4 lipca 1940 r.) z radomskiego więzienia do żony, wryty na odwrocie lusterka:

„Kochana Marysiu, Żegnaj i nie rozpaczaj. Tak Bóg chciał. Żegnam Rodziców, Moją Wandkę i wszystkich. Twój mąż J. Wyczółkowski”.

Muzeum im. Orła Białego w Skarżysku-Kamiennej.

Niestety, do dzisiaj trudno jest przytoczyć inne wiarygodne dokumenty w sposób bezsporny zaświadczące wspólne zwalczanie przez nazistów i Sowietów polskiego ruchu oporu w latach 1939–1941, czy przynajmniej wzajemne informowanie się o akcjach mających na celu spacyfikowanie polskiego społeczeństwa. Autorzy wystawy nie roszczą sobie prawa do wypowiedzenia ostatniego słowa w tym zakresie. Nie jest to zresztą ich zadaniem. Byłoby jednak dobrze, gdyby wystawa poświęcona AB i Katyńowi pobudziła badania nad tą problematyką. Miejmy nadzieję, że wkrótce historykom uda się nie tylko na nowo zinterpretować już znane dokumenty, ale i dotrzeć do nowych materiałów umożliwiających jednoznaczne ustalenia: jaki zakres miała antypolska współpraca Berlina z Moskwą i kto ją realizował?

HISTORIA W POGONI ZA FILMEM

Film *Good bye, Lenin!* nie tylko przyciągnął do kin miliony widzów na całym świecie, lecz także stał się wyzwaniem dla historyków zajmujących się badaniem historii komunizmu. Wyzwaniu temu w udany sposób sprostała wydana w Niemczech książka *Damals in der DDR*.

Good bye, Lenin! Wolfganga Beckera cieszył się wielką popularnością wśród widzów i dał początek swoistej modzie na „powrót” do NRD. Na podstawie filmu powstały materiały edukacyjne, stworzono strony internetowe, np. ze słownikiem „wrażen wschodnioniemieckich”. Zjawisko trwa już od kilku lat, ukuto nawet dla niego neologizm *ostalgie*. Pod tym pojęciem kryją się zresztą różne „powroty do NRD”. Zwykle jednak dominował ton satyryczno-groteskowy, choć niepozbawiony pewnego sentymentalizmu (jak np. interpretować fakt, że wokół miejsca-symbolu dawnego Berlina Zachodniego, dworca ZOO, ulubionym gadżetem w sklepie z pamiątkami jest, oprócz berlińskiego misia, miniaturka trabanta?). W licznych programach telewizyjnych prześcigano się w prezentowaniu gadżetów z tamtych czasów, świadectw codzienności, które dziś wyrwane z szarej rzeczywistości NRD pokazują jedynie groteskowe i śmieszne cechy systemu. Paradoksalnie komedia filmowa, jaką jest niewątpliwie *Good bye, Lenin!*, stała się pretekstem do poważnej dyskusji o NRD, jej pamięci czy kosztach transformacji.

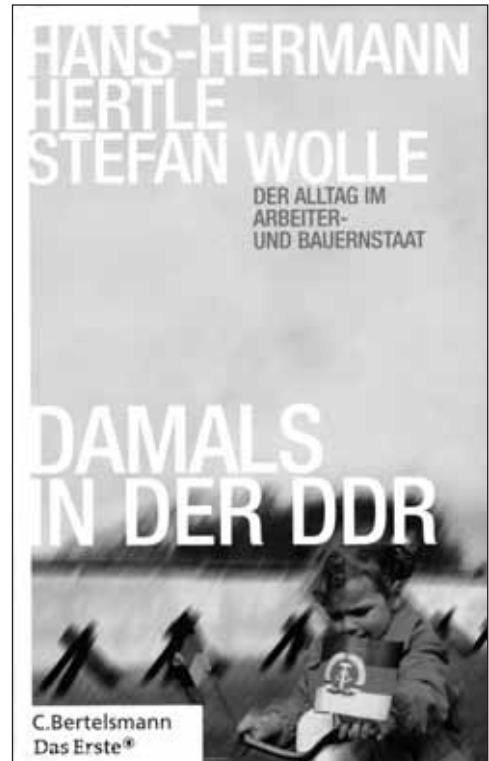
Nie pozostało to bez wpływu na prowadzone badania historyczne. Zainteresowanie historyków tematyką NRD, a zwłaszcza zagadnieniem życia codziennego szarego obywatela, znacznie wzrosło. W Polsce w ramach projektu translacyjnego Niemieckiego Instytu-

tu Historycznego „Klio w Niemczech” ukazała się publikacja Stefana Wolle z 1998 roku zatytułowana *Wspaniały świat dyktatury. Codziennosc i władza w NRD 1971–1989*. W ubiegłym roku ten sam autor wraz z Hansem-Hermanem Hertle opublikował kolejną książkę *Damals in der DDR. Der Alltag im Arbeiter-und Bauernstaat*. Mogłoby się wydawać, że kolejna książka tego samego autora o tej samej tematyce nic nowego do sprawy nie wniesie. Warto jednak przyjrzeć się bliżej obu publikacjom, choćby po to, by stwierdzić, jak zmienił się sposób patrzenia, a tym samym badania codzienności w NRD.

Wspaniały świat dyktatury, jak wynika z założeń autora, miał być „księgą pożegnania”, próbą opisanego tego wszystkiego, co badaniom naukowym łatwo umyka, a więc lęków, uczuć, zwyczajnych chwil z życia codziennego. Miał być „rozrachunkiem na wesoło” i swoistą walką przeciwko sile zapomnienia. Punktem wyjścia dla Stefana Wolle nie stało się jednak społeczeństwo NRD postrzegane z poziomu przeciętnego obywatela, a raczej (co też wynika z samego tytułu książki) polityka władz i jej oddziaływanie na społeczeństwo. Autor opisuje świat kształtowany przez tę władzę, dlatego być może uznał, że warunkiem zrozumienia mechanizmów społecznych jest zrozumienie tworzenia państwa jako części imperium sowieckiego i formowania władzy w tym państwie.

Główny nacisk został więc położony na przedstawienie struktury władzy, pokazanie prób jej legitymizacji i sposobów działania (cenzura, system wszechobecnego nadzoru, dyscyplinowania i represji). Na tym tle dopiero autor przedstawia społeczeństwo i życie codzienne w NRD. Porusza zarówno problemy kobiece, rodzinne, mieszkaniowe, jak i zjawiska, które cechowały codzienność, np. niezwykle duże i zwalczane przez władze zainteresowanie ogłoszeniami drobnymi w prasie – stanowiącymi jedyną informację, gdzie co można kupić. Opisuje też, w jaki sposób ta rzeczywistość potrafiła być steatralizowana, chociażby przez malowanie domów i zakładanie sztucznych trawników na przejazd Honeckera. Książka – dzięki sposobowi narracji, który podkreśla groteskowe elementy systemu – zdaje się w pełni realizować założenie autora, aby „mieć swój udział w walce śmiechem przeciwko sile zapomnienia”.

Damals in der DDR narodziła się na fali filmów dokumentalnych powstających w niemieckiej telewizji po ogromnym sukcesie *Good bye, Lenin!*. Obaj autorzy byli konsultantami przy produkcji całej serii filmów o codzienności w NRD, realizowanych przez telewizję ARD. Wszystkie miały za podstawę najnowsze badania dotyczące tej tematyki, a ich celem było ukazanie pełnego obrazu codzienności i życia ludzi w tamtych czasach bez komicznych przerysowań, na które pozwolić sobie mogły filmy fabularne czy popularnonaukowe opracowania. „Filmową” inspirację książki widać szczególnie w sposobie narracji, charakterystycznej dla tego typu dokumentów, w których obraz w zasadzie tworzą relacje, opowieści i wspomnienia. W odróż-



nieniu od poprzedniej książki Stefana Wolle, tutaj rzeczywistość NRD przedstawiana jest właśnie z punktu widzenia jednostek, poprzez ich relacje i świadectwa. Odmienny jest więc materiał źródłowy. We *Wspaniałym świecie dyktatury* autor opierał się w dużej mierze na dokumentach wytworzonych przez władze, statystykach i ankietach. W *Damals in der DDR* skorzystano w znacznie większym zakresie z materiałów wspomnieniowych. Relacje stanowią swoisty szkielet, na którym autorzy budują historię NRD. Konstrukcja książki jest dużo bardziej atrakcyjna dla odbiorcy, prawie każde opisywane zdarzenie czy zjawisko zostało zilustrowane wspomnieniem.

Dzięki mikrohistorycznemu podejściu udało się zbudować wielowymiarowy obraz – wolny od uproszczeń i sche-

matów (różnej zresztą proveniencji!), z którymi historyk komunizmu, nie tylko w NRD, musi się zmierzyć. W efekcie obraz ten przestaje być jednoznaczny, a sama NRD jawi się jako kraj paradoksów. Z jednej strony jest to kraj o największym chyba deficycie legitymizacji w całym bloku sowieckim – ostatecznie, jakkolwiek by oceniać PRL, Polacy innego państwa przez 45 lat nie mieli, a Niemcy owszem. Z drugiej strony wielu ludzi z różnych powodów bardzo szczerze przyjęło ofertę niemieckich komunistów. Dla wielu była to szansa narodowej ekspiacji, nadzieja na dobry początek, a nowa władza komunistyczna doskonale wpisywała się swoimi rytuałami w przeszłość nazistowską. Kult Hitlera płynnie przechodził w kult Stalina, a kilka dni po proklamowaniu NRD odbył się uroczysty przemarsz z pochodniami młodzieży zrzeszonej w FDJ, który prowadził ówczesny jej lider, Erich Honecker.

Ciekawie przedstawiono problem opuszczania NRD przez jej obywateli. Z jednej strony władza coraz bardziej uszczelniała granice, budowała śmiertelnoścne urzędnictwo, z drugiej strony obywatel NRD mógł złożyć wniosek o wyjazd ze swojego kraju do RFN. Wówczas, jak w przypadku rodziny Ziethen, ruszała cała machina nacisków, presji, szantażu, inwigilacji. Odtąd już rzadko kiedy udawało się rodzinie jeździć bez ostentacyjnej obstawy samochodów Stasi (swoją drogą, jeśli ktoś miał wątpliwości, czy należało opuszczać NRD, to po takich działaniach chyba już je tracił), aż w końcu niespodziewanie po kilku latach pisania pism i odwołań przychodziła informacja, że trzeba uregulować wszystkie sprawy z bankiem, pocztą, opłatami ko-

munalnymi i należy się udać na dworzec do Erfurtu, gdzie czekał pociąg do Düsseldorfu. Po dwóch godzinach sprawa była załatwiona. Co więcej, osoby z różnych powodów niewygodne dla władz NRD były bardzo przez nie zachęcane, by w końcu zechciały złożyć taki wniosek. Paradoksalnie w latach osiemdziesiątych spora część uczestników spotkań grup dysydenckich liczyła na to, że zostanie sfilmowana przez Stasi i będzie mogła spokojnie opuścić swój kraj z błogosławieństwem władz. Takich przykładów działań ubocznych władzy ernerdowskiej było sporo.

Podczas praskiej wiosny oficjalnie władze nie mogły zakazać obywatelom NRD wyjazdów do bratniego kraju. Postanowiły jednak ich zniechęcać, ograniczając limit przyznawanych koron. W konsekwencji turyści z NRD, nie mając dostatecznych środków na opłacenie hoteli czy restauracji, zmuszeni byli bardziej się integrować z „tubyłcami” i szybciej przesiąkali „kontrrrewolucyjną” atmosferą praskiej wiosny. Niejednoznacznie też wygląda od dołu obraz wszechwładnej partii komunistycznej i jej policji politycznej – Stasi. Stefan Wolle pisze, że określenie funkcjonariuszy Stasi jako tych, którzy „byli i stali”, po 16 latach od przełomu właściwie znów zaczyna być prawdziwe. I choć rozmiar inwigilacji społeczeństwa NRD, liczba tajnych współpracowników, stopień infiltracji różnych rodzajów aktywności społecznej, który wyłonił się po udostępnieniu akt ernerdowskiej policji politycznej zaraz po przełomie, zaskoczył nawet największych oponentów komunistycznych Niemiec, to jednak pozostaje faktem, że każdy w NRD wiedział tyle o Stasi, ile tak naprawdę chciał wie-

dzieć. Obecność tej ostatniej w życiu społecznym pełna była dwuznaczności. Z jednej strony jej obiekty były tajne, nieoznakowane, z drugiej strony wszyscy wiedzieli, co się w nich znajduje, zwłaszcza że siedziby te budowane były z lepszych materiałów, niedostępnych dla innych. Trudno natomiast jednoznacznie dziś powiedzieć, co funkcjonariusze Stasi nosili w swoich firmowych saszetkach ze skaju – zmyślne aparaty podsłuchowe – czy może po prostu drugie śniadanie. Sam fakt, że tajna policja okazała się bezradna wobec wydarzeń 1989 roku, sugerowałby raczej to drugie. Zło zwykle bywa banalne.

Równie ambiwalentny był udział partii komunistycznej w życiu przeciętnego obywatela NRD. W odróżnieniu od PRL, która miała jednak swoje przesilenia, zmiany elit, NRD starzała się wraz ze swoją elitą, z upływem lat coraz bardziej rozkochaną w rytuałach, pochodach, celebrach, rocznicach. Autorzy książki próbują to nawet wytłumaczyć swoistą nostalgią za minioną młodością. Tylko że przeciętnemu obywatelowi zostały w pamięci nie tyle propagandowe hasła pierwszomajowych pochodów, uchwały plenum czy przemówienia Honeckera, ile klimat majowego pikniku, grilla spędzonego wspólnie z przyjaciółmi, i tego przy całej niechęci do ideologicznego sztafażu mogło w pewnym momencie brakować.

Komunistyczne elity NRD, mimo całego rozbudowanego aparatu ideologicznego i policyjnego, okazały się bezradne wobec nadchodzących przemian roku 1989. Tę bezradność państwa wo-

bec istniejącego oporu dobrze obrazuje relacja jednego z ówczesnych studentów szkoły policyjnej, którzy zostali bez żadnego przeszkolenia i rynsztunku rzućeni przeciwko rozwścieczonym demonstrantom na dworcu w Dreźnie w październiku 1989 roku. Dopełnieniem absurdu był potem posiłek regeneracyjny, jaki dostarczono w nocy poturbowanym elewom – niedostępne wówczas w NRD banany. Widok ten z jednej strony ośmieszał młodych policjantów, z drugiej strony dodatkowo rozwścieczał wzburzone już społeczeństwo.

Mimo dużej różnicy między NRD a innymi krajami socjalistycznymi uderza wiele podobieństw w życiu codziennym. Jaką karierę w mowie potocznej robiło słowo „zachodni”, np. „zachodnia marka”, i związane z tym konotacje?

Film *Good bye, Lenin!* nie idealizuje rzeczywistości NRD, jest poniekąd nawet dość demaskatorski. Ale zrobiony jest z dużą empatią. Podobnie książka *Damals in der DDR*. Wydaje się więc, że uczciwa refleksja nad czasem komunizmu, wolna zarówno od apologetyki, jak i publicystycznych uproszczeń, potrzebna jest do zrozumienia nie tylko „tamtego czasu”, ale również tego, co stało się po 1989 roku.

Marta Danielik, Krzysztof Madej

Hans-Hermann Hertle, Stefan Wolle (przy współpracy Nicolausa Schroedera), *Damals in der DDR. Der Alltag im Arbeiter- und Bauernstaat*, C. Bertelsmann, München 2004.

SĄSIADÓW CIĄG DALSZY

Jan T. Gross, *Fear. Anti-Semitism in Poland after Auschwitz. An Essay in Historical Interpretation* [Strach. Antysemityzm w Polsce po Auschwitz. Esej o historycznej interpretacji], Random House, New York 2006.

Praca jest dalszym ciągiem książki *Sąsiedzi* (1999). Tym samym Strach Jana T. Grossa zdobył już bezkrytyczne recenzje w amerykańskiej prasie popularnej, a tylną okładkę wypełniają pochwały sławnych naukowców amerykańskich, takich jak np. Tony Judt.

Tematem książki jest przemoc wobec Żydów w powojennej Polsce. Autor rozwija w niej tezę, że przemoc ta wynikała z poczucia winy ze strony Polaków oraz/ albo konfliktu dotyczącego żydowskiego mienia osobistego podczas wojny, nie była zaś rezultatem wojny lub powojennych warunków czy też przedwojennych stosunków społecznych i przedwojenne antysemityzmu.

Podtytuł książki *Esej o historycznej interpretacji* sugeruje w sposób osobliwy, że mamy tu do czynienia z metodologią historyczną. Ci jednakże, którzy szukają takiego ujęcia tematu – szczególnie po wcześniejszej deklaracji Autora o jego „nowym podejściu do źródeł” – będą rozczarowani. Użycie określenia „esej” przywodzi na myśl utwór literacki, a nie pracę badawczą i dogłębną pracę naukową. Określenie to o wiele bardziej pasuje do tonu, jaki przyjmu-

je Strach. Opisawszy książkę jako esej, Autor może uniknąć zarzutu selektywnej analizy i słabej wartości naukowej, jak w przypadku jego poprzedniej pracy. Jednocześnie Gross stwierdza, że obecna książka została „dokładnie udokumentowana” (s. XIV).

Ogólne wnioski Autora o Polsce powojennej i zachowaniach społecznych oparte są na zaledwie kilku wybranych żydowskich pamiętnikach i na jeszcze bardziej ograniczonej liczbie źródeł wtórnych. Zostały ponadto uzupełnione pracami literackimi, nawiązaniem do ludobójstwa w Rwandzie oraz badań Jane Goodall na temat powodów przemocy wśród szympanów w Afryce¹. Wąski zakres wykorzystanych źródeł domaga się pytania, czy dokumenty zostały wybrane tylko po to, aby potwierdzić tezę, czy też teza została oparta na reprezentatywnej liczbie dowodów. Na przykład, pomimo częstych nawiązań do *Sąsiadów* w *Strachu*, Autor ani nie odnosi się w dużym stopniu do niej, ani też nie wspomina nic o krytyce pod adresem swojej poprzedniej książki².

W rezultacie Strach odbiera się jako serię uproszczonych ogólników, które

¹ Por. polskie tłumaczenie jednej z popularnych prac na temat własnych badań z dziedziny prymatologii (nauki o człekokształtnych): J. Goodall, *Przez dziurkę od klucza. 30 lat obserwacji szympanów*, Warszawa 1997.

² Zob. np. B. Musiał, *Tezy dotyczące pogromu w Jedwabnem. Uwagi krytyczne do książki »Sąsiedzi« autorstwa Jana Tomasz Grossa*, „Dzieje Najnowsze”, 2001, nr 3, s. 253–280; A.B. Rossino, *Polish 'Neighbours' and German Invaders. Anti-Jewish Violence in the Białystok District during the Opening Weeks of Operation Barbarossa*, „Polin. Studies in Polish Jewry”, 2003, t. 16, s. 431–452; M.J. Chodakiewicz, *The Massacre in Jedwabne July 10, 1941. Before, During, and After*, East European Monographs, New York 2005.

znajdują niewiele potwierdzenia w źródłach historycznych. Dowody, jakie pisarz przedstawia, często łatwo można zakwestionować albo wykazać, że są sprzeczne ze sobą. Na przykład Autor pisze, że „W polsko-katolickiej wyobraźni Żydzi są mordercami Boga i używają dzieci do przygotowania macy” (s. XIII). Jednak nie podaje żadnych argumentów popierających te stwierdzenia, nie ma tu żadnej dyskusji z zakresu historii, teologii ani filozofii polskiego katolicyzmu. W karykaturalnych opisach Grossa katolicyzm przypomina antykatolickie polemiki Daniela Jonaha Goldhagena³.

Pisząc o przerażającym pogromie w Kielcach, Gross stwierdza, że „Wyraźnie widoczne w tej makabrycznej sytuacji staje się powszechnie podzielane w polskim społeczeństwie odczucie, że pozbywanie się Żydów przez ich zabijanie, jeśli zajdzie taka konieczność, było dozwolone” (s. 108). Znowu brak tu próby przedstawienia dowodów na to, że „polskie społeczeństwo” czuło w ten sposób. Stwierdzenie to jest postawione jako fakt i poparte kilkoma przykładami straszliwej przemocy i fotografiami małych dzieci żydowskich bawiących się i pokazanych na zajęciach w szkole. (Notabene, mniej więcej połowa fotografii zamieszczonych w książce ma niewiele wspólnego z zadeklarowanym tematem książki i zastanawia, dlaczego

autor je włączył). Ogólna dyskusja na temat pogromu kieleckiego ogranicza się do koncentracji na jednej przyczynie występowania antysemityzmu, owszem, ważnej, ale nie jedynej. Istotna rola władzy komunistycznej w wydarzeniach tego fatalnego dnia lipcowego została w większości pominięta.

Ci, którzy będą szukać dowodów na potwierdzenie tezy autora o kradzieży mienia żydowskiego w czasie wojny jako powodu powojennej przemocy wobec Żydów, będą zawiedzeni *Strachem*. Zawiedzeni też będą logiką tej pracy. Na przykład z jednej strony sam autor jednoznacznie odrzuca wszelkie inne wytłumaczenia antyżydowskiej przemocy (s. 246–247). Z drugiej strony podaje przynajmniej jedno alternatywne wytłumaczenie, w postaci ogólników na temat „polsko-katolickiej wyobraźni” i „polskiego społeczeństwa”. Czyli w końcu co było powodem przemocy? Tylko kradzież mienia w czasie wojny? Czy również katolicyzm Polaków? W rzeczywistości jedyne dowody to własne uczucia Grossa poparte kilkoma cytatami z pamiętników.

To prawda, że należy poważnie rozważyć sprawę powojennych majątków Żydów. Ta książka jednakże nie należy do monografii zajmujących się tą tematyką. Tak naprawdę, niewiele można tu znaleźć analiz stanu majątkowego

³ *Idem, Niedokończony rozrachunek. Rola Kościoła katolickiego w Holocauście i niedopełniony obowiązek zadośćuczynienia*, Warszawa 2005. Autor, wykładowca na Uniwersytecie Harvarda, „podejmuje dociekliwe śledztwo w sprawie udziału Kościoła katolickiego w Holocauście. Dyskusję skupioną dotąd na osobie Piusa XII przekształca w od dawna oczekiwane bezkompromisowe dochodzenie na temat działalności Kościoła w całej Europie, w tym w Polsce (sprawa Jedwabnego). Dowodzi, że współodpowiedzialność Kościoła i jego papieża za prześladowania Żydów sięga o wiele głębiej, niż wcześniej sądziliśmy. Hierarchowie byli w pełni świadomi prześladowań. Nie mówili o tym głośno i nie zrywali do oporu. Zamiast tego często prześladowania te popierali. Niektórzy duchowni nawet osobiście uczestniczyli w masowych mordach” (informacja wydawcy tłumaczenia polskiego).

ludności żydowskiej, popartych znajomością ówczesnego polskiego systemu prawnego. Gross zupełnie pomija owe kwestie, mimo że na przykład archiwum miejskie w Kielcach posiada ponad 279 tomów dokumentów dotyczących starań Żydów o odzyskanie własności prywatnej. Wstępna analiza takich przypadków wskazuje, że niekomunistyczni sędziowie podchodzili do nich bardzo życzliwie i uznali 90 proc. z nich, chociaż wielu żydowskich właścicieli następnie sprzedawało swą własność, ponieważ albo mieli zamiar opuścić Polskę, albo chcieli zapobiec możliwej konfiskacie ze strony władz komunistycznych⁴. Ponadto, aby móc jasno i precyzyjnie ustalić kwestie zwrotu mienia jako powód powojennej przemocy, należy zbadać sprawę szerzej, a nie tylko biorąc pod uwagę żydowskie żądania. Przecież miliony nie-Żydów również utraciły mienie lub zostało ono ukradzione w wyniku masowych przemieszczeń społeczeństwa polskiego⁵. Jaka była ich sytuacja w porównaniu z polskimi Żydami? Gross nie podaje żadnych informacji na ten temat, co nie pozwala na właściwe osądzenie jego stwierdzeń.

Tak jak w przypadku *Sąsiadów*, obecna książka zawiera mnóstwo nieścisłości logicznych. Na przykład Żydzi, którzy wstąpili do partii komunistycznej, są przedstawieni jako nie-Żydzi (s. 195) i dlatego ich postępowanie nie reprezentuje Żydów polskich, tylko komunistów. Z kolei funkcjonariusze komunistyczni, którzy są etnicznymi Polakami, zostali

potraktowani, jak gdyby reprezentowali wszystkich nieżydowskich Polaków, a nie tylko jako przedstawiciele komunistów. Antysemickie działania polskich katolików są reprezentatywne dla „polsko-katolickiej wyobraźni”, ale antysemickie działania komunistów nie są reprezentatywne dla „wyobraźni lewicowej”.

Sposób, w jaki książka traktuje komunizm i opisuje rolę Związku Sowieckiego, należy do najbardziej problematycznych. Choć Autor opisuje w szczegółach okupację Polski, nie ma tu żadnych wzmianek na temat masowych deportacji i morderstw Polaków dokonanych przez Sowietów w latach 1939–1941, co określono w książce mianem „sowietyzacji”. Jedyne wzmianki na temat deportacji przez Sowietów dotyczą polskich Żydów, co pozostawia fałszywe wrażenie, że tylko ci ostatni byli ofiarami komunistów. Tymczasem to polscy katolicy stanowią przytłaczającą większość ofiar terroru sowieckiego. Jeszcze poważniejszym problemem jest zadziwiające poparcie Grossa dla komunizmu jako alternatywy politycznej: „Motywacja młodych nawróconych na komunizm w tym czasie była pozbawiona egoizmu i altruistyczna [...]. [Komunizm] oferował obietnicę jasnej, szczęśliwej przyszłości dla następnych pokoleń”. Pisze Autor w ten sposób o systemie, którego „pozbawieni egoizmu i altruistyczni” przedstawiciele wymordowali miliony ludzi. Co więcej, charakteryzuje Sowietów jako wyzwolicieli Polski (s. 7), z zalem wspomina

⁴ K. Urbański, *Kieleccy Żydzi*, Kraków 1993, s. 183–191.

⁵ Na ten temat zob. M.J. Chodakiewicz i D. Currell, „Restytucja: The Problems of Property Restitution in Poland, 1939–2001”, [w:] *Poland's Transformation. A Work in Progress*, red. M.J. Chodakiewicz, J. Radziłowski i D. Tołczyk, Charlottesville 2003, s. 159–193.

funkcjonariuszy komunistycznych zabitych przez partyzantów antykomunistycznych (s. 21) i opisuje powojenny terror stalinowski i represje jako coś, co „męczyło i irytowało” Polaków, tak jak gdyby masowe aresztowania i morderstwa można było leczyć aspiryną i drzemką.

Autor opisuje pogrom kielecki i podaje inne przykłady powojennej przemocy w sposób wybiórczy; przyczynki te służą głównie po to, aby zilustrować jego główne tezy. Na przykład odrzuca szczegółowe badania Davida Engla⁶ i lekceważy badania przeprowadzone przez Marka Jana Chodakiewicza⁷, którzy ustalili, że ogólnie przyjmowana dotąd liczba ofiar żydowskich w powojennej Polsce była znacznie zawyżona. Jednocześnie nie podaje powodu, dla którego przyjmuje owe starsze, zdyskredytowane szacunki. Po prostu przytacza je bez uzasadnienia⁸. Ponieważ nigdy nie porusza zagadnień ogólnej przemocy w powojennej Polsce, Gross jeszcze raz pomija kontekst, na podstawie którego czytelnik mógłby osądzić stopień przemocy panującej w polskim społeczeństwie w tym czasie, i wobec tego byłby w stanie ocenić, czy i w jakim stopniu przemoc wobec Żydów była zjawiskiem wyjątkowym. Udział władz komunistycznych w morderstwach Żydów jest zupełnie pominięty, mimo iż większość sprawców pogromu kieleckiego należała do wojska lub milicji (służb bezpieczeństwa). Autor nie zwraca uwagi na ten

dziwny fakt. Co więcej, ponieważ lekceważy zjawisko masowego terroru stosowanego przeciwko członkom ruchu oporu przez nowe władze komunistyczne, powtarza tylko stare fałszerstwa o tym, jak Polacy, którzy ratowali Żydów podczas Holocaustu i później, ukrywali ten fakt, kierując się strachem przed odwiecznym antysemickim, a nie ze względu na strach przed prześladowaniami ze strony władz komunistycznych, jako że należeli do ruchu oporu (i byli narażeni na zdradę przez swych sąsiadów z tego samego powodu). Ponieważ Autor nie jest w stanie lub celowo nie chce podać kontekstu życia w Polsce stalinowskiej, spora część dyskusji o sytuacji społeczności żydowskiej sprawia wrażenie chaotycznej i oderwanej od tematu.

Strach Jana T. Grossa stoi więc jako rodzaj pomnika ku czci obecnego postmodernistycznego podejścia do wiedzy, w którym dokładne badania źródłowe i ustalanie silnej podstawy faktograficznej wiedzy tracą znaczenie na rzecz historycznego eseju interpretacyjnego, w którym uczucia Autora zastępują dokumenty źródłowe. *Strach* przemawia do pewnej części naukowców i osób publicznych, którzy posiadają tylko powierzchowną lub karykaturalną i stereotypową wiedzę o Polsce i historii Polski. Książka może również stanowić zachętę dla różnego rodzaju moralizatorów i tzw. autorytetów moralnych, aby ci dzielili się ze światem opiniami o sprawach, które pozostają poza sferą

⁶ Por. np. *idem Patterns of Anti-Jewish Violence in Poland, 1944–1946*, „Yad Vashem Studies”, t. XXVI, Jeruzalem 1998, s. 43–85.

⁷ *Idem After the Holocaust. Polish-Jewish Relations in the Wake of World War II*, East European Monographs, New York 2003, s. 212–213 (wydanie polskiego tłumaczenia w przygotowaniu).

⁸ Nie porusza także zagadnienia motywacji i okoliczności podobnych zabójstw innych niż rasistowskie (np. kryminalne, polityczne, militarne).

ich wiedzy. Opublikowane ostatnio recenzje w prasie amerykańskiej, które wyciągnęły „prawdziwe” wnioski o wewnętrzną naturę Polaków, to przykład takiego podejścia. *Strach* jest kolejnym odwrotem od wyraźniejszego zrozumienia okresu powojennego i powinien zo-

stać potraktowany jako praca publicystyczna, a nie naukowa.

Prof. dr. John Radziłowski
Wydział Historii, University
of St. Thomas, St. Paul, Minnesota

Tłumaczenie Katarzyna Polańska

PRZYCZYNEK DO RECEPCJI PEWNEJ KSIĄŻKI

Jak wytłumaczyć fakt, że książka, która nie wnosi nic nowego z punktu widzenia naukowego – a nawet stanowi pod tym względem regres – powtarzając tezy znane z drugorzędnych publikacji „literatury Holocaustu”, głównie po amatorsku redagowanych ksiąg pamięci, może wywołać ogromną sensację w opiniotwórczych pismach i świecie naukowym USA? Mowa tu o nowej książce Jana Tomasz Grossa pt. *Strach. Antysemityzm w Polsce po Auschwitz. Esej o historycznej interpretacji. (Fear. Anti-Semitism in Poland After Auschwitz. An Essay in Historical Interpretation)*, wydanej przez renomowane wydawnictwo Random House w czerwcu 2006 r. i natychmiast fetowanej w czołowych dziennikach amerykańskich.

Główna teza nowej książki Grossa brzmi zdumiewająco: nadal po wojnie Polacy zabijali Żydów: z chciwości – bo pragnęli zagarnąć ich majątki lub nie chcieli oddawać mienia zagrabionego już wcześniej; z uprzedzenia lub ze zwykłego pragmatyzmu – bo chcieli ukryć swój udział w Holocauście, oraz dla czystej przyjemności – bo byli po prostu nikczemni. Na tle tych wydarzeń Żydzi byli wyłącznie ofiarami zarówno zwykłych Polaków, jak i reżimu komunistycznego. W takiej wizji nie ma miejsca na niuanse lub szare odcienie. Nie jest istotne, że wedle źródeł amerykańskich „Zwrot mienia żydowskiego, jeśli podjęty [został] przez właściciela lub potomka, i nie było ono pod kontrolą państwa,

odbywał się bez większych problemów”¹ (jak wiadomo, ani w Kielcach, ani nawet w Jedwabnem Polacy nie stali na przeszkodzie ocalałym Żydom w odzyskaniu ich własności). Nie gra też dla wywodów Grossa zbytnej roli fakt, że olbrzymia większość z ok. 300 tys. Żydów, osiadłych choćby tymczasowo w Polsce po wojnie, w tym ofiary „pogromu kieleckiego”, nigdy nie była bezpośrednimi ofiarami reżimu hitlerowskiego (lata okupacyjne spędzili bowiem w głębi Związku Sowieckiego) oraz fakt, że społeczność żydowska wydała z siebie kilka tysięcy osób, które dobrowolnie brały czynny udział w „utrwalaniu władzy ludowej” i represjonowaniu antykomunistycznych Polaków. Polacy się ich bali (z

¹ Według *American Jewish Year Book, 5708 (1947–1948)*, tom 49 (The Jewish Publication Society of America, Philadelphia 1947), s. 390: *The return of Jewish property, if claimed by the owner or his descendant, and if not subject to state control, proceeded more or less smoothly.*

najnowszych badań IPN wynika, że aż 37,1 proc. osób zajmujących kierownicze stanowiska w Resorcie/Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie Komitecie do spraw Bezpieczeństwa Publicznego była pochodzenia żydowskiego). Większość tych Żydów później wyemigrowała na Zachód i została przygarnięta przez tamtejszą społeczność żydowską jako rzekome ofiary komunizmu oraz polskiego antysemityzmu. Nikt z nich nie okazał skruchy za wyrządzone zło, ich ofiary bowiem nienawidzono jako „antysemitów”. Nikt żydowskich, ubeckich emigrantów nie potępił. W pełni ich zaakceptowano. Czy oznacza to więc aprobatę zbrodni dokonanych na Polakach? Gross nawet bierze w obronę postawę Żydów, którą kwalifikuje jako: *selfless and altruistic* – „bezinteresowną i altruistyczną”. Bardziej przekonująco jednak opisuje te sprawy Szyja Goldberg Czechewer, tzw. prosty Żyd, który stanowczo ostrzegął przyszłą żonę przed podjęciem pracy w bezpiece, choć mogła znacznie poprawić swoje warunki materialne: „Co ty pleciesz, dziewczyno? Czy ty nie wiesz, co to bezpieka? Najpierw musisz zostać donosicielem. [...] Mówię ci, za nic tam nie chodź. To to samo co NKWD – najgorsze na świecie”². Naukowiec (Gross) prawi o niepisanej umowie społecznej, która pozwala zawiesić normę „nie zabijaj” w odniesieniu do Żydów. Natomiast „prosty Żyd” opisuje w swym pamiętniku szereg przypadków pomocy, jakiej udzielili mu Polacy po wojnie, w tym

sporo byłych akowców. Udało mu się odzyskać wszystkie swoje posesje, choć miał kłopot z usunięciem nowych „lokalatorów” z jednego budynku, z konkretnych powodów: nie mieli gdzie się ulokować, ponieważ Niemcy zdemolowali większość budowli w tej dzielnicy miasta. Najbardziej natomiast ucierpiał od bezpieki, w której akurat nadzorcą był Żyd. W sprawie „pogromu kieleckiego” zaś naukowiec natarczywie wmawia, że „wielotysięczny tłum [był] aktywny w pierwszej fazie napaści” – ponoć „jedna czwarta mieszkańców miasta brała udział w pogromie” (*sic!*) w Kielcach. Natomiast sama topografia miejsca, czyli rozmiar placu przed budynkiem na ul. Planty 7, wyraźnie wyklucza udział takich tłumów. W tę wyolbrzymioną liczbę uczestników wąpią także historycy, np. Krystyna Kersten, wykluczyło ją też śledztwo przeprowadzone przez IPN (w ustaleniach prokuratury mowa o około 500 świadkach „pogromu kieleckiego” i kilkudziesięciu uczestnikach, w znacznej mierze wojskowych i milicjantach). Gross dlatego stara się na Kielce przełożyć fałszywy model, który stworzył dla Jedwabnego: pogrom miał miejsce na masową skalę, w całym mieście, bez przerwy. A mieliśmy przecież do czynienia z wypadkami skoncentrowanymi głównie przy Plantach oraz z pojedynczymi wypadkami napadów w kilku miejscach Kielc, przede wszystkim na dworcu kolejowym.

Powyższe tezy nie stanowią nowości dla autora *Strachu*. Już w *Sąsiadach* Gross

² Zob. S. Goldberg, *The Undefeated*, Tel Aviv 1985, s. 224: *I stared at her. “What are you saying girl?” I cried. “Do you know what the Polish Intelligence is? First, you’ll have to become an informant. [...] I tell you, don’t you dare go to the Polish Intelligence. That’s the same as the NKVD in Russia, the worst in the world”*. Por. *Zdobycie władzy* (1953), powieść „z kluczem” Czesława Miłosza, gdzie mowa o podobnych konstatacjach Żydów w powojennej Polsce.

uznał, że ludność polska (z wyjątkiem Żydów) „entuzjastycznie witała wchodzące oddziały Wehrmachtu [...] i kolaborowała z Niemcami, włączywszy się również w proces eksterminacji Żydów”. Z drugiej strony Gross stanowczo odrzuca wszelkie insynuacje, jakoby Żydzi kolaborowali z Sowietami na Kresach wschodnich w latach 1939–1941. Według autora *Strachu* Polacy to wymyślili już zawczasu – zob. raport Karskiego z początku 1940 r. – aby ukryć swoją „kolaborację z Niemcami »wyzwoliciełami« po ataku Hitlera na Związek Sowiecki latem 1941 r.” Tezy o latach powojennych Gross wyłożył już w tomie pt. *Upiorna dekada, 1939–1948. Trzy eseje o stereotypach na temat Żydów, Polaków, Niemców i komunistów*. Dokładny przebieg wywodów nowego studium był zatem w pełni przewidywalny.

Recenzując książkę *Strach* w „Washington Post”, noblista Elie Wiesel podkreślił walory nowego dzieła Grossa w sposób wyrazisty i sugestywny – wręcz typowy dla dyskursu amerykańskiego na ten temat: *Bitterness, envy, murderous rage: Everything that is low, primitive, vile and ugly in the human animal is laid bare and analyzed on these pages.* – „Żółć, nienawiść, mordercza wściekłość: wszystko co niskie, prymitywne, nikczemne i ohydne w zwierzęciu człowieczym, jest pokazane bez ogródek i zanalizowane na stronach tej książki”. Ma się rozumieć – dotyczy to społeczeństwa polskiego w ogóle, a nie tylko aktorów tragedii kieleckiej, której Gross poświęca *gros* książki. Otóż dowody na to, że Wiesel nie cierpi Polaków, są zanadto widoczne od wielu lat. W przedmowie do pamiętników Władki Meed (Władki Międzyrzeckiej, czyli Feigele Peltel) *On Both Sides of the Wall* wydanych w 1979 r. Wiesel napisał:

True, here and there a „good citizen” was found whose cooperation could be bought with Jewish money. But how many good-hearted, upright Poles were to be found at the time in Poland? Very few. And where were the idealists, the universalists, the humanists when the ghetto needed them? Like all of Warsaw they were silent as the ghetto burned. Worse still: Warsaw’s persecution and murder of Jews increased once there no longer was a ghetto.

[„Co prawda, tu i tam natrafiono na porządnego człowieka, którego współpracę można było kupić za żydowskie pieniądze. Ale ilu uczciwych Polaków o dobrym sercu było wówczas w Polsce? Bardzo niewielu. Gdzie byli idealisci, uniwersaliści, humaniści, kiedy getto ich potrzebowało? Tak jak cała Warszawa oni milczeli, gdy getto się paliło. Jeszcze gorzej: prześladowanie i mordowanie Żydów warszawskich nabrało tempa, kiedy już getta nie było”].

Wbrew temu, co twierdzą recenzenci, Kielce – jako rzekomy „polski etap Holocaustu” – znane są choćby z wystawy w United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie. Ekspozycję o Zagładzie zamykają właśnie Kielce: zaczęli Niemcy, a skończyli Polacy. Teren pod recenzję Wiesela przygotował stały komentator „Washington Post” Richard Cohen kilka tygodni wcześniej; twierdził na łamach tego wpływowego dziennika, że Kościół katolicki w Polsce milczał, kiedy Polacy zamordowali około 40 „Holocaust survivors” w Kielcach: *The church said nothing. Silence. Silence. Silence.* – „Kościół w ogóle milczał. Zupełna cisza”. Naturalnie żadnych sprostowań ze strony tutejszych Polaków (oraz konserwatystów, a w tym profesor Juliany Geran Pilon z Institute of World

Politics) – a takie były – nie opublikowano. Zresztą jakiegokolwiek inne ustalenia – np. IPN w sprawie zająć w Jedwabnem – po prostu nie funkcjonują w mediach i amerykańskim świecie naukowym, gdzie panuje ogólny konformizm w tych sprawach. Ton nadają ludzie typu Cohena i Wiesela, dobrze wiedząc, że sprzeciwy ze strony nielicznych inaczej myślących nie zostaną dopuszczone lub nie będą wzięte pod uwagę. To właśnie takich autorów miał zapewne na myśli francuski intelektualista żydowskiego pochodzenia Pierre Vidal-Naquet, pisząc w swej książce *Les Juifs, la mémoire et le présent* (*Żydzi, pamięć i współczesność*) o – *the sort of primitive anti-Polish sentiments that too often characterize those whom I shall call „professional Jews”* – „rodzaju prymitywnych antypolskich uprzedzeń, jakie zbyt często charakteryzują tych, których nazwę »profesjonalnymi Żydami«”.

Entuzjastyczne przyjęcie książki Grossa w Waszyngtonie jest powielane – przeważnie piórem żydowskich autorów – w całym kraju. W „Baltimore Sun” Joan Mellen, autorka i wykładowca na uniwersytecie w Filadelfii, pisze o Polakach jako tych, którzy *excluded themselves from civilization itself* – „wykluczyli siebie z samej cywilizacji”, na równi z *the exterminators of the indigenous peoples of the Americas, the slave traders, and the Belgian mass murders in the Congo* – „tymi, którzy eksterminowali

ludność tubylczą Ameryki, handlarzami niewolników oraz belgijskimi mordercami masowymi w Kongo”. A więc przedstawia ona poglądy całkiem podobne do najbardziej skrajnych niemieckich rewizjonistów, którzy zarzucają Polakom eksterminację dwóch milionów Niemców. Mellen – w artykule pod wielce wymownym tytułem *Poland’s Little Holocaust after the Holocaust – Mały Holocaust w Polsce po Holocaustie*, podsumowuje dzieło Grossa w następujący sposób: *The old order and the army, the new Communist apparatus, the cardinal and his bishops – all conspired to kill Poland’s remaining Jews (90% had already perished) or to drive them out of the country for good* – „Stary ustrój oraz wojsko, nowy komunistyczny aparat, Kardynał [Hlond] i jego biskupi – wszyscy konspirowali, by zabić pozostałych w Polsce Żydów (zginęło już 90 proc.) albo wygonić ich z kraju raz na zawsze”. Upewnia, że *we have never done anything remotely like this* – „myśmy nigdy czegoś zbliżonego do tego nie czynili”. Pamięć ma jednak bardzo wybiórczą: morderczych pogromów antymurzyńskich na wielką skalę w Ameryce było przecież bez liku, choćby Tulsa i Rosewood w latach dwudziestych XX w., nie mówiąc już o takich sprawach gdzie indziej, jak zgładzona przez Żydów wioska palestyńska Deir Jassin³. Natomiast Thane Rosenbaum, profesor prawa i pisarz, na łamach „Los Angeles

³ Choć masakrę wsi popełniły w 1948 r. oddziały Irgun oraz Stern, który flirtował z hitlerowcami na początku wojny, według Isaaca Deutschera: *From the outset Zionism worked towards the creation of a purely Jewish state and was glad to rid the country of its Arab inhabitants*. – „Od samego początku syjonizm promował powstanie czysto żydowskiego państwa i rad był pozbyć się arabskich mieszkańców kraju”. Zob. I. Deutscher, *The Non-Jewish Jew and Other Essays*, London–New York 1968, s. 137. Por. także N. Giladi, *Ben-Gurion’s Scandals. How The Haganah and The Mossad Eliminated Jews*, Tempe, Arizona 2003. Z tych elementów niejeden autor mógłby wylansować śmiałą tezę – w stylu Grossa – o Holocaustie Palestyńczyków, lecz natychmiast zostałby okrzyknięty jako antysemita.

Times” zastanawia się nad tym „zjawiskiem”: „*Fear*” takes on an entire nation, forever depriving Poland of any false claims to the smug, easy virtue of an innocent bystander to Nazi atrocities. [...] there was great collusion and shared interests between Nazis and Poles when it came to Jews. – „»Strach« bierze pod ostrzał cały naród, raz na zawsze pozbawiając Polskę fałszywych roszczeń do łatwej roli zadowolonego z siebie i niewinnego obserwatora hitlerowskich okrucieństw. [...] miała miejsce ogromna zmowa i panowały wspólne interesy pomiędzy nazistami a Polakami co do Żydów”. Płon obfity i udany. Czy jest w ogóle sens prostować wzmianki o „polskich” obozach koncentracyjnych przy nawale podobnych opinii, traktujących Polaków na równi z hitlerowcami lub w sposób nawet od nich gorszy? *Novum Grossa*, które przejął Thane Rosenbaum, to argument, że setki czy tysiące ocalałych przez Polaków Żydów „statystycznie” nie robią wrażenia. Skonfrontowanie tego poglądu z wypowiedzią Żydówki ocalałej we Lwowie ilustruje, jak łatwo można się uplasować po przeciwnych stronach granicy przyzwoitości. Uratowana zeznała: „Dziś z perspektywy czasu jestem pełna po-

dziwu dla odwagi i poświęcenia [...] tych wszystkich Polaków, którzy w owych czasach dzień w dzień narażali własne życie. Nie wiem, czy my, Żydzi, wobec tragedii innego narodu, zdolni bylibyśmy do takiego samego poświęcenia”⁴.

Kilka lat temu powstała odkrywcza praca waszyngtońskiego naukowca polskiego pochodzenia Marka Jana Chodakiewicza pt. *After the Holocaust. Polish-Jewish Conflict in the Wake of World War II (Po Holocauście. Konflikt polsko-żydowski po drugiej wojnie światowej)*, East European Monographs, Columbia University Press, 2003. Książka ta nie uzyskała rozgłosu w amerykańskich mediach o wielkich nakładach, a szkoda. Warto ją przywołać w związku z opublikowaniem *Strachu*, bo w odróżnieniu od tej ostatniej nie powtarza przebrzmiałych już stereotypów, lecz daje dużo do myślenia. Nie redukuje skomplikowanego tematu stosunków polsko-żydowskich – jak chce Gross – do jednego, jedynego (*monocausal*) mianownika: antysemityzmu, co z góry wyklucza potrzebę krytycznego opisu relacji polsko-żydowskich. Wydanie jej po polsku w kraju jest w obecnym czasie jak najbardziej wskazane.

Ryszard Tyndorf, Kanada

⁴ Zob. M. Arczyński i W. Balcerak, *Kryptonim »Żegota«*. Z dziejów pomocy Żydom w Polsce 1939–1945, 2 wyd., Warszawa 1983, s. 264.

BOHATER NR 11 175

„Nikito Siergiejewiczu, cieszę się, że mogę zameldować o pomyślnym zakończeniu pierwszego lotu w kosmos” – raportował I sekretarzowi KPZR Chruszczowowi kosmonauta Jurij Gagarin. I nie tylko on się cieszył. Cieszył się Związek Radziecki, kraje socjalistyczne oraz wielu ludzi na świecie, dla których radziecki major stał się prawdziwym idolem. Nie cieszyli się natomiast pracownicy NASA dręczeni dziennikarskimi pytaniami w rodzaju: czy USA są w stanie dogonić ZSRR? Odznaczony licznymi orderami (m.in. Bohatera Związku Radzieckiego – przy czym skromnie podkreślał, że jest 11 175 odznaczonym tym zaszczytnym medalem) Gagarin podróżował tymczasem po świecie, spotykając się z jego włodarzami, z angielską królową Elżbietą na czele (choć do Anglii zaprosił go... Związek Zawodowy Hutników). Kosmonauta stał się wkrótce gwiazdą mediów i mimo iż starannie pilnowały go radzieckie służby, które dbały także o jego właściwy wizerunek, nie uniknął incydentów typowych dla gwiazd, choćby licznych romansów (raz musiał wręcz salwować się ucieczką przed rozwścieczoną żoną, co przypłacił wstrząsem mózgu). Miał także swoich wrogów i do dziś nie jest do końca wyjaśnione, czy katastrofa lotnicza, w której zginął 27 marca 1968 roku, była wyłącznie wypadkiem. O kulisach sławy radzieckiego bohatera piszą Jamie Doran i Piers Bizony w artykule *Jurij Gagarin – radziecki idol*



kultury masowej w lipcowym numerze „Mówią wieki”.

Niewątpliwie idolem kultury masowej mógłby stać się także – gdyby istniał naprawdę – wojak Szwejk. Prostolinijny humor i mądrości czeskiego opoja to niewyczerpana skarbnica informacji na temat mentalności Czechów. Grzegorz Pac

w tekście zatytułowanym *Szwejk i Pan Bóg, czyli dlaczego Czesi nie chodzą do kościoła* pokazuje, jak antyklerykalna, a nawet antyreligijna jest w istocie książka anarchisty Jaroslava Haška. Odsetek ateistów w Czechach jest bodaj największy w Europie, a za przyczynę tego stanu rzeczy autor uznaje długie przebywanie pod panowaniem „arcykatolickich” cesarzy rzymskich, a potem au-

striackich. Andrzej Wyrobisz opisuje, jak w siedemnastowiecznych Niderlandach zapanowała moda nie tylko na uwiecznianie sławnych postaci, ale i zwykłych ludzi. Moda na malarstwo portretowe sprawiła, że każdy chciał zobaczyć swój wizerunek na płótnie. Dzięki temu rozkwitła niderlandzka szkoła malarska z Rembrandtem van Rijnem na czele. Któż bowiem nie zna jego *Wymarszu strzelców, czyli Straży nocnej*? Ale o tym, że to ani wymarsz, ani strzelcy, ani straż, ani tym bardziej nocna, lecz jedynie jeden z licznych przykładów portretowego malarstwa mieszczan holenderskich, dowie się Czytelnik z artykułu *Kapitan Cocq i inni*.

Andrzej Brzozowski

LWOWSKI NUMER GLAUKOPISU

Najnowszy numer kwartalnika społeczno-historycznego „Glaukopis” 5-6/2006 przynosi ciekawe opracowania i nieznane materiały archiwalne. Wizytówką numeru są dotąd niepublikowane obszernie zapiski brytyjskiego dziennikarza Emila Dillona z rozmów z Romanem Dmowskim w Paryżu w latach 1917-1919. Na uwagę zasługuje także zbiór relacji i fotografii dotyczących polskiego życia akademickiego we Lwowie w latach 30.

W dziale „dokumenty” zwraca uwagę obszerny artykuł o powstaniu i działalności PRL-owskiego wywiadu cywilnego (Departament I MSW). Z kolejnego tekstu w tej części można się dowiedzieć, że

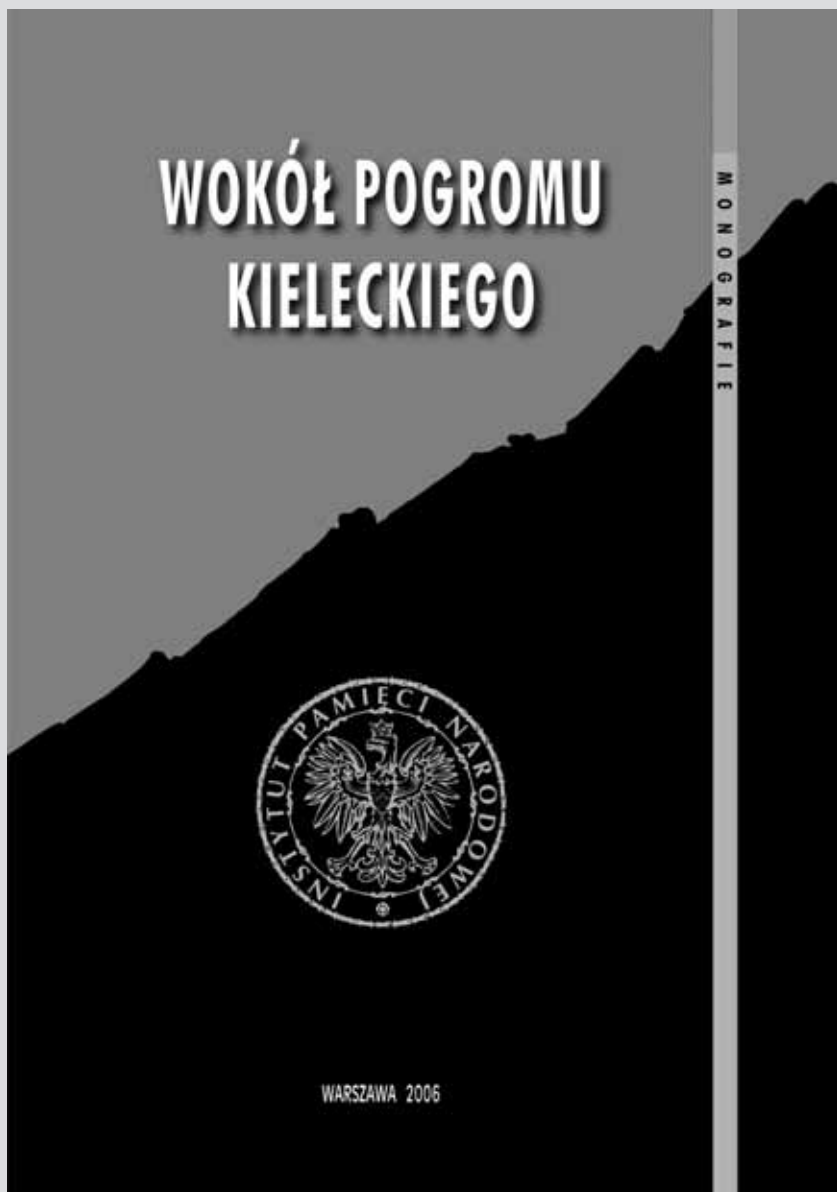
w ciągu pierwszego roku stanu wojennego internowano 10 132 osoby, a kolejne 13 244 zostały zatrzymane przez siły policyjne w czasie demonstracji niepodległościowych – te szokujące dane zawiera

raport gen. SB Władysława Ciastonia. Publikowany w „Glaukopisie” dokument jest zapisem przemówienia Ciastonia na tajnej konferencji szefów bezpieczeństwa państw bloku sowieckiego w Sofii w 1983 r. Stanowi on ważne świadectwo, że funkcjonariusze w służbie komunistycznej władzy nie wahali się posługiwać bezprawiem. Z problematyki socjologicznej na uwagę zasługuje artykuł znanego historyka idei Samuela Huntingtona opisujący proces wynaradawiania się współczesnej elity amerykańskiej. Godnym polecenia jest też artykuł o Brygadzie Świętokrzyskiej NSZ w świetle dokumentów amerykańskich. „Glaukopis”, jak zawsze, dostępny jest w sieci EMPiK.



PG

NOWOŚCI IPN



Tom składa się z dwóch części. Pierwsza zawiera cztery artykuły znawców najnowszych dziejów Polski, pozwalające głębiej wniknąć w podłoże i konsekwencje pogromu kieleckiego w lipcu 1946 r. Ponadto przedstawiono spory, dyskusje i manipulacje, jakie od początku towarzyszyły pogromowi kieleckiemu. Drugą część książki wypełniają dokumenty zebrane w toku śledztwa prowadzonego przez IPN, przede wszystkim zeznania świadków.

